

Bernacki:
Mocne i słabe strony ewaluacji

Ostrowski:
150 lat PAU

Kieraciński, Libera i in.:
Dyscypliny 3.0

FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 12/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



Dokąd zmierzają neofilologie? Str. 28-41

Czakov, Bogacz-Wojtanowska:
Udoskonalic system grantowy

Proń, Szatyłowicz:
Upadek obyczajów w publikacjach

Jakubowski:
Doktorzy na szybkiej ścieżce



Polska Akademia Umiejętności 1872-2022

Rozmowa z prof. Janem Ostrowskim, prezesem PAU, na str.24.



Fotografie: PAU, P. Kieraciński

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Spis nauk polskich – Piotr Kieraciński	6
Nie tylko akademicka moda – Zbigniew Libera	6
Polonistyka jako powinność – Ryszard Koziołek	7
Więcej niż dyscyplina – Elżbieta Osewska, Piotr Guzdek, Maria Ryś	8
Co z odwołaniami? – Zbigniew Kmiecik	9
Polacy wśród najczęściej cytowanych – Andrzej Pilc	10
Modni naukowcy 2021 – Krzysztof Ciepliński	11
Udane rozdanie – Krystian Pfeiffer	14
Nagrody za książki	15
Dojrzała i akademicka	16
Nieoczywiste statystyki w podgrupach – Piotr Kieraciński	18
Nauka i sport – Krystian Pfeiffer	19
Reguły, kryteria i procedury do rozporządzenia – Błażej Skoczeń	23
Nowi profesorowie	52

ROZMOWA FORUM

Sloty prowadzą do uśrednienia wyników – rozmowa z prof. Włodzimierzem Bernackim, sekretarzem stanu w MEiN, pełnomocnikiem rządu ds. reformy szkolnictwa wyższego	20
Na Sławkowskiej pod numerem 17. jest Akademia – rozmowa z prof. Janem Ostrowskim, prezesem PAU	24

DOKĄD ZMIERZAJĄ NEOFILOLOGIE?

Neofilologia przed i po transformacji systemowej – Tomasz G. Pszczółkowski	28
Równanie z trzema niewiadomymi – Ewa Stala	32
Neofilologia w minionym 30-leciu – Jacek Witkoś	35
Profil studentów filologii romańskiej – Maja Pawłowska	38

ŻYCIE NAUKOWE

Quo vadis, NCN? – Wojciech Czakon, Ewa Bogacz-Wojtanowska	42
Nie marnować publicznych pieniędzy – Adam Proń, Halina Szatyłowicz	47

Z archiwum nieuczciwości naukowej (195)

Kolejny plagiat na UŁ – Marek Wroński	53
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Akademickie pomaganie – Zbigniew Drozdowicz	57
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	59
Na szybkiej ścieżce – Robert Jakubowski	60
Algorytmy pomogą wejść na szczyt – Robert Jakubowski	62

Z LABORATORIÓW

Podwaliny – rozmowa z dr. Jarosławem Cymermanem, historykiem teatru z UMCS	65
Wieża Babel ze Wschodu – rozmowa z dr. Ryszardem Kupidurą z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskich Wydziału Neofilologii	68
UAM	68

W STRONĘ HISTORII

Portrety nauki polskiej	
Jak zostać kryptologiem? – Marcelina Smużewska	70
Pro publico bono (3)	
Rozmowy z Bermanem – Piotr Hübner	73

OKOLICE NAUKI

Książki	
Książki nadesłane	75
Uczelnia jako las – Krzysztof Leja	77
Co ma dron do tworzenia myśłą? – Anna Jawor	77
W technologicznym labiryncie	78
Autobiografia literaturoznawcy – Zbigniew Chojnowski	78
Z Monte Carlo na KUL – Bogdan Bernat	79
Birdwatching dla każdego – Justyna Jakubczyk	79

FELIETONY

Szkiełko w oku	
Quiet Quitting, czyli milczące zaniechanie – Piotr Müldner-Nieckowski	76
Na marginesach nauki	
Germanie kontra Rzym – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

FORUM AKADEMICKIE Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXIX Nr 12 (349) Grudzień 2022

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmiedt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Spółeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

Formalny koniec współpracy

WARSZAWA Ministerstwo Edukacji i Nauki zerwało trzy umowy w dziedzinie szkolnictwa wyższego i nauki z Federacją Rosyjską. Chodzi o umowę o utworzeniu Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych podpisaną w 1956 r. (Polska przestanie być członkiem Instytutu od 1 stycznia 2023 r.), porozumienie o utworzeniu Międzynarodowego Centrum Informacji Naukowej i Technicznej z 1969 r. (Polska przestanie być członkiem Centrum od 1 stycznia 2023 r.) oraz międzyrządowe porozumienie o współpracy w dziedzinie nauki i techniki z 1993 r. (przestanie obowiązywać 3 maja 2023 r.). Pod koniec listopada MEiN uzyskało potwierdzenie ze strony rosyjskiej wypowiedzenia ostatniej, trzeciej z wymienionych umów. Tym samym wszystkie trzy umowy, które wiązały stronę polską z Federacją Rosyjską w dziedzinie edukacji i nauki, zostały skutecznie wypowiedziane. Zapowiedziano, że nie będą kontynuowane negocjacje odnośnie do innych umów, m.in. o uznawaniu dyplomów, świadectw obywateli rosyjskich w Rzeczypospolitej Polskiej.

Rada (na razie) bez kobiet

WARSZAWA Prezydent Andrzej Duda powołał Radę ds. Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Innowacji. Jej przewodniczącym został prof. Artur Hugo Świergiel, zootechnik, neurofizjolog, badacz zachowań zwierząt, kierownik Pracowni Fizjologii Behawioru i Stresu na Wydziale Biologii Uniwersytetu Gdańskiego, od 2017 r. dyrektor Instytutu Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego im. prof. Wacława Dąbrowskiego – Państwo-



Fot. Przemysław Keler

wego Instytutu Badawczego. W skład 18-osobowego gremium weszło czterech rektorów uczelni publicznych, członków KRASP: prof. Jerzy Lis (AGH), prof. Alojzy Z. Nowak (UW), prof. Stanisław Mazur (UEK) i prof. Piotr Wachowiak (SGH). Ten ostatni, przy poparciu pozostałych trzech, zgłosił Kancelarii Prezydenta postulat włączenia kobiet w prace rady. Jednym z pierwszych jej zadań będzie ocena funkcjonowania ustawy o szkolnictwie wyższym.

Nowy szef Parlamentu Studentów

WARSZAWA Kewin Lewicki z Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Chełmie został nowym przewodniczącym Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej. Był jedynym kandydatem na to stanowisko. To 17 w historii sternik PSRP i pierwszy wywodzący się z uczelni zawodowej. Zapowiada podjęcie starań o podniesienie progu uprawniającego do uzyskania stypendium socjalnego, ułatwienia w studiowaniu dla osób z niepełno-



Fot. Kuba Prowalka

sprawnościami, poszerzenie Strefy Komfortu o konsultacje z psychiatrą oraz organizację w Polsce w 2024 roku Europejskiego Konwentu Studentów. Planuje również wsparcie samorządów uczelnianych w akcjach promujących ideę samorządności i rozszerzenie oferty szkoleniowej PSRP. Chce także ustawowego umocowania Rzecznika Praw Studenta. Parlament zrzesza samorzady studenckie ze wszystkich uczelni publicznych i niepublicznych w kraju. Istnieje nieprzerwanie od 1995 roku.

Polak wśród astronautów ESA

PARYŻ Spośród 22,5 tys. kandydatów Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) wybrała 6 astronautów korpusu podstawowego i 11 rezerwowych do lotów na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). W tej drugiej grupie znalazł się polski naukowiec, dr Sławosław Uznański z Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych w Genewie, na co dzień operator Wielkiego Zderzacza Hadronów LHC. Zajmuje się też projektowaniem elektroniki odpornej na promieniowanie. Pochodzi z Łodzi, gdzie w 2008 r. ukończył z wyróżnieniem tamtejszą Politechnikę. W tym samym roku otrzymał tytuł mgr. inżyniera na Uniwersytecie Nantes (Francja). W 2011 r. obronił z wyróżnieniem doktorat na Uniwersytecie Aix-Marseille (Francja). Do korpusu podstawowego wybrano Pablo Álvara Fernándeza, absolwenta Politechniki Warszawskiej.



Fot. Tomek Gola

Nagroda dla astronomów

WARSZAWA Prof. Pierre Kervella z Obserwatorium Paryskiego i prof. Grzegorz Pietrzyński z Centrum Astronomicznego im. M. Kopernika PAN w Warszawie otrzymali Polsko-Francuską Nagrodę Naukową im. Marii Skłodowskiej-Curie i Pierre'a Curie. To wyróżnienie przyznawane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej oraz Francuską Akademię Nauk za wybitne osiągnięcia będące efektem współpracy między badaczami obu krajów. Światowej sławy astronomowie zostali uhonorowani za połączenie uzupełniających się doświadczeń z zakresu interferometrii gwiazdowej i obserwacji gwiazd podwójnych w celu precyzyjnego wyznaczenia odległości do Wielkiego Obłoku Magellana, a tym samym stworzenia punktu odniesienia dla pomiaru odległości pomiędzy galaktykami, pozwalającego lepiej mierzyć rozszerzanie się wszechświata. Obaj otrzymali po 15 tys. euro.



Fot. M. Wiśniewska-Acasifiska



Fot. Laurence Homorat

Lem Prize dla optoelektronika

WROCŁAW Prof. Samuel Stranks z Wydziału Inżynierii Chemicznej i Biotechnologii Uniwersytetu w Cambridge, specjalista w dziedzinie optoelektroniki, został laureatem Europejskiej Nagrody Naukowej im. Stanisława Lema. W swojej pracy naukowej zajmuje się optycznymi i elektronicznymi właściwościami nowych półprzewodników, w tym perowskitów halogenkowych, alotropów węglowych i półprzewodników orga-



Fot. Archiwum

nicznych opracowywanych z myślą o efektywnych pod względem kosztu zastosowaniach w elektronice. Jego zespół opracował szereg technik obrazowania multimodalnego w celu uzyskania wiedzy na temat procesów utraty mocy i degradacji w perowskitach. Techniki te umożliwiły zbadanie opisanych procesów w bardzo małych skalach długości, ujawniając drobne zanieczyszczenia fazowe. Prowadzone obecnie prace zmierzają do wyeliminowania tych niepożądanych zjawisk. Warta 100 tys. zł Lem Prize przyznawana jest młodym naukowcom (do 40 roku życia) studiującym lub prowadzącym badania w Unii Europejskiej oraz krajach stowarzyszonych. W tym roku na konkurs wpłynęło 26 wniosków z 14 krajów, w tym 3 z Polski.

Wiceprezes PAN z prestiżową nagrodą

BONN Prof. Roman Słowiński z Politechniki Poznańskiej, wiceprezes PAN, od 2003 r. profesor zwyczajny w Instytucie Badań Systemowych PAN, został laureatem Humboldt Research Award. Nagroda przyznawana jest przez Fundację im. Alexandra von Humboldta zagranicznym naukowcom zasłużonym na arenie międzynarodowej. Nominacje zgłaszają wyłącznie akademicy z Niemiec. Prof. Słowiński specjalizuje się w informatyce. Jest twórcą szkoły naukowej inteligentnego wspomaganie decyzji opierającej się na badaniach operacyjnych, sztucznej inteligencji i nowych technologiach informatycznych. Stworzył oryginalną metodykę wspomaganie decyzji w oparciu o wiedzę odkrytą z niekompletnych danych, za którą w 2005 roku otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.



Fot. Archiwum

Nagroda dla filozofa z UJ

LUBLIN Prof. Ryszard Legutko, filozof z Uniwersytetu Jagiellońskiego, został laureatem Nagrody im. ks. Idziego Radziszewskiego, przyznawanej przez Towarzystwo Naukowe KUL za wybitne osiągnięcia naukowe w duchu humanizmu chrześcijańskiego. Specjalizuje się w zakresie filozofii starożytnej, historii filozofii oraz filozofii politycznej i społecznej. Tłumaczył i komentował dialogi Platona: *Fedon*, *Eutyfron*, *Obrona Sokratesa*, *Kriton*. Uznaniem cieszy się jego *Traktat o wolności*. Jest współzałożycielem Towarzystwa Edukacyjno-Naukowego Ośrodek Myśli Politycznej, którego był prezesem do 2005 r. Dwa lata później został ministrem edukacji narodowej, a następnie w latach 2007–2009 sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP. Od 2009 roku jest posłem do Parlamentu Europejskiego. Władza językami: greckim, łaciną, angielskim, francuskim, włoskim, rosyjskim i niemieckim. Idea nagrody zrodziła się w 1972 roku w 50 rocznicę śmierci twórcy KUL.



Fot. KUL

Polscy fellow members w Optice

MASSACHUSETTS Dwoje polskich naukowców otrzymało tytuł fellow member amerykańskiego Towarzystwa Optica. To jedna z czołowych



Fot. NCI



Fot. UW

światowych organizacji naukowych zajmujących się badaniami z dziedziny optyki i fotoniki. Prof. Małgorzatę Kujawińską z Instytutu Mikro-mechaniki i Fotoniki Politechniki Warszawskiej doceniono za wybitny wkład w rozwój metod obrazowania poprzez wprowadzenie do nich standardów metrologicznych (o jej badaniach pisaliśmy w poprzednim numerze FA). Prof. Konrada Banaszka z Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego wyróżniono za wirtuozerię eksperymentalną i wiedzę teoretyczną, których połączenie prowadzi go do przełomowych odkryć. Towarzystwo Optica (dawniej Amerykańskie Towarzystwo Optyczne) skupia ponad 22 tys. członków zajmujących się badaniami światła oraz rozwojem optyki i fotoniki. Wcześniej tytuł fellow member otrzymali profesorowie: Maciej Wojtkowski (2015), Krzysztof Patorski (2013) i Adam Kujawski (1988).

Stypendia dla badaczek

WARSZAWA O sześć stypendiów L'Oréal-UNESCO Dla Kobiet i Nauki ubiegały się w tym roku 122 kandydatki. W kategorii magisterskiej (20 tys. zł) laureatką została lek. **Karolina Brzegowy** z Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum, która zajmuje się badaniem związków



Fot. L'Oréal

między składem histologicznym skrzepliny udarowej a skutecznością leczenia udaru metodami wewnątrznaczyniowymi. W kategorii doktoranckiej (30 tys. zł): **Kalina Andrysiak** z UJ za badanie molekularnych mechanizmów kardiomiopatii u pacjentów z dystrofią mięśniową Duchenne'a oraz **Marta Kędziora** z Instytutu Farmakologii im. J. Maja PAN (nieobecna na gali) za poszukiwanie nowych strategii terapeutycznych w chorobie zwyrodnieniowej stawów. W kategorii habilitacyjnej (35 tys. zł): dr **Katarzyna Bandyra** z Uniwersytetu Warszawskiego, która bada rolę ludzkiego białka PNPazy w mitochondrialnym metabolizmie RNA; dr **Sylwia Judycka** z Instytutu Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności PAN w Olsztynie za opracowanie i optymalizację procedur kriokonserwacji nasienia ryb; dr **Monika Gawałko** z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, która pracuje nad rozwiązaniami zdrowia mobilnego (mHealth) w wykrywaniu i leczeniu pacjentów z migotaniem przedsionków.

Kolejni liderzy wyłonieni

WARSZAWA Narodowe Centrum Badań i Rozwoju ogłosiło wyniki 13 edycji swojego sztandarowego programu LIDER. Na realizację projektów badawczo-rozwojowych 49 młodych naukowców otrzyma w sumie



Fot. UPWR

71,3 mln zł. Wśród nich są przedstawiciele 31 instytucji, w tym 3 instytutów należących do Sieci Badawczej Łukasiewicz oraz 5 Polskiej Akademii Nauk. Najwięcej projektów trafi do: Akademii Górniczo-Hutniczej im. S. Staszica (6) i Politechniki Warszawskiej (5). W gronie laureatów jest m.in. dr Karolina Bierowiec (na fot.) z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, która pracuje nad innowacyjnym preparatem mającym zahamować wzrost oporności na związki przeciwdrobnoustrojowe wśród bakterii. LIDER to najdłuższy trwający program w ofercie NCBR. Jego celem jest poszerzenie kompetencji w samodzielnym planowaniu prac badawczych oraz zarządzaniu własnym zespołem podczas realizacji projektów, których wyniki mogą mieć zastosowanie praktyczne i posiadają potencjał wdrożeniowy. Od 2009 roku do blisko 550 liderów trafiło już ponad 660 mln zł.

mowa wzrost oporności na związki przeciwdrobnoustrojowe wśród bakterii. LIDER to najdłuższy trwający program w ofercie NCBR. Jego celem jest poszerzenie kompetencji w samodzielnym planowaniu prac badawczych oraz zarządzaniu własnym zespołem podczas realizacji projektów, których wyniki mogą mieć zastosowanie praktyczne i posiadają potencjał wdrożeniowy. Od 2009 roku do blisko 550 liderów trafiło już ponad 660 mln zł.

Doktoraty honoris causa

LUBLIN/WARSZAWA/KRAKÓW/KATOWICE/POZNAŃ Prof. **Jerzy Woźnicki** (na fot.), prezes Fundacji Rektorów Polskich, przewodniczący Rady Patronackiej „Forum Akademickiego”, został doktorem honoris causa Kijowskiego Państwowego Uniwersytetu Budownictwa i Architektury. Uroczystość nadania tytułu odbyła się w Lublinie. Narodowa Akademia



Fot. KUL

Nauk Ukrainy doceniła podobnym tytułem prezesa PAN prof. **Jerzego Duszyńskiego** za jego zaangażowanie na rzecz pomocy Ukrainie i tamtejszym naukowcom. Prof. **Zbyszek Melosik**, socjolog edukacji i kultury, pedagog, prorektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, otrzymał godność dhc od Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Prof. **Andrzej T. Słomiński**, światowej sławy specjalista w dziedzinie dermatologii, patomorfologii i endokrynologii, został dhc Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. **Michael C. Mackey**, jeden z najwybitniejszych na świecie specjalistów z zakresu biologii matematycznej, otrzymał dhc Uniwersytetu Śląskiego. Prof. **M. Stanley Whittingham**, światowej sławy chemik, współtwórca technologii baterii litowo-jonowych i laureat Nagrody Nobla z 2019 roku, odebrał dhc Politechniki Warszawskiej. Prof. **Józef Orczyk**, prekursor badań nad metodyką pracy umysłowej, został dhc Szkoły Głównej Handlowej. Prof. **Tomasz M. Gruszecki**, specjalista z zakresu zootechniki i ochrony bioróżnorodności zwierząt, otrzymał tytuł dhc Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Będą badać zbrodnie

WARSZAWA Centrum Badań Zbrodni Międzynarodowych powstało na Uniwersytecie Warszawskim. Nowa jednostka, którą kieruje dr Andriy Kosyło, zajmie się badaniami naukowymi z zakresu zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni ludobójstwa i zbrodni agresji. Centrum zapowiada włączenie się do dyskusji, zwłaszcza na łamach czasopism anglojęzycznych, dotyczącej rosyjskich zbrodni (w świetle prawa międzynarodowego) popełnionych na Ukrainie. Podjęta zostanie rów-

nież tematyka odpowiedzialności za agresję na Ukrainę, i to nie tylko w odniesieniu do przedstawicieli rosyjskich władz, ale też samego państwa. Realizowane będą też m.in. badania kosztów społecznych wojny oraz pomocy ofiarom zbrodni wojennych. Udział w pracach zadeklarował m.in. Yevgen Zakharov, jeden z najbardziej znanych obrońców praw człowieka na Ukrainie.

Jeszcze bliższa współpraca

ŁÓDŹ Rektorzy sześciu uczelni podpisali deklarację zacieśniania współpracy w ramach Łódzkiego Partnerstwa Akademickiego. Ma ona dotyczyć zarówno działalności naukowej i artystycznej, kształcenia, jak również kształtowania relacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym. W doku-



Fot. ILO

mencie podkreślono odrębność i unikatowość każdej z uczelni, z jej historią i potencjałem. Deklarację sygnowali: dr hab. Elżbieta Aleksandrowicz (Akademia Muzyczna), dr Przemysław Wachowski (Akademia Sztuk Pięknych), dr hab. Milenia Fiedler (PWSFTviT), prof. Krzysztof Józwick (Politechnika Łódzka), prof. Elżbieta Żądzińska (Uniwersytet Łódzki), prof. Radziław Kordek (Uniwersytet Medyczny w Łodzi). Na uczelniach, którymi kierują, studiuje 46 tys. osób, w tym 3,5 tys. obcokrajowców i 1,5 tys. doktorantów, a zatrudnionych jest 10,5 tys. pracowników. Kształcenie odbywa się w sumie na 266 kierunkach, a badania są prowadzone w 42 dyscyplinach.

U matematyków bez zmian

WARSZAWA Prof. Jacek Mięgisz z Zakładu Biomatematyki i Teorii Gier Uniwersytetu Warszawskiego został wybrany na prezesa Polskiego Towarzystwa Matematycznego. Będzie to jego druga kadencja na tym stanowisku. Zapowiedział zintensyfikowanie kontaktów ze „światem zewnętrznym”, a więc popularyzację i ukazywanie roli matematyki w życiu i innowacyjnej gospodarce opartej na wiedzy, a także wskazywanie roli matematyki w kształceniu na wszystkich poziomach edukacji. Zamierza również wzmocnić udział polskiego środowiska we władzach międzynarodowych organizacji



Fot. PTM

i towarzystw matematycznych. PTM zostało założone w 1919 r. w Krakowie jako Towarzystwo Matematyczne w Krakowie. Rok później przekształcono je w organizację ogólnopolską działającą pod obowiązującym do dziś szyldem.

Stworzą uczelniane bloki danych

WROCŁAW Politechnika Wrocławska, jako jedyna polska uczelnia, znalazła się w gronie założycieli stowarzyszenia bloxberg. To pierwsza tego typu międzynarodowa organizacja skupiająca jednostki naukowe zajmujące się badaniami nad technologiami blockchain. Stowarzyszenie zostało powołane na Cyprze z inicjatywy 11 instytucji badawczych. Członkowie stowarzyszenia mają dostarczać uniwersytetom bezpieczną i stabilną technologię blockchain, która może stać się uzupełnieniem utrzymywanych centralnie systemów na uczelniach. Już uruchomiono publiczny

łańcuch bloków, na którym realizowane są prototypowe usługi, np. służące do potwierdzania ukończenia studiów. Blockchain to technologia służąca do przechowywania oraz przesyłania informacji o zawartych transakcjach. Informacje te zostają ułożone w postaci następujących po sobie bloków danych. Jeden blok zawiera informacje o określonej liczbie transakcji, a następnie, po jego nasyceniu, tworzą się kolejne, tworząc łańcuch bloków.

Procesy logistyczne pod lupą

WARSZAWA Wojskowe Centrum Badawczo-Dydaktyczne Logistyki otwarto w Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego. Będą w nim prowadzone prace naukowe oraz szkolenia z zakresu organi-



Fot. WAT

zacji i kierowania procesami logistycznymi w Siłach Zbrojnych RP, a także w przedsiębiorstwach cywilnych. W 2-kondygnacyjnym obiekcie znajdują się pomieszczenia laboratoryjne i biurowe oraz sale wykładowe. Główną część zajmuje hala, w której odwzorowano magazyn wysokiego składowania wraz z niezbędną infrastrukturą i wyposażeniem. Są tam również pracownie technologii magazynowania i produkcji, technologii RFID, transportowo-spedycyjne, towaroznawstwa i badań opakowań, logistyki ekonomicznej oraz normalizacji, a także dwie do badań operacyjnych. Oprócz tego dwa laboratoria logistyki wojskowej z dostępem do sieci teleinformatycznej MON i wojskowych systemów informatycznych.

Kaszubopedia już działa

GDAŃSK Ponad 500 haseł dotyczących Kaszub, m.in. symboli, mitów, pamięci, przekonań czy stereotypów, znajduje się w Kaszubopedii (www.kaszubopedia.pl) – internetowej encyklopedii, w powstaniu której wzięli udział także naukowcy z Uniwersytetu Gdańskiego. To kompendium wiedzy uwzględniające specyfikę procesów etnicznych, kulturowych i społecznych na (zmiennym) terenie zamieszkiwanym przez społeczność kaszubską. Internetowa encyklopedia jest pokłosiem grantu NPRH, jaki w latach 2015–2020 był realizowany przez Instytut Kaszubski, stowarzyszenie ludzi nauki działające w Gdańsku. Stworzyli oni 700-stronicowy *Słownik kaszubskich symboli, pamięci i tradycji kultury*. Jego rozwinieciem jest Kaszubopedia, która zawiera hasła dotyczące hymnów kaszubskich, tamtejszych gwar, pisarzy, frazeologii, herbów, uczonych, muzyki. Sukcesywnie będą dodawane kolejne.

To będzie Rok Kopernika

WARSZAWA Mikołaj Kopernik będzie jednym z patronów roku 2023 – postanowił Senat RP. To nawiązanie do 550 rocznicy urodzin wielkiego



Fot. Tomasz Pazros

astronoma. Za przyjęciem uchwały głosowała wszystkich 90 senatorów obecnych podczas posiedzenia. W obradach uczestniczył prof. Andrzej Sokala, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, który odebrał dokument wspólnie z prezydentem Torunia Michałem Zaleskim. Upamiętnienie autora sześciotomowego dzieła *De revolutionibus orbium coelestium* ma na celu „uświadomienie światowych zasług Polski i Polaków dla nauki oraz wzmocnienie współczesnych dążeń świata nauki i edukacji do podmiotowej obecności nauki w polskim życiu społecznym, gospodarczym i politycznym”. Przypomnijmy, że w przyszłym roku w Toruniu, Krakowie i Olsztynie odbędzie się Światowy Kongres Kopernikański organizowany przez UMK, UJ, UWM i PAN. Podobne wydarzenie zapowiedziała też nowo utworzona Akademia Kopernikańska.

Polak wśród nowych członków ERC

BRUKSELA Komisja Europejska mianowała pięcioro wybitnych uczonych na nowych członków Rady Naukowej Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC). Wśród nich znalazł się prof. Leszek Kaczmarek, kierownik Pracowni Neurobiologii Molekularnej i Komórkowej Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN i szef Centrum Doskonałości w zakresie neuroplastyczności i chorób mózgu BRAINCITY, finansowanego z programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Nie jest to pierwszy Polak w tym gremium. Aktualnie członkiem Rady jest prof. Andrzej Jajszczyk, którego kadencja kończy się 31 grudnia 2022 r., a wcześniej zasiadali w niej prof. Tomasz Dietl i prof. Michał Kleiber. Rada Naukowa ERC określa specyfikę grantów i poziom ich finansowania, opracowuje roczny program prac, ustala procedurę oceny wniosków, powołuje ekspertów oceniających wnioski, a także monitoruje wdrożenie programu.

Wyróżnienie dla naszego dziennikarza

WARSZAWA Nasz redakcyjny kolega Mariusz Karwowski (na zdjęciu z Edytą Demby-Siwek, prezes Urzędu Patentowego RP) otrzymał wyróżnienie w X konkursie UPRP na informację medialną o tematyce ochrony własności intelektualnej, w tym przemysłowej. Doceniono jego 3 artykuły opublikowane na łamach FA: *Między wynalazkiem a patentem* (FA



Fot. UPRP

10/2021), w którym przybliżył pracę i problemy, z jakimi mierzą się uczelniani rzecznicy patentowi; *Genisteiną w toksyczne białka* (FA 11/2021), w którym pisał o badaniach uczonych z Uniwersytetu Gdańskiego nad nowatorską terapią chorób neurodegeneracyjnych; *Zmierzą dokładnie i w szerokim zakresie* (FA 2/2022) poświęcony rezonatorom z Politechniki Warszawskiej. Konkurs ma na celu upowszechnianie wiedzy oraz podnoszenie świadomości społecznej o ochronie własności przemysłowej, a także znaczenia tej problematyki dla rozwoju innowacyjności i kreatywności, zwłaszcza w działalności gospodarczej w Polsce.

Współpraca: Andrzej Charytoniuk, Ewa Jankiewicz, Elżbieta Michalak-Witkowska, Robert Szwed, Paweł Śpiechowicz, Dominika Wojtyśiak-Łańska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na Twitterze



Spis nauk polskich czyli dyscypliny 3.0 +

W końcu czerwca tego roku opublikowałem krótki przegląd spraw dotyczących dyscyplin nauki w kontekście projektu rozporządzenia, który wówczas się ukazał (*Dyscypliny 3.0*, FA 7-8/2022 i podobny wcześniejszy tekst na portalu forumakademickie.pl). Dziś rozporządzenie obowiązuje, ale w kształcie nieco innym od ówczesnego projektu. Warto zatem przyjrzeć się, co nowego pojawiło się w „spisie nauk polskich”.

Zasadnicza korekta podziału nauk, dokonana w 2018 roku, miała charakter praktyczny. Wynikała z chęci zmniejszenia ich liczby w oficjalnym wykazie. Było to ważne, bowiem wchodząca wówczas w życie ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce nadawała dyscyplinom nowe, zasadnicze znaczenie dla instytucji badawczych, zwłaszcza w kontekście ewaluacji wyników badań naukowych. Przyznane w jej rezultacie kategorie zaczęły pełnić znacznie ważniejszą niż wcześniej rolę. Znaczenie umiędzynarodowienia polskiej nauki było podstawą do stworzenia mniej licznego i prostszego „zbioru nauk”, niż ten, który funkcjonował od 2011 roku. Wzorem miał być podział stosowany przez OECD, choć nie do końca tak się stało, o czym pisałem w tekście *Światowo, ale po naszymu* (FA 10/2018).

Od 2018 roku mieliśmy dwustopniowy podział nauk, liczący 8 dziedzin, w tym 7 nauki i 1 dziedzinę sztuki. W tychże dziedzinach było 47 dyscyplin, z tym że nauki teologiczne były jednocześnie dziedziną i dyscypliną. W rozporządzeniu ministra edukacji i nauki z 11 października 2022 r. wyszczególniono 10 dziedzin nauki, czyli o 2 więcej niż dotychczas, oraz 56 dyscyplin – o 9 więcej niż w rozporządzeniu z 2018 roku. Dwie nowe dziedziny to: całkiem nowa dziedzina nauk o rodzinie, w której jest dyscyplina o tej samej nazwie, oraz dziedzina nauk weterynaryjnych z dyscypliną weterynaria (wyodrębnioną i przeniesioną z nauk rolniczych). Mamy w tym ostatnim przypadku powrót do sytuacji z 2011 r. (i we wcześniejszych latach),

gdą weterynaria była dziedziną i dyscypliną równocześnie. Nauki o rodzinie istniały jako dyscyplina w dziedzinie nauk humanistycznych w podziale z 2011 r.

Zmiany zaszły także w pozostałych 7 dziedzinach, dziedzina sztuki pozostała taką, jaką była od 2018 roku, z trzema wówczas ustalonymi dyscyplinami. W wyniku wyodrębnienia weterynarii w dziedzinie nauk rolniczych zostały 4 dyscypliny. W dziedzinie nauk humanistycznych doszły dwie dyscypliny: etnologia i antropologia kulturowa oraz polonistyka, zatem ma ona obecnie 9 dyscyplin. W dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych dodano dwie dyscypliny: inżynierię bezpieczeństwa oraz ochronę dziedzictwa i konserwację zabytków (w dziedzinie sztuki mamy wciąż bardzo podobną konserwację dzieł sztuki), a także do dyscypliny inżynieria lądowa i transport dodano uzupełnienie w postaci geodezji; obecna nazwa dyscypliny to inżynieria lądowa, geodezja i transport. Teraz w naukach inżynieryjno-technicznych jest 11 dyscyplin. W dziedzinie nauk medycznych pojawiła się piąta dyscyplina – biologia medyczna. Do dziedziny nauk społecznych dodano dyscyplinę stosunki międzynarodowe, zatem lokuje się w niej teraz 12 dyscyplin. Do 7 dotychczasowych dyscyplin dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych dodano biotechnologię. W dziedzinie nauk teologicznych pojawiła się druga dyscyplina – nauki biblijne.

W okresie po transformacji ustrojowej w Polsce aż do 2018 roku tworzenie „podziału nauk”, publikowanego w postaci wykazu obszarów, dziedzin i dyscyplin dla celów praktycznych, zwłaszcza awansów naukowych, należało do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. W 2011 roku po raz pierwszy taki podział pojawił się w postaci rozporządzenia ministra nauki, podobnie stało się w 2018 i 2022 roku.

Piotr Kieraciński

Nie tylko akademicka moda

Prof. Zbigniew Libera, etnolog i antropolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, pisze, jak rozumieć dyscyplinę etnologia i antropologia kulturowa oraz uzasadnia przywrócenie jej na krajowej liście dziedzin i dyscyplin nauki.

Etnografia i etnologia, antropologia kulturowa i antropologia społeczna są różnymi nazwami zajęć jednego rodzaju, tak starymi jak historia jako nauka, jak wyłaniające się z niej nauki szczegółowe. Tożsame lub wymienne stosowanie różnych nazw na oznaczenie jednej dyscypliny ma wyjaśnienie w historii nauk w Europie i poza nią. Etnografię odnoszono do badań tzw. kultury ludowej, etnologię do kultur pozaeuropejskich. Etnografią nazywano sposoby pozyskiwania nowych materiałów źródłowych, opisy konkretnych kultur, etnologią – badania porównawcze danych etnografii, antropologią – tworzenie teorii kultury na podstawie etnologii skonfrontowanej z metodami i wiedzą innych nauk: humanistycznych, społecznych i przyrodniczych (w zależności od rozpatrywanych problemów). O antropologii powtarza się, że jest „filozofią empiryczną”, dlatego że w niej, jak w mało której dyscyplinie wiedzy, kładzie się nacisk na znaczenie teorii i metody, że należy ona do najbardziej rozległych i ugruntowanych nauk empirycznych o człowieku jako podmiocie i przedmiocie kultury (rozumianej

najszerzej jako przeciwieństwo natury), społeczeństwa i historii. To nauka, która rozpoczęła swe istnienie od badań społeczeństw i kultur pozaeuropejskich oraz kultur ludowych (niższych warstw społecznych w Europie i poza nią), przeszła następnie do badań współczesnych zjawisk społeczno-kulturowych w ich wymiarach uniwersalnych i lokalnych, wreszcie jej problemem stała się „etnografia etnografii”, tzn. sposoby i środki wytwarzania wiedzy oraz jej przedstawiania w etnografii – antropologii. Problemy i tematy etnologii i antropologii kulturowej są pod wieloma względami pokrewne czy wręcz tożsame z wiedzą kulturoznawstwa, socjologii, historii czy folklorystyki, ale też są w głównych rysach odrębne, o czym decydują historie i tradycje dyscyplinarne, specyficzne teorie i metody, zależności antropologii od etnografii, tj. badań terenowych itd. Etnologia i antropologia, jak każda dyscyplina, są zależne od pozostałych nauk. Różne nauki, jak np. literaturoznawstwo i historia, ulegały niekiedy antropologizacji. Prace antropologów należały do mód intelektualnych w świecie akademickim i pozaakademic-



nych, wreszcie jej problemem stała się „etnografia etnografii”, tzn. sposoby i środki wytwarzania wiedzy oraz jej przedstawiania w etnografii – antropologii. Problemy i tematy etnologii i antropologii kulturowej są pod wieloma względami pokrewne czy wręcz tożsame z wiedzą kulturoznawstwa, socjologii, historii czy folklorystyki, ale też są w głównych rysach odrębne, o czym decydują historie i tradycje dyscyplinarne, specyficzne teorie i metody, zależności antropologii od etnografii, tj. badań terenowych itd. Etnologia i antropologia, jak każda dyscyplina, są zależne od pozostałych nauk. Różne nauki, jak np. literaturoznawstwo i historia, ulegały niekiedy antropologizacji. Prace antropologów należały do mód intelektualnych w świecie akademickim i pozaakademic-

kim. Dobitnymi przykładami jest wpływ *Życia seksualnego dzikich* Bronisława Malinowskiego czy *Smutku tropików* Claude'a Levi-Straussa na kulturę i naukę.

Poważną częścią historii etnologii i antropologii jest fascynacja i niechęć do nich. Są to też skutki tego, że ich zajęcia zostały wyznaczone interesami politycznymi, ideami demokratycznymi i liberalnymi, dążeniami niepodległościowymi i wolnościowymi, jak w Polsce w XIX w. Cele tych nauk zbyt często i silnie zraszały się z interesami państwa, utożsamiały się z historią nacjonalizmu, kolonializmu, wykorzystywały wojny jako okazję do badań naukowych. Oskarżano je o szerzenie ateizmu, propagowanie wiedzy antynarodowej i obcej. W stalinowskiej Polsce zlikwidowano etnografię i etnologię jako nauki burżuazyjne, zastępując je „historią kultury materialnej”. W ostatnich latach etnologię i antropologię obwiniano o lewactwo, LGBT, gender i inne szkodliwości społeczne, po czym zlikwidowała tę dyscyplinę reforma szkolnictwa wyższego w 2018 roku. Powtarzające się niechęci do niej są spowodowane przede wszystkim tym, że (wg L. Kołakowskiego) to jedyna nauka zrodzona w Europie, która jest zdolna do krytyki i kwestionowania naszych podstawowych nawet idei i wartości. Stałym i charakterystycznym wysiłkiem etnologów i antropologów jest burzenie oczywistości, naturalności, trwałości i wyjątkowości naszego świata kulturowego. Już to może wywoływać niechęć i strach. Badania etnologów i antropologów niszczą nasz święty spokój, wytykają nasze przesady i zabobony, angażują się często w sprawy sporne i drażliwe, ale też dają użyteczne rozpoznania rozmaitych zjawisk (np. problemów etniczności i tożsamości, migracji, transformacji społeczno-kulturowych). W tym tkwią wystarczające racje istnienia tej dyscypliny. Pytania o jej potrzebę są takie, jak wątplenie w powody i korzyści istnienia socjologii czy historii.

Etnologia i antropologia były i są podstawowymi naukami społeczno-humanistycznymi w Polsce i na świecie. Formowanie

tych zainteresowań i nauk rozpoczyna się w Polsce, podobnie jak w innych krajach europejskich, od przełomu XVIII i XIX w. Uniwersytecka etnografia w Polsce zaczęła się z wykładami Wincentego Pola na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku akademickim 1850/51 r. W 1910 r. powstała pierwsza Katedra Etnologii we Lwowie. Etnologia jako samodzielna jednostka naukowa istniała na pięciu uniwersytetach w Polsce do 1939. Jako wyodrębniona nauka powstawała w Polsce często wcześniej niż w innych krajach. W znacznym stopniu dzięki znajomości osiągnięć naszej etnografii z przełomu XIX i XX w. Bronisław Malinowski stał się twórcą nowoczesnej antropologii. Etnologia polska od końca XIX w. do 1939 r. miała liczne i wielostronne związki ze swoimi odpowiednikami za granicą. Te relacje uległy poważnemu ograniczeniu po 1945 r. Od lat 80-90 XX w. polska etnologia i antropologia odbudowała i rozwinęła w dużym stopniu związki z antropologią światową, stała się jej integralną i rozpoznawalną częścią. To zagraniczne instytucje i międzynarodowe organizacje (np. American Anthropological Association) protestowały w 2018 r. przeciwko usunięciu tej dyscypliny z listy ministerialnej nauk. Nasza dyscyplina istnieje obecnie na ośmiu uniwersytetach (jeszcze ok. 10 lat temu etnologia należała do najpopularniejszych kierunków studiów). Etnologią i antropologią zajmuje się obecnie ponad 200 badaczy zatrudnionych w szkołach wyższych, jednostkach PAN i w muzeach (to jest kilkakrotny wzrost w stosunku do lat 80. i 90. XX wieku). Rozporządzenie MEiN z 11 października 2022 r. uzupełniające wykaz dyscyplin o etnologię i antropologię kulturową przywraca nas do świata, w którym ta dyscyplina istnieje na wszystkich liczących się i mniej znaczących uniwersytetach: w USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Chinach, Etiopii, w Brazylii itd. Na Uniwersytecie Jagiellońskim przystępujemy natychmiast do organizacji rady dyscypliny etnologii i antropologii kulturowej.

Polonistyka jako powinność

Prof. Ryszard Koziołek, rektor Uniwersytetu Śląskiego, polonista, przedstawia koncepcję dyscypliny polonistyka, przekonując, że nowe ujęcie badań nad polszczyzną jest powinnością nauki wobec społeczeństwa i państwa.

Podział badań nad językiem i literaturą polską na dwie dyscypliny: językoznawstwo i literaturoznawstwo budził od początku wiele wątpliwości, które prezentowano m.in. podczas zjazdów polonistów. Z tych refleksji wyłoniła się propozycja ustanowienia dyscypliny polonistyka, jednak rozumianej inaczej niż prosta synteza lub odnowienie filologii polskiej pod postacią „filologii narodowej”. Niemniej, w moim przekonaniu, badania nad kulturą polską powinny mieć szczególne miejsce w polityce naukowej państwa, podobnie jak dzieje się to w innych krajach.

W najbardziej lapidarnym uproszczeniu polonistyka jako dyscyplina naukowa powinna badać „polszczyznę”, przez który to przedmiot rozumieć wszelkie manifestacje kulturowe, których medium jest język polski, łącznie z nim samym, czyli polszczyzną jako repertuarem jej odmian współczesnych i historycznych. Byłaby to zatem polonistyka bardziej w rozumieniu Polish studies niż filologii polskiej.

Idea powołania dyscypliny polonistyka skonkretyzowała się na posiedzeniu Konferencji Rek-

torów Uniwersytetów Polskich podczas opiniowania nowego rozporządzenia o dyscyplinach i dziedzinach nauki. Tam podjęliśmy wspólnie decyzję o rekomendowaniu Ministerstwu Edukacji i Nauki nowej dyscypliny, której przedmiot opisałismy mniej więcej w taki sposób.

Może warto pamiętać, że luminarze badań nad literaturą polską, jak choćby Maria Janion czy Henryk Markiewicz, w swoich wielkich pracach postrzegali język i literaturę polską jako składnik i pryzmat postrzegania procesów i zjawisk historycznych, społecznych, ekonomicznych itp. Podobnie metodologia badań polonistycznych wykraczała i wykracza poza językoznawstwo i literaturoznawstwo.

Niezwykle istotna jest odpowiedzialność polonistyki akademickiej wobec polonistyki szkolnej, która przecież kształci ucznia kompleksowo, w zakresie wiedzy o kulturze polskiej: języku, literaturze, teatrze, filmie, muzyce, sztukach plastycznych. Właśnie odpowiedzialność za powszechne kształcenie polonistyczne stanowiło niezwykle istotną motywację do apelowania o powołanie nowej dyscypliny. Język polski



jest nie tylko ważnym przedmiotem szkolnym, ale kształci zdolności operacyjne niezbędne do funkcjonowania w społeczeństwie, w kulturze, w pracy zawodowej, w świecie. Rozumiem doskonale niepokój i nerwowość w środowiskach akademickich związane z pojawieniem się tej dyscypliny. Nie wiadomo bowiem na razie, jak ulokować ją w obrębie dyscyplin istniejących ani jakie będą zasady jej ewaluowania. Jeżeli dotychczasowi literaturoznawcy i językoznawcy mieliby się przypisać do nowej, tak rozumianej dyscypliny, to muszą wiedzieć, czym ona ma być, co jest jej przedmiotem, i jak ma być usytuowana w odniesieniu do dotychczasowych dyscyplin. Podzielając te niepokoje i chcąc wyjść im naprzeciw, podjęliśmy z rektorami-polo-

nistami, profesorami Bogumiłą Kaniewską i Jackiem Popielem, inicjatywę zorganizowania Kongresu Nowej Polonistyki, który odbędzie się w Katowicach w lipcu 2023 r. Uznaliśmy, że wszystkie palące kwestie powinny zostać tam przedyskutowane w jak najszerzym gronie humanistów akademickich zajmujących się badaniami kultury polskiej.

Zaznaczam, że przedstawiam tu swój punkt widzenia, a ostateczny kształt ta dyscyplina powinna uzyskać w drodze środowiskowej debaty, która jest przed nami.

Notował Piotr Kieraciński

Więcej niż dyscyplina

Prof. Elżbieta Osewska (Akademia Nauk Stosowanych w Tarnowie), dr Piotr Guzdek (Uniwersytet Opolski) i dr hab. Maria Ryś, prof. UKSW, przedstawiają argumenty na rzecz wpisania nauk o rodzinie na listę dziedzin i dyscyplin nauki.

Przez wiele lat Instytut Studiów nad Rodziną w Łomiankach wraz ze środowiskiem familiologicznym w Polsce zabiegał o wpisanie na oficjalną listę dyscypliny nauki o rodzinie. Starania zostały uwieńczone sukcesem w 2011 r., gdy tak określona dyscyplina znalazła się w rozporządzeniu minister nauki w obszarze nauk humanistycznych i w dziedzinie nauk humanistycznych. Przyjęto wówczas, że w badaniach nad rodziną obowiązywać będzie ujęcie humanistyczne. W rozporządzeniu ministra nauki z 2018 r. usunięto z podziału nauk samodzielną dyscyplinę nauki o rodzinie. Została ona wówczas rozproszona i zakres badań włączony był do dziedziny nauk społecznych, humanistycznych bądź teologicznych, przy czym oficjalnie badania nad rodziną zawężono do spojrzenia socjologicznego i do zastosowania przyjętej w tej dyscyplinie metodologii.

Przyporządkowanie nauk o rodzinie do którejkolwiek z dotychczasowych dyscyplin skutkowało narzuceniem dominandy problemowej właściwej dla tej dyscypliny (psychologicznej, socjologicznej, pedagogicznej, filozoficznej lub teologicznej). To redukcjonistyczne ujęcie rodziny ograniczało badania nad rodziną do ujęcia biologicznego, relacyjnego, rozwojowego, wychowawczego, społeczno-ekonomicznego, strukturalno-funkcjonalnego, instytucjonalnego, kulturowego, wspólnotowego czy soteriologicznego. Dla przykładu, umiejscowienie nauk o rodzinie w grupie nauk społecznych ograniczało całą grupę badaczy posługujących się zapleczem teoretycznym i metodologicznym wyniesio-

nym z dotychczasowej dziedziny nauk humanistycznych, teologicznych czy medycznych.

Przyjmując założenie, iż wiedza naukowa jest o tyle potrzebna, o ile służy człowiekowi, uzasadnień przywrócenia nauk o rodzinie należało także szukać w prakseologii. Nauki o rodzinie jako dyscyplina i dziedzina badań powinny służyć człowiekowi, który jest uznany za istotę rodzinną – Homo familiaris. Dlatego utworzenie dziedziny nauk o rodzinie nie tylko ma charakter rozwojowy, ale stwarza możliwość wyszczególnienia w przyszłości nowych dyscyplin w jej ramach.

Od wiosny 2021 r. przedstawiciele Polskiego Stowarzyszenia Familiologicznego (PSF) prowadzili rozmowy z ministrem edukacji i nauki w sprawie przywrócenia dyscypliny nauki o rodzinie, co doprowadziło do powołania Zespołu do opracowania kierunków rozwoju nauk o rodzinie, w skład którego weszli przedstawiciele kilku uczelni, PSF oraz ministerstwa. W pracach zespołu m.in. wskazano główne cele badań nad małżeństwem i rodziną, określono podstawowe założenia teoretyczne i metodologiczne nauk o rodzinie. Podano argumenty instytucjonalne, przypominając o obecności nauk o rodzinie w klasyfikacji dziedzin i dyscyplin naukowych w latach 2011–2018 w dziedzinie nauk humanistycznych, oraz że dwa uniwersytety (UPJ-PiI w Krakowie i Uniwersytet Opolski) uzyskały prawo do nadawania stopnia doktora w tym zakresie. Wskazano, że nauki o rodzinie uzyskały autonomię naukową, gdyż posiadają wyodrębniony przedmiot materialny (instytucję małżeństwa i rodziny), badaczy specja-

lizujących się w badaniach nad małżeństwem i rodziną, centra badawczo-konsultacyjne (które dobrze prosperują w innych krajach, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki), funkcjonują towarzystwa naukowe i organizowane są międzynarodowe konferencje naukowe poświęcone tej tematyce. Nauki o rodzinie – w języku angielskim Family Studies – są międzynarodowo stabilnym obszarem badawczym, co m.in. potwierdzają uznane pisma naukowe: „The Journal of Family Studies”, „Journal of Comparative Family Studies”, „Journal of Mar-



Elżbieta Osewska



Piotr Guzdek



Maria Ryś

riage and Family”, „Marriage, Families & Spirituality”, „Journal of Child and Family Studies”.

Zespół uznał, iż ze względu na stopień skomplikowania przedmiotu badań, jakim są małżeństwo i rodzina, w badaniach potrzebne jest podejście interdyscyplinarne, bowiem rozwiązania problemów naukowych związanych z tym przedmiotem widziane w perspektywie jednej, wybranej dyscypliny (np. socjologii) są fragmentaryczne i jednoaspektowe, a więc rozproszone. Podejście interdyscyplinarne natomiast nie sprowadza się do sumy wyników poszczególnych dyscyplin, gdyż to dawałaby co najwyżej podejście multidyscyplinarne, co jest wyraźną nieadekwatnością w stosunku do przedmiotu. Oznacza to, że dla nauk o rodzinie wypracowywane są ramy epistemologiczne i metodologiczne oparte na paradygmacie interdyscyplinarności i integralności. Nie ma natomiast żadnych ograniczeń co do dyscyplin, z których czerpią tego typu badania interdyscyplinarne. Poznanie zjawisk dotyczących małżeństwa i rodziny wymaga od badaczy transgresji – przekraczania dyscy-

plinowych granic. W tej perspektywie utworzenie dziedziny nauk o rodzinie umożliwia integrację środowiska badaczy zajmujących się problematyką małżeństwa i rodziny w ramach dotychczasowych dyscyplin, takich jak np. filozofia, historia, nauki teologiczne, pedagogika, psychologia, nauki socjologiczne, ekonomia, nauki prawne, nauki medyczne.

Autonomia naukowa dyscypliny nauki o rodzinie wyraża się w wyodrębnionym przedmiocie materialnym, wypracowanej metodologii, środowisku badaczy, w międzynarodowym ugruntowaniu nauk o rodzinie w postaci czasopism i centrów badawczo-konsultacyjnych, towarzystw naukowych oraz możliwości uzyskania stopni i tytułów naukowych w systemach szkolnictwa wyższego innych krajów. Rezultaty badań naukowych prowadzonych w naukach o rodzinie mogą być podstawą rekomendacji dla polityki rodzinnej, polityki demograficznej, polityki społecznej, pracy socjalnej z rodziną, edukacji, profilaktyki i terapii rodziny, asystentury rodziny, opieki nad osobą chorą w rodzinie, pieczy zastępczej itd.

Co z odwołaniami?

Prof. Zbigniew Kmiecik, prawnik, prorektor Uniwersytetu Łódzkiego ds. nauki, wyjaśnia, co w kontekście ewaluacji znaczy popularnie stosowany termin „odwołanie” i jaka relacja występuje pomiędzy nim i pojęciem „wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy”.

Ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce nie przewiduje wniesienia odwołania od decyzji ministra o przyznaniu kategorii naukowej, dopuszcza natomiast skorzystanie ze środka zaskarżenia nazwanego „wnioskiem o ponowne rozpatrzenie sprawy”. To istotna różnica z punktu widzenia właściwości organu administracyjnego, który podejmuje ostateczne rozstrzygnięcie w sprawie. Z klasycznym odwołaniem mamy do czynienia w sytuacji, w której decyzję administracyjną (a właśnie w tej formie następuje przyznanie kategorii naukowej) kwestionujemy, wnosząc zarzuty do organu wyższej instancji. Tymczasem w przypadku zaskarżenia decyzji zawierającej ocenę działalności naukowej, czego konsekwencją jest przyznanie określonej kategorii naukowej, możemy mówić o szczególnym rodzaju odwołania, oznaczanego jako niedewolutywne. Oznacza to, że skierowane jest ono do tego samego organu, który wydał kwestionowany akt.

Wniesienie odwołania powoduje przedłużenie stanu zawisłości sprawy, czyli jej dalsze pozostawanie w administracyjnym toku instancji. Ustaje on wraz z wydaniem decyzji ostatecznej. Uzyskanie cechy ostateczności przez decyzję organu administracyjnego jest równoznaczne z jej wejściem do obrotu prawnego – wywołaniem skutków prawnych wiążących dla adresata. Ważne jest to, że uruchomienie tego trybu zaskarżenia decyzji łączy się z obowiązkiem rozpoznania sprawy w jej pełnym zakresie przedmiotowym, zaś umocowany do tego organ nie jest związany zakresem sformułowanych przez stronę zarzutów. Formą ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy jest wydanie decyzji o utrzymaniu w mocy zapadłej wcześniej decyzji bądź jej uchyleniu i orzeczeniu na nowo co do istoty sprawy (zmianie decyzji).

Wnoszący środek zaskarżenia nie muszą obawiać się ryzyka pogorszenia swojej sytuacji prawnej, gdyż w postępowaniu administracyjnym obowiązuje ustanowiony w k.p.a. generalny zakaz reformationis

in peius (zmiany na gorsze). Nie znajduje on zastosowania wyłącznie wówczas, gdy zaskarżona decyzja rażąco narusza prawo lub interes społeczny. Nietrudno zauważyć, że z uwagi na istnienie gwarancji procesowych w postaci środków zaskarżenia decyzji w administracyjnym toku instancji (klasycznego odwołania i wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy), do czasu upływu terminu do ich wniesienia decyzja pierwszoinstancyjna jest niejako „warunkowa”. Skorzystanie z jednego z wyróżnionych rodzajów odwołań w przewidzianym przepisami prawa terminie i uwzględnienie go sprawia, że pierwotne rozstrzygnięcie traci swój prawny byt (nigdy nie wejdzie do obrotu prawnego). Uzyskanie przez dany podmiot np. najpierw kategorii „B”, a następnie przyznanie – w rezultacie rozpatrzenia przez ministra środka zaskarżenia decyzji – kategorii „B+” powoduje stan związania od początku drugą z decyzji (przyjmujemy, że pierwszej decyzji nigdy nie było).

Włączenie do naszego porządku prawnego instytucji wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy uzasadnione było – podobnie jak w innych systemach prawnych – faktem umocowania do rozstrzygnięcia niektórych rodzajów spraw organów szczebla centralnego (ministrów w rozumieniu k.p.a.), nad którymi nie ma wyższej instancji. Jak w takiej sytuacji zapewnić obiektywizm rozstrzygnięcia, który przecież może być poddawany w wątpliwość przy użyciu argumentu „zajęcia się sprawą” przez osoby, które już raz ją rozpatrywały? Zagrożenie to ma eliminować konstrukcja wyłączenia od udziału w postępowaniu urzędnika, który wcześniej uczestniczył „w wydaniu zaskarżonej decyzji”. W ustawodawstwie wielu państw funkcjonuje też zasada, że pierwszą z decyzji podpisuje osoba działająca z upoważnienia kierownika organu, zaś drugą, zawierającą ostateczne rozstrzygnięcie, sam kierownik organu, np. minister. W Polsce taka praktyka stosowana była i jest przez część organów administracji publicznej, nad którymi nie ma organów wyższego stopnia.



Polacy wśród najczęściej cytowanych

Po raz czwarty opublikowano listę 2% najwyżej cytowanych badaczy sporządzoną przez naukowców z Uniwersytetu Stanforda oraz Elsevier (lista 2%). Przygotowana jest w dwóch wersjach: za całokształt badań naukowych oraz za rok 2021. Jednostki naukowe zaczęły publikować wykazy swoich pracowników, często podając łącznie wyniki z obydwu zestawień. Przedstawione tutaj dane dotyczą jedynie wersji pierwszej, tej za całokształt badań, ponieważ druga charakteryzuje się dużą zmiennością z roku na rok. Znalazło się na niej 195 605 naukowców z całego świata, z czego 1056 związanych jest z polską instytucją naukową, co stanowi 0,54% całości. W analizie ubiegłorocznej z naszego kraju pochodziło 726 naukowców, jednak lista liczyła 186 178 badaczy, nasi stanowili więc 0,39%, wszystkich. Zatem zarówno ilościowo, jak i procentowo obserwujemy wzrost liczby polskich naukowców w gronie najczęściej cytowanych. Dwa lata to jednak za mało, by mówić o jakimś trendzie. Liczba 1056 odbiega od liczby 1027 podanej przez sciencewatch.pl. Ja uwzględniałem wszystkich badaczy z polską afiliacją, również nieżyjących. Biorąc po uwagę, że w kraju zatrudnionych jest 81 500 pracowników naukowych, liczba 1056 to około 1,2% całości, a zatem nieco więcej niż co setny naukowiec z kraju znalazł się na liście. Jednostki PAN umieściły na liście 3,56 % swoich pracowników (172/4830), Uniwersytet Warszawski - 1,59 % (59/3700), AGH - 1,16 % (49/4242), a Instytut Farmakologii PAN - 15,1 % (16/106).

Na liście 2% analizowane były indeksy cytowań w 22 obszarach badawczych oraz w 176 dyscyplinach naukowych wg. bazy Scopus „All Science Journal Classification”. Dla każdego naukowca określano wiodącą dyscyplinę badawczą oraz dwie dyscypliny dodatkowe. W każdej z nich wyszukano 2% najwyżej cytowanych badaczy. Przykładowo, w dyscyplinie medycyna ogólna na świecie publikuje 648 015 badaczy, w medycynie prawnej i sądowej jest ich prawie 100 razy mniej (7790), a w ornitologii jedynie 371. Zatem tylko 7 ornitologów na świecie miało szanse znaleźć się w gronie 2% najczęściej cytowanych badaczy. Jest wśród nich zmarły w roku 2020 prof. Ludwik Tomiałojć, znakomity ornitolog z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Polscy badacze wymienieni w zestawieniu pracują w 162 jednostkach naukowych. Lista najczęściej reprezentowanych instytucji przedstawiona jest w Tabeli 2. Na pierwszym miejscu jest Polska Akade-

mia Nauk jako całość, reprezentowana przez 172 badaczy. Zważywszy, że PAN zatrudnia 4830 pracowników naukowych, 3,56% z nich znalazło się na liście, a zatem prawie 3 razy więcej niż wynosi średnia krajowa. Na drugim miejscu jest Uniwersytet Warszawski reprezentowany przez 59 badaczy, co przy zatrudnieniu 3700 naukowców daje 1,59%. Ostatnie miejsce na podium zajmuje Akademia Górniczo-Hutnicza – zatrudnia ona 4242 badaczy, z których 49 zaistniało w zestawieniu, co stanowi 1,16%. Jako ciekawostkę można przytoczyć fakt, że Instytut Farmakologii PAN, najczęściej reprezentowana na liście placówka PAN-owska, która zatrudnia 106 naukowców, ma w omawianym zestawieniu 16 badaczy, co daje wynik 15,1%, a zatem około 12 razy powyżej średniej krajowej. Zapewne jest to najlepszy rezultat wśród polskich jednostek naukowych.

Polscy badacze, którzy znaleźli się w tym zestawieniu, pracują w 80 dyscyplinach naukowych. Najczęściej reprezentowane, przedstawione są w Tabeli 3. Najwięcej, bo 95 osób pracuje w dyscyplinie inżynieria materiałowa, 83 zajmuje się sztuczną inteligencją i przetwarzaniem obrazu, 75 energią, 74 fizyką stosowaną, mamy też 64 przedstawicieli medycyny ogólnej i wewnętrznej. By jednak prawidłowo ocenić poziom naukowy poszczególnych dyscyplin, należałoby znać liczbę pracujących w nich badaczy.

Choć w każdym systemie analiz można dopatrzeć się pewnych wad (patrz: Proń, Szatyłowicz FA 2021, 328/3, 47-51), to dużym plusem analizy zestawienia 2% najczęściej cytowanych naukowców jest fakt, że daje ona możliwość zaistnienia na listach badaczy z nielicznie reprezentowanych i niżej cytowanych dyscyplin naukowych. Wydaje się też, że systemy analiz tego typu powinny być szerzej stosowane w ocenie jednostek naukowych, zwłaszcza do wyboru jednostek kategorii A+, bo jeśli jakaś instytucja dziesięciokrotnie przewyższa średnią krajową pod względem najwyżej cytowanych badaczy, chyba świadczy to dobitnie o poziomie prowadzonych w niej badań. Jednostki są bowiem tak dobre naukowo, jak dobrzy są pracujący w nich badacze. Już chyba czas, by Impact Factor przestał być głównym wskaźnikiem stosowanym do analiz jakości badań naukowych w naszym kraju.

Andrzej Piłc, Instytut Farmakologii PAN im. Jerzego Maja oraz UJ CM, Kraków

Tabela 1. Instytucje z największą liczbą naukowców z listy 2% (za cały okres trwania działalności badawczej)

Liczba badaczy	Jednostka
172	Polska Akademia Nauk
59	Uniwersytet Warszawski
49	Akademia Górniczo-Hutnicza
47	Politechnika Warszawska
46	Politechnika Wrocławska
35	Uniwersytet Jagielloński
34	Politechnika Gdańska
34	Politechnika Poznańska
33	Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
31	Politechnika Śląska
25	Politechnika Łódzka
24	Uniwersytet Wrocławski
23	Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego

Tabela 2. Najczęściej reprezentowane dyscypliny badawcze, w których działają polscy badacze z listy 2%.

Dyscyplina	Liczba badaczy
Inżynieria materiałowa	95
Sztuczna inteligencja i przetwarzanie obrazu	83
Energia	75
Fizyka stosowana	74
Medycyna ogólna i wewnętrzna	66
Chemia analityczna	47
Fizyka jądrowa i cząstek stałych	36
Inżynieria mechaniczna i transport	33
Polimery	33
Chemia organiczna	30
Farmakologia i Frmacja	30
Optoelektronika i Fotonika	27
Inżynieria chemiczna	25

Modni naukowcy 2021 czyli o tegorocznej edycji tzw. listy TOP 2%

W niniejszym tekście przeanalizujemy udostępniony 3 listopada br. wykaz autorów o najwyższych indeksach c ustalonych w oparciu o cytowania z roku 2021 (Ioannidis, John P.A. (2022), *September 2022 data-update for „Updated science-wide author databases of standardized citation indicators”*, Mendeley Data, V5, doi: 10.17632/btchxktzyw.5). Analizy dotyczące wykazów z dwóch poprzednich lat można znaleźć w archiwalnych numerach FA. Przypomnijmy, że indeks c (composite citation index – złożony indeks cytowań) autora wyznaczany jest w oparciu o sześć wskaźników: indeksy Hirscha (h-index) i Schreibera (hm-index) oraz cztery liczby cytowań jego prac (wszystkich, bez współautorów, bez współautorów lub w roli pierwszego autora, bez współautorów lub w roli pierwszego albo ostatniego autora).

Do omawianego wykazu w tym rok trafiło 200196 autorów (spośród ponad 9 mln z dorobkiem co najmniej 5 prac indeksowanych w bazie Scopus), których indeks c (z uwzględnieniem autocytoowań lub bez nich) mieści się w 100 tys. najwyższych lub w górnych 2% w jednej ze 174 poddyscyplin.

Autorów z polską afiliacją jest w tegorocznym zestawieniu 1046, czyli 0,52% (w zeszłym roku było ich 1027 – 0,54%, a dwa lata temu 774 – 0,48%).

Podobnie jak w zeszłym roku, w trzech dyscyplinach (Visual & Performing Arts, Built Environment & Design i Public Health & Health Services) nie ma ani jednego autora z polską afiliacją. Najmocniej reprezentowani jesteśmy natomiast w Chemistry (1,14%) oraz Agriculture, Fisheries & Forestry (1,08%), które w tym roku wyprzedziły

Physics & Astronomy (0,96%). Powyżej przeciętnej są jeszcze Engineering (0,82%), Mathematics & Statistics (0,77%) oraz Enabling & Strategic Technologies (0,67%).

Najwyższe indeksy c posiadają, tak jak przed rokiem, Zhong Lin Wang (bez autocytoowań 5,3854, z autocytoowaniami 5,4018), Georg Kresse i Yoshua Bengio. Indeks c bez autocytoowań powyżej 5 posiada 18 naukowców (w tym 9 z USA oraz 3 z Wielkiej Brytanii; reprezentują oni przede wszystkim Clinical Medicine (6 osób), Information & Communication Technologies (5) i Physics & Astronomy (3)); w zeszłym roku było ich 26.

Z kolei najniższe indeksy u osób z tegorocznego wykazu to 0 w pierwszym przypadku i 1,5459 w drugim. Pierwszy z indeksów nie przekraczający 2 ma 1856 osób (w zeszłym roku było ich dużo mniej, bo 727), a drugi 547 (303). W tej pierwszej grupie jest 16 autorów z indeksem poniżej 1, w tym dwóch, których wszystkie cytowania w roku 2021 były autocytoowaniami. Ponieważ ci ostatni zostali sklasyfikowani na miejscu 7 948 526, więc oznacza to, że ponad milion autorów (dokładnie 1 122 596, czyli blisko co ósmy) z dorobkiem co najmniej 5 prac indeksowanych w bazie Scopus jest w tej samej co oni sytuacji (tzn. nikt inny nie zacytował żadnej z ich publikacji z lat 1960-2021 w swojej pracy z 2021 roku – mowa tu oczywiście o tym, co jest ujęte w bazie Scopus).

Autorem z polską afiliacją o najwyższych obu indeksach c (wynoszących odpowiednio 3,89 i 3,9676, co daje mu miejsca odpowiednio 2200 i 1814) jest Piotr Ponikowski, rektor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Jego prace były cytowane w roku 2021 łącznie 23 200

Tabela 1.

Nazwa dyscypliny	Liczba przypisanych do dyscypliny autorów (z dorobkiem co najmniej 5 prac)	Liczba autorów w bazie reprezentujących dyscyplinę	Odsetek autorów w danej dyscyplinie znajdujących się w bazie
Unassigned	427		
Visual & Performing Arts	6 333	108	0,0171
Philosophy & Theology	23 638	456	0,0193
Historical Studies	42 082	890	0,0211
Communication & Textual Studies	43 349	946	0,0218
Built Environment & Design	48 681	1 077	0,0221
Mathematics & Statistics	112 257	2 473	0,022
Psychology & Cognitive Sciences	112 843	4 088	0,0362
Economics & Business	168 428	5 269	0,0313
Public Health & Health Services	169 053	3 389	0,02
Social Sciences	191 880	4 981	0,026
Earth & Environmental Sciences	302 410	7 110	0,0235
Agriculture, Fisheries & Forestry	313 703	6 283	0,02
Biology	332 772	8 188	0,0246
Chemistry	645 810	13 794	0,0214
Information & Communication Technologies	646 368	12 997	0,0201
Engineering	708 314	15 340	0,0217
Biomedical Research	737 571	15 490	0,021
Physics & Astronomy	785 346	17 861	0,0227
Enabling & Strategic Technologies	793 331	17 821	0,0225
Clinical Medicine	2 886 526	61 635	0,0214
TOTAL	9 071 122	200 196	0,0221

Tabela 2.

Nazwa dyscypliny	Liczba autorów z polską afiliacją 2019	Liczba autorów z polską afiliacją 2020	Liczba autorów z polską afiliacją 2021	Odsetek autorów z polską afiliacją wśród wszystkich z danej dyscypliny, uwzględnionych w bazie 2021
Visual & Performing Arts	1	0	0	0
Philosophy & Theology	0	1	2	0,0044
Historical Studies	2	1	2	0,0022
Communication & Textual Studies	1	2	2	0,0021
Built Environment & Design	2	0	0	0
Mathematics & Statistics	16	17	19	0,0077
Psychology & Cognitive Sciences	5	11	15	0,0037
Economics & Business	4	5	11	0,0021
Social Sciences	5	4	5	0,001
Public Health & Health Services	0	0	0	0
Earth & Environmental Sciences	20	28	24	0,0034
Agriculture, Fisheries & Forestry	39	57	68	0,0108
Biology	26	37	40	0,0049
Information & Communication Technologies	52	65	58	0,0047
Chemistry	125	165	157	0,0114
Engineering	103	128	126	0,0082
Biomedical Research	23	36	47	0,003
Enabling & Strategic Technologies	90	115	119	0,0067
Physics & Astronomy	143	182	172	0,0096
Clinical Medicine	117	173	179	0,0029
TOTAL	774	1027	1046	0,0052

razy (19 951 nie uwzględniając autocytoowań) w 15 604 różnych publikacjach, a jego jednoroczny (za 2021) indeks Hirscha to 55. W poddyscyplinie Cardiovascular System & Hematology, reprezentowanej przez 199 278 autorów, powyższe indeksy dały pozycje odpowiednio 67 i 59. Pozostałe miejsca na podium ze względu na indeks c bez autocytoowań zajmują znani z zeszłorocznej analizy Antoni Rogalski (indeks 3,8311) i Zdzisław Pawlak (3,8266). Z trójki zeszłorocznych liderów (Witold Pedrycz, Ralf Schwarzer i Zdzisław Pawlak – wszyscy oni mieli indeksy powyżej 4) dwóch nie ma już polskiej afiliacji.

W pierwszych setkach swoich pierwszych poddyscyplin utworzonych na podstawie indeksu c bez autocytoowań plasuje się 47 uczonych z polską afiliacją (w zeszłym roku było ich 50, a w 2019 – 40). W przypadku indeksu z autocytoowaniami jest ich w nich 57 (było 60 i 44). W przypadku indeksu bez autocytoowań najwyżej – na 15 miejscu (w poddyscyplinie Ornithology, uwzględniającej 5641 autorów) – znalazł się zmarły w zeszłym roku Tomasz Wesołowski z Uniwersytetu Wrocławskiego. W poddyscyplinie Analytical Chemistry reprezentowanej przez 107 126 autorów, na 18 pozycji jest, również nieżyjący, były rektor Politechniki Gdańskiej Jacek Namieśnik, a w Anatomy & Morphology (6666 autorów) 19 miejsce zajmuje Krzysztof Tomaszewski z niepublicznej Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, którego pierwsza praca w bazie pochodzi z 2010 roku. Wśród wspomnianych 47 autorów z Polski najwięcej jest pracowników Polskiej Akademii Nauk (5) oraz Politechniki Śląskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego (po 3). Z kolei najliczniej reprezentowanymi poddyscyplinami są Anatomy & Morphology i Legal & Forensic Medicine (po 5 autorów) oraz Analytical Chemistry (4).

Antoni Rogalski – sklasyfikowany w zeszłym roku w poddyscyplinie Optoelectronics & Photonics na drugim miejscu – tym razem zakwalifikowany został do Applied Physics i umieszczony na 79 pozycji wśród 289 917 autorów. Natomiast Harald Walach i Marios Loukas, którzy także znajdowali się w zeszłym roku w pierwszych dziesiątkach swoich poddyscyplin, w tym roku nadal są na wysokich miej-

scach w wykazie, ale nie mają już polskich afiliacji. Warto w tym miejscu wspomnieć, że współpraca Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu z Walachem zakończyła się w połowie zeszłego roku po opublikowaniu przez niego współautorskiego artykułu *The Safety of COVID-19 Vaccinations — We Should Rethink the Policy* w wydawanym przez MDPI czasopiśmie „Vaccines”. Artykuł ten wzbudził poważne kontrowersje, które doprowadziły do natychmiastowej rezygnacji kilku osób ze stanowisk redakcyjnych w „Vaccines” (pisała o tym m.in. Meredith Wadman z „Science”: doi: 10.1126/science.abk2629) i – po ok. tygodniu od publikacji – wycofania go przez czasopismo. UMP oświadczył, że zaprezentowane w artykule treści nie odzwierciedlają stanowiska uczelni, zakwestionował rzetelność i metodologię badań oraz poinformował o zakończeniu współpracy z Haraldem Walachem.

Przypomnijmy, że w omawianym wykazie jest 1046 autorów z polską afiliacją. Indeks c bez autocytoowań mieszczący się w górnych 2% swojej poddyscypliny ma 850 z nich. Z pozostałych 196 osób 26 trafiło do wykazu, bo ich indeks plasuje się w 100 tys. najwyższych, a reszta dzięki autocytoowaniom. Z kolei w jeszcze węższym gronie, bo w górnych 2‰ indeksy c ma 51 autorów z polskich jednostek, liderem jest Jacek Namieśnik, który wyprzedza Adama Głowacza z Akademii Górniczo-Hutniczej (23 miejsce w poddyscyplinie Electrical & Electronic Engineering, reprezentowanej przez 106549 autorów) i Antoniego Rogalskiego. Aż 7 z nich to przedstawiciele Analytical Chemistry, a 4 General Physics. Co ciekawe, od trzyosobowej reprezentacji Politechniki Gdańskiej (Jacek Namieśnik, Justyna Płotka-Wasyłka i Marek Tobiszewski) w 2‰ pierwszej poddyscypliny (214 osób) liczniesz jest jedynie ta z chińskiego Nanjing University (5 autorów), a Michała, Pawła i Ryszarda Horodeckich z Uniwersytetu Gdańskiego w 2‰ drugiej (141 osób) wyprzedzają tylko czterosobowe reprezentacje amerykańskich Massachusetts Institute of Technology i IBM Thomas J. Watson Research Center.

Najlicznieszą reprezentację w całym wykazie, tak jak w poprzednich latach, posiada Polska Akademia Nauk, której nazwa pojawia

Tabela 3.

Uczelnia	Autorzy o najwyższych indeksach w 2021	Liczba autorów 2021	Liczba autorów 2020	Liczba autorów 2019
(ub) Uniwersytet Jagielloński (w tym przypisani do Collegium Medicum)	T. Guzik, B. Krajewska, J. Dulak	67 (21)	71 (28)	49 (16)
(ub) Uniwersytet Warszawski	Z. Pawlak, K. Pyrzyńska, M. Orliży	51	53	43
(ub) Akademia Górniczo-Hutnicza	A. Głowacz, W.J. Staszewski, P. Bożek	43	50	38
(ub) Politechnika Warszawska	M.P. Kaźmierkowski, M. Malinowski, J. Krupka	37	34	34
(upb) Politechnika Wrocławska	R. Weron, K. Chojnacka, K.U. Kainer	37	41	30
(ub) Politechnika Gdańska	J. Namieśnik, J. Płotka-Wasyłka, M. Tobiszewski	36	28	26
(ub) Politechnika Śląska	D. Połap, M. Woźniak, D. Janas	34	32	19
Politechnika Poznańska	E. Frąckowiak, T. Jesionowski, F. Béguin	32	32	26
(ub) Uniwersytet im. Adama Mickiewicza	M. Kwiek, J. Nawrocki, R. Pietrzak	28	30	23
(upb) Politechnika Łódzka	A. Steinbüchel, J. Awrejcewicz, T. Kapitaniak	26	25	21

się przy nazwiskach 138 autorów (rok temu było ich 134, a dwa lata temu 96). Wśród nich najwyższe indeksy c mają Krzysztof Belczyński, turecki informatyk Erol Gelenbe i Ryszard Amarowicz. Liderem wśród jednostek PAN jest Instytut Fizyki Jądrowej (10 osób), który wyprzedza Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika, Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych, Instytut Chemii Fizycznej oraz Instytut Podstawowych Problemów Techniki (po 8). Naukowcy z instytutów PAN reprezentują przede wszystkim fizykę i astronomię (47 osób), chemię (19) oraz medycynę kliniczną (17).

Skład pierwszej dziesiątki najliczniej reprezentowanych w wykazie polskich uczelni już trzeci raz jest taki sam. W tym roku czwarte miejsce dzieli Politechnika Warszawska i Politechnika Wrocławska, a z dziewiątego na szóste awansowała Politechnika Gdańska, która odnotowała też w tym gronie najbardziej spektakularny wzrost (z 28 na 36 reprezentantów w wykazie).

Wśród autorów z polską afiliacją połowę stanowią pracownicy Polskiej Akademii Nauk i pierwszej dziesiątki uczelni, przy czym ci pierwsi to ponad 13% naszej reprezentacji w wykazie.

Podajmy także wyniki uczelni badawczych (w tabeli 3. wyróżniono je dopiskiem (ub)) i pozostałych uczestniczących w konkursie

IDUB ((upb)), które nie znalazły się w czołowej dziesiątce zestawienia. Te pierwsze to Uniwersytet Mikołaja Kopernika (22 osoby), Uniwersytet Wrocławski (18) i Gdański Uniwersytet Medyczny (11), a drugie: Uniwersytet Medyczny w Łodzi (18), Uniwersytet Łódzki (17), Uniwersytet Śląski (17), Uniwersytet Gdański (15), Uniwersytet Medyczny w Poznaniu (13), Uniwersytet Medyczny w Białymstoku (9), Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (7) i Uniwersytet Pedagogiczny (1).

Warto odnotować jeszcze bardzo dobry wynik Politechniki Lubelskiej (24 osoby, z których najwyższe indeksy c mają Marek Kosmulski i Grzegorz Ludwik Golewski) oraz ponadprzeciętne Politechniki Krakowskiej (17), Uniwersytetu Medycznego w Lublinie (17), Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu (17), Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu (15) i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (14).

Wśród uczelni niepublicznych najlepiej wypadł SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny z czwórką autorów w wykazie. Troje z nich reprezentuje dyscyplinę Psychologii & Cognitive Sciences, a jeden Social Sciences, co w obu przypadkach stanowi 20% wszystkich autorów z polską afiliacją.

Krzysztof Ciepliński, Akademia Górniczo-Hutnicza



Z okazji Świąt
Bożego Narodzenia
i Nowego Roku 2023
redakcja „Forum Akademickiego”
składa najlepsze życzenia
wszystkim Autorom,
Czytelnikom i Sympatykom
miesiącznika.

Ostatnie w tym roku rozstrzygnięcie European Research Council – konkurs o Starting Grants – przyniosło sukces 11 polskim naukowcom, z których czworo pracuje w krajowych instytucjach naukowych. Pod względem narodowości beneficjentów uplasowaliśmy się na 11 miejscu. Dwa z tych czterech „krajowych” grantów trafiły do badaczy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, na Wydział Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej. To pierwsze w historii granty ERC dla toruńskiej uczelni.



Fot. Andrzej Romanowski

Katharina Boguslawski i Piotr Wcisło

Dr hab. **Katharina Boguslawski** otrzymała 1,2 mln euro na projekt, dzięki któremu chce zrewolucjonizować metody przydatne w tworzeniu nowych materiałów o lepszych właściwościach bez zwiększania kosztów obliczeniowych symulacji. – Planuję przełamać paradygmaty obliczeniowe stosowane w elektronice organicznej, np. do projektowania bardziej wydajnych ogniw fotowoltaicznych – zapowiada. Zamierza opracować interfejs czarnej skrzynki do zautomatyzowanych obliczeń chemii kwantowej. Z kolei dr hab. **Piotr Wcisło** dostał 1,9 mln euro na badania, w których udowodni, że można „spułapkować” molekułę wodoru (H_2). Ma ona tylko dwa protony i dwa elektrony, ale bardzo trudno ją mierzyć eksperymentalnie, gdyż słabo oddziałuje z polami elektromagnetycznymi. – Uwięzienie, czyli „spułpkowanie” ultrazimnego molekularnego wodoru to ogromne wyzwanie, zarówno metodologicznie, jak i technologicznie. Nikt do tej pory o tym nie myślał – przekonuje tegoroczny laureat Nagrody NCN. UMK dołączył do 21 polskich jednostek, w których już pracują naukowcy z grantami ERC.

Jednym z takich miejsc jest Uniwersytet Jagielloński, gdzie na Wydziale Matematyki i Informatyki dr inż. **Rafał Kucharski** za 1,49 mln euro sprawdzi wpływ sztucznej inteligencji na mobilność miejską. Modele miejskich systemów transportowych połączy z modelami głębokiego uczenia maszynowego. – Jeśli decyzje zaczną podejmować za nas roboty, to jest ryzyko, że z nami wygrają – dowodzi.

Ostatnim laureatem, który poprowadzi swoje badania w Polsce, jest dr **Adam Kłosin** z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Jego projekt (wart 1,95 mln euro) dotyczy procesów regulujących organizację przestrzenną ekspresji genów podczas rozwoju embrionalnego i podczas odpowiedzi na stres w zarodkach nicienia *Caenorhabditis elegans*. – To, czym się zajmuję, było do tej pory

badane w komórkach, a my chcemy przetestować nasze założenia na organizmach modelowych – wyjaśnia.

Polacy będą realizować granty także w zagranicznych ośrodkach. Dr **Elżbieta Drajkiwicz-Grodzicka** (studiowała etnologię na Uniwersytecie Warszawskim, doktoryzowała się na Uniwersytecie w Cambridge), która od 2 lat pracuje w Instytucie Socjologii Słowackiej Akademii Nauk, została pierwszą kobietą z grantem ERC w tym kraju. Będzie badać konflikty wokół teorii spiskowych. Dr inż. **Dominik Kubicki** (absolwent technologii chemicznej na Politechnice Warszawskiej, doktorat w Politechnice Federalnej w Lozanie) pracuje na stanowisku adiunkta na Wydziale Fizyki Uniwersytetu w Warwick. Za pomocą spektroskopii rezonansu magnetycznego w ciele stałym sprawdzi zmiany właściwości perowskitów halogenkowych pod wpływem czynników zewnętrznych, m.in. powietrza, wilgoci, światła. Z kolei dr **Katarzyna Siudeja** (studia biotechnologiczne na Uniwersytecie Wrocławskim, doktorat w Univeristy of Groningen) stworzy nową grupę w Instytucie Zintegrowanej Biolo-



Fot. UI

Rafał Kucharski



Fot. IBD PAN

Adam Kłosin

Udane rozdzanie

gii Komórki (I2BC) pod Paryżem, która zajmie się określeniem roli mobilnych elementów genetycznych w homeostazie i starzeniu się komórek somatycznych. Z innym francuskim ośrodkiem naukowym – Instytutem Pasteura – związana jest dr **Aleksandra Deczkowska** (licencjat z biotechnologii w SGGW, magisterium i doktorat w Instytucie Naukowym Weizmanna w Izraelu). Zbada, w jaki sposób splot naczyńkowy przyczynia się do wydajnej komunikacji między komórkami odpornościowymi, mikrobiomem jelitowym a mózgiem. Również we Francji, tyle że w Orleanie (Centre de Biophysique Moleculaire), swój 5-letni projekt poprowadzi dr **Marcin Suskiewicz** (matura w Łodzi, studia biochemiczne na Uniwersytecie w Oksfordzie, doktorat w wiedeńskim Research Institute of Molecular Pathology). Dotyczy on sumoilacji białek, czyli ich potranslacyjnej modyfikacji, która polega na przyłączeniu niewielkiego, podobnego do ubikwityny białka o nazwie SUMO. W Wiedniu, w Instytucie Biotechnologii Molekularnej Austriackiej Akademii Nauk, od lipca tego roku liderką zespołu jest dr **Joanna W. Jachowicz**, absolwentka biotechnologii (2011) i psychologii (2012) na Uniwersytecie Warszawskim (doktorat w Université de Strasbourg). Jej projekt poświęcony jest roli „ciemnego genomu” we wczesnym rozwoju ssaków. Polskie obywatelstwo posiada również religioznawca i filozof **dr Rafał Stę-**

pień, który także w Austriackiej Akademii Nauk, tyle że w Instytucie Kultury i Historii Azji, spróbuje odpowiedzieć na pytanie: czy wiara jest etyczna? Przedmiotem jego analizy będzie jedna ze szkół chińskiego buddyzmu – Sanlun. Naukowiec ukończył licencjat (anglistyka i filozofia) w University of Western Australia, ma także tytuł licencjata i magistra studiów orientalistycznych (Uniwersytet Oksfordzki), tytuł magistra studiów azjatyckich i bliskowschodnich (Uniwersytet w Cambridge) oraz tytuł magistra i doktorat z języków i kultur Azji Wschodniej (Uniwersytet Columbia).

Na tegoroczny konkurs ERC StG napłynęły 2932 wnioski. Do finansowania skierowano 408 projektów o łącznej wartości 636 mln euro. Oznacza to, że wskaźnik sukcesu wyniósł 13,9%. Laureaci pochodzą z 46 krajów, głównie z Niemiec (70) i Włoch (41). Swoje badania poprowadzą w 26 państwach, głównie w Niemczech (81), Wielkiej Brytanii (70), Holandii (40) i Francji (39). W sumie od 2007 r. do Polski trafiły 64 granty wszystkich kategorii, w tym 41 Starting Grants, 12 Consolidator Grants, 7 Advanced Grants, 3 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.

Konrad Pfeiffer

Nagrody za książki

W tym roku srebrny jubileusz świętowały Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Podczas imprezy wręczono Nagrodę im. Jana Długosza za najlepszą książkę w dziedzinie humanistyki oraz Nagrody Gaudeamus Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych.

W tym roku do konkursu o Nagrodę Długosza zgłoszono 60 publikacji, z których 10 jury nominowało do finału. Laureatem został **Rafał Matyja** (na fot.), autor książki *Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością*. Odebrał statuetkę wykonaną przez śp. prof. Bronisława Chromego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 30 tys. zł. – Przedstawiając rozwój sieci miejskiej, nawiązuje do ustaleń z dziedziny historii gospodarczej i społecznej, wykorzystuje ustalenia dotyczące dziejów urbanistyki, architektury i techniki. Jego analizy dokonywane są nie tylko w perspektywie historycznej, ale także socjologicznej i politologicznej. Na ich tle pojawiają się interesujące refleksje uogólniające – mówił o laureacie prof. Andrzej Mączyński, członek jury.

Na konkurs o Nagrodę Gaudeamus nadesłano 63 monografie i 6 e-booków, które ukazały się w latach 2021–2022. Jury przyznało nagrodę Wydawnictwu Naukowemu Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza za książkę Filipa Lipińskiego *Ameryka. Rewizje wizualnej mitologii Stanów Zjednoczonych*. Nagrodę Targów w Krakowie otrzymało Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego za książkę Tadeusza Sławka *A jeśli nie trzeba się uczyć...*

Do Nagród KLIO, wręczanych podczas Targów Książki Historycznej, zgłoszono w tym roku 200 propozycji tytułów wydanych w latach 2021–2022. W kategorii monografia

naukowa Nagrodę I stopnia (13 tys. zł) otrzymał **Maciej Gołąb** za książkę *Mazurek Dąbrowskiego. Muzyczne narodziny hymnu* (Narodowy Instytut Fryderyka Chopina), Nagrodę II stopnia (6 tys. zł) – **Aleksandra Rzeszotarska-Nowakiewicz** za książkę *Styl Nidajno. Źródła, inspiracje i przykłady rzymsko-barbarzyńskiej koncepcji zdobniczej z późnej starożytności* (Instytut Archeologii i Etnologii PAN), Nagrodę III stopnia (3 tys. zł) – **Marzena Woźniak-Łabieniec** za *Cenzorskie lekcje literatury. Studia o systemowej kontroli słowa w Polsce po 1945 roku* (Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego).

MK, (p)



Fot. Targi Książki w Krakowie

Dojrzała i akademicka

Gdyby była człowiekiem, właśnie dostałaby dowód osobisty. Akademia Nauk Stosowanych w Łomży powstała w 2004 roku, co oznacza, że działa 18 lat. Jej pierwszy rektor prof. Tadeusz Pieńkowski nie chciał, żeby nazywała się tak, jak większość państwowych wyższych szkół zawodowych. Ponieważ pierwsze dwa kierunki uruchomione na uczelni to zarządzanie i marketing oraz informatyka, przybrała ona nazwę Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości. Zmiana nazwy na obecną dokonana się w tym roku, dzięki nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce.

W pierwszym roku na oba kierunki przyjęto 180 osób na studia dzienne i 120 na niestacjonarne. Odpowiadające im instytuty Informatyki oraz Przedsiębiorczości tworzyły strukturę uczelni. Kadre stanowiły 44 osoby: 27 nauczycieli akademickich i 17 pracowników administracji. Z czasem powstały kolejne instytuty: Medycyny, Wychowania Fizycznego, Technologii Żywności i Gastronomii, Administracji oraz Nauk Społeczno-Humanistycznych. W roku 2017 było ich 7. Podjęto wówczas decyzję o przejściu na strukturę wydziałową. Dziś łomżyńską ANS tworzą 3 wydziały: Nauk Społeczno-Humanistycznych, Nauk o Zdrowiu oraz Wydział Nauk Informatyczno-Technologicznych.

Obecnie w ANSł studiuje 1850 studentów, w tym 1,5 tys. w trybie stacjonarnym. Uczelnia prowadzi 16 kierunków kształcenia, w tym 2 jednolite magisterskie (prawo i fizjoterapię), a na 5 kierunkach także studia II stopnia. W szczytowym okresie zainteresowania studiami, uczelnia kształciła nieco ponad 2,1 tys. osób. W ciągu osiemnastu lat dyplomy łomżyńskiej uczelni uzyskało 7 tys. absolwentów.

Początkowo cała kadra dydaktyczna była spoza Łomży. Dojeżdżała z uczelni Białegostoku, Lublina i Warszawy, a później także z Białej Podlaskiej. Obecnie znacząca większość kadry jest z Łomży. Uczelnia zadbała o rozwój własnej kadry. Jej pracownicy porobili doktoraty i habilitacje. Jest dwójka absolwentów łomżyńskiej uczelni, którzy kończyli tam licencjat, magisterium uzyskali w Białej Podlaskiej, a potem doktoryzowali się. – Mamy w tej chwili własną kadre – zapewnia prof. Dariusz Surowik, rektor ANSł. Uczelnia zatrudnia dziś

ok. 170 wykładowców na etatach (prawie wszyscy na tzw. pierwszym etacie) i ponad 100 na zlecenie. W wyniku ewaluacji w 2022 r. uczelnia uzyskała kategorię B+ w dyscyplinie nauki prawne, co daje jej uprawnienia akademickie w tym zakresie.

Zaplecze naukowo-dydaktyczne uczelni tworzy kampus usytuowany po obu stronach ulicy. Dwa obiekty usytuowane po południowej stronie szosy uczelnia dostała niegdyś od Urzędu Marszałkowskiego. Zostały one dostosowane do jej potrzeb m.in. przez dobudowanie funkcjonalnej auli. Nowa część kampusu po północnej stronie szosy została zbudowana specjalnie dla uczelni w 2013 roku. To cztery neomodernistyczne budynki połączone przeszklonym pasażem. Sfinansowano ją ze środków unijnych RPO Polska Wschodnia. Koszt inwestycji to ponad 50 mln zł, z czego połowa poszła na budynki, a druga na sprzęt, w tym wyposażenie hali laboratoryjnej wykorzystywanej do dydaktyki i badań. W związku z rolniczym charakterem okolic Łomży uczelnia oferuje kształcenie w zakresie bezpieczeństwa i certyfikacji żywności. Zaplecze laboratoryjne zapewnia odpowiednią jakość takich studiów. W 2018 r.



Polska Komisja Akredytacyjna oceniła, że łomżyńska uczelnia „dysponuje najlepiej wyposażoną halą technologiczną dla technologii żywności w kraju”.



– Bardzo nas boli, że mimo zapotrzebowania zgłaszanego przez przedsiębiorstwa laboratoria nie zostały wykorzystane zgodnie z planami i potrzebami do badań na rzecz lokalnego biznesu, bo zakazywały tego warunki finansowania narzucone przez Unię Europejską – mówi rektor Surowik. – Czekaliśmy z utęsknieniem na rok 2022, czyli 5 lat po zakończeniu programu, gdy miały zakaz wykorzystywania budynków do celów komercyjnych. Niestety, w międzyczasie wprowadzono rozporządzenie, które nie pozwala nam na to aż do czasu pełnej ich amortyzacji, co trwa ok. 40 lat.

Zbiory Biblioteki ANS obejmują: 15,5 tys. woluminów książek, 5367 woluminów czasopism, 1243 dokumentów cyfrowych, 3015 tytułów książek elektronicznych w czytelni IBUK LIBRA oraz 46 tytułów czasopism bieżących. W czytelniach jest 55 miejsc do pracy. Do dyspozycji czytelników jest 6 stanowisk komputerowych. Użytkownicy mają dostęp do Cyfrowej Wypożyczalni Publikacji Naukowych Academia, która obejmuje zasoby cyfrowe Biblioteki Narodowej, profesjonalnego portalu prawniczego LEX, czytelni on-line publikacji akademickich i naukowych Ibuk Libra, zasobów Wirtualnej Biblioteki Nauki (m.in. EBSCO, Elsevier, Springer). Z każdego komputera na terenie uczelni można skorzystać z Polskiej Bibliografii Lekarskiej.

W 2019 roku przy uczelni powstało Centrum Mediacji, dzięki któremu do tej pory z użyciem tzw. ADR (Alternative dispute resolution) udało się polubownie rozwiązać kilkadziesiąt konfliktów. Uczelnia posiada także Salę Rozpraw Sądowych wykorzystywaną na kierunku prawo. Przy Wydziale Nauk o Zdrowiu działa Centrum Symulacji Medycznej. Najbardziej nowoczesnym fantomem w CSM jest Apollo, który potrafi symulować choroby i dolegliwości. W 2022 roku ANS otrzymała Logo HR Excellence in Research. Od 2022 roku na terenie kampusu ANS działa Strefa Odkrywania, Wyobraźni i Aktywności (SOWA), czyli minicentrum nauki działające w sieci Centrum Nauki Kopernik. Uczelnia posiada dom studencki „Rubikon”.

Od początku istnienia na rozwój infrastruktury i projekty miękkie łomżyńska uczelnia pozyskała ponad 120 mln zł. Aktualnie realizuje projekty infrastrukturalne, podnoszące jakość kształcenia oraz badawcze z programów UE, MEiN i NCN o wartości 18 mln zł. Roczny budżet łomżyńskiej uczelni w tym roku po raz pierwszy przekroczył 40 milionów zł, z czego 10 mln zł stanowiły środki projektowe. Władze ANS spodziewają się na koniec roku 2022 zysku na poziomie 1,2 mln zł.

PK



Doktoraty w Łomży

Dr hab. Dariusz Surowik, rektor ANSŁ, przedstawia koncepcję kształcenia doktoranckiego w zakresie prawa w swojej uczelni.

Uczelnia zamierza skorzystać z uprawnień, które wynikają z uzyskania kategorii B+ w dyscyplinie nauki prawne. W jakimś sensie wpisują się one w ideę wzmocnienia mniejszych ośrodków miejskich, poprzez przywrócenie im aspiracji i wprowadzanie deglomeracyjnego modelu rozwoju kraju, gdzie były miasta wojewódzkie, takie jak Łomża, uzyskują szansę na rozwojowy skok: społeczny, naukowy, gospodarczy – deklaruje rektor Surowik. – Nie jesteśmy w stanie utworzyć szkoły doktorskiej, bo nie mamy uprawnień w dwóch dyscyplinach. Wierzę jednak, że już teraz dzięki uprawnieniom akademickim nastąpi w naszym lokalnym środowisku wzrost ambicji naukowych. Chcemy dać możliwość środowiskom chociażby administratywistów i prawników przeprowadzania przewodów doktorskich w dyscyplinie nauki prawne. Z tej ścieżki deklaruje już chęć skorzystania dwoje naszych obecnych, zdolnych studentów administracji zrzeszonych w kole naukowym, publiku-



jących prace naukowe w punktowanych czasopismach i monografiach. Mamy wrażenie, że jest w naszym regionie spora grupa osób, które mają potencjał i aspiracje, aby uzyskać stopień doktora, ale niewielu z nich może sobie pozwolić na czasochłonne dojazdy do dużych ośrodków akademickich. Zatem uruchomienie seminarium doktoranckiego w Łomży powinno spotkać się z pozytywnym odzewem i dać asumpt do naukowego rozwoju miasta. Na spotkaniach z promotorami doktoranci dyskutowaliby pewne zagadnienia merytoryczne i metodologiczne, określano by tematykę badań, przekazywano informacje o postępach prac. Ta część doktoratu byłaby bezpłatna. Natomiast koszty samego przewodu doktorskiego: recenzji, komisji doktorskiej, delegacji, itp., doktoranci musieliby pokrywać z własnych funduszy.

Notował Piotr Kieraciński

Nieoczywiste statystyki w podgrupach

Do ewaluacji 283 instytucje naukowe zgłosiły 1145 dyscyplin. Ewaluatorzy i eksperci musieli ocenić 700 tys. publikacji, tysięcy patentów, 18 tys. projektów, 54 tys. osiągnięć artystycznych. Ewaluowano dorobek uśrednionych 66 695,4 N (na dzień 31 grudnia 2021 r. było to 67 497,61 N), a podobno ponad 100 tys. realnych naukowców, jak podał OPI-PIB na podstawie danych zgromadzonych w SEDN. Mieliśmy do czynienia z ogromną rozpiętością liczby N w poszczególnych dyscyplinach, od ponad 700 N w naukach medycznych w „starych” uniwersytetach medycznych, do zaledwie 2,4 N (dwie uczelnie publiczne). Mniej niż wymagane ustawą na koniec grudnia 2021 r. 12 N zgłosiło 66 dyscyplin (5,8%), z czego prawie połowa – 31 – w uczelniach niepublicznych. Tylko 8 dyscyplin miało powyżej 500 N (0,69%), powyżej 300 N – 11 (0,96%), więcej niż 200 N – 44 (3,8%), powyżej 100 N – 15,7%, więcej niż 50 N – 420 (36,7%), a więcej od 20 N – 824 (72%). Średnie N na instytucję to 235,67, a na dyscyplinę – 58,25. W wyniku oceny minister nauki przyznał 65 kategorii A+ (5,7%), 323 A (28,2%), 582 B (50,8%), 139 B (12,1%) oraz 36 C (3,1%).

Polska Akademia Nauk

Siedemdziesiąt jednostek PAN (24,7%), w tym 64 instytuty, 5 centrów i 1 muzeum, poddało ocenie 95 dyscyplin (8,3%). W tej grupie jest 4778,7 N (7,2%), z tym, że największa jednostka – Instytut Fizyki Jądrowej z Krakowa – ma 232,05 N, najmniejsze 5,5, 5,59 i 6,96 N (odpowiednio: Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych – IMol, najmłodsze „dziecko” PAN; Instytut Genetyki i Biotechnologii Zwierząt oraz Instytut Podstaw Informatyki). Powyżej 90 N ma 13 jednostek PAN (akurat te są jednodyscyplinowe). Jednostki PAN uzyskały 16 kategorii A+ (16,8%), 40 A (42,1%), 33 B+ (34,7%), 3 B (3,2%) i 3 C (3,2%). To znakomity wynik, nie licząc kilku potknięć.

Uczelnie badawcze

Dziesięć uczelni laureatek konkursu IDUB (3,5% ewaluowanych uczelni) zgłosiło do ewaluacji 190 dyscyplin (16,59%) i nieco ponad 18 tys. N (27%). Najwięcej dyscyplin zgłosił Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (29), a najmniej Gdański Uniwersytet Medyczny (3). W liczbie ewaluowanych dyscyplin przodują klasyczne uniwersytety, które w tej grupie reprezentuje 5 uczelni z 23 do 29 dyscyplin. Największą liczbę N przedstawił UJ – 3611,48 N, przewyższając pod tym względem drugi w kolejności UW (2835,77 N) o 27,35%. Jeszcze tylko UAM ma ponad 2 tys. N. Najmniej N ma w tej grupie GUM – 715,31. W tej grupie średnie N na jednostkę to nieco ponad 1,8 tys., a na dyscyplinę – 94,7.

Kategorię A+ zdobyło 21 dyscyplin w 7 uczelniach IDUB. Kategorię A – 73 dyscypliny, kategorię B+ – 94. Dwie dyscypliny uzyskały kategorię B, co oznacza utratę uprawnień akademickich. Są to UMK w zakresie weterynarii i PŚ w zakresie architektury i urbanistyki. Oznacza to, że w grupie IDUB kategoria A+ stanowi 11%, kat. A – 38,4%, kat. B+ – 49,5%, a kat. B – 1%. W „klasyfikacji medalowej” wygrywa – nie tylko w tej grupie, ale i w całej ewaluacji – Uniwersytet Warszawski, który ma 8 kategorii A+. Na drugim miejscu jest Uniwersytet Jagielloński z 4 A+ (też w całej stawce), a na trzecim Politechnika Gdańska z 3 A+ (też w całej ewaluacji).

Uniwersytety klasyczne

W Polsce jest 20 uniwersytetów klasycznych (7,06%). Do ewaluacji zgłosiły one 421 dyscyplin (36%), w których działa 24511,38 N (36,7%). Uzyskały 22 kat A+ (5,2%), 114 A (27%), 236 B+ (56%), 48 B (11,4%) i 1 C (0,2%). Uniwersytety klasyczne miały bardzo wysoką średnią liczbę N na uczelnię – 1225,6 N. Aż 65 dyscyplin miało ponad 100 N. Na drugim końcu znalazło się 7 dyscyplin z N mniejszym niż 12. Najniższe średnie N w tej grupie to informatyka na Uniwersytecie Śląskim – 4,7. Ponieważ największe uniwersytety pojawiły się już w opisie uczelni badawczych, tu pokażę tylko najmniejsze, pomijając UPJP II, który jest na tle pozostałych „członków grupy” zupeł-

nie wyjątkowy (tylko 7 dyscyplin, całkowita średnia liczba N poniżej 200, a i wyniki kategoryzacji niższe od przeciętnej). Oprócz tej uczelni do bardzo małych zaliczę uniwersytety, które ewaluowały dorobek mniej niż 500 N. Są takie 3 (wymieniam od największego): UKW, UZ i UO (mniej niż 400 N). Szczęśliwie małych z liczbą N między 600 a 821,56 to: USz, KUL, URz, UJK, UKSW i UwB. Średnich uniwersytetów – N między 1191,9 a 1700 – jest 7: Uł, UMK, UW, UG, UŚ, UMCS i UWM. No i 3 duże z N: 3611,48 UJ, 2835,77 UW i 2110,16 UAM.

Uczelnie niepubliczne

Do ewaluacji 29 uczelni niepublicznych i 1 federacja uczelni niepublicznych (10,6%) zgłosiły 89 dyscyplin (7,8%). Powyżej 5 dyscyplin poddało ocenę 4 uczelnie, w tym Krakowska Akademia im. Frycza Modrzewskiego – 9, Uniwersytet SWPS i Federacja Naukowa WSB-DSW po 7, Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie – 6, Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy – 5. Po 4 dyscypliny zgłosiło 6 uczelni, dwie uczelnie po 3, 8 po 2, a 9 po 1 dyscyplinie. Uczelnie niepubliczne uzyskały jedną kategorię A+ (1,1%), 20 kat. A (22,5%), 31 B+ (43,8%), 21 B (23,6%) i 16 C (18%). To pokazuje słabość naukową sektora niepublicznego, choć są tu wyjątki. Najlepiej wypadł (po raz kolejny) Uniwersytet SWPS, który uzyskał jedyną kategorię A+ (psychologia, ponad 120 N – największa dyscyplina zgłoszona przez uczelnie niepubliczne), 5 kategorii A i 1 B+, zyskując aż 5 nowych uprawnień akademickich, w tym 1 do doktoryzowania i 4 do habilitowania. Wyjątkowy sukces odniosła Federacja WSB, która zdobyła 5 kategorii A, 1 B+ i 1 B, co przełożyło się na 5 nowych uprawnień do habilitowania. O sukcesie mierzonym kategoriami mogą mówić Akademia WSB: 2 A i 2 B+ (4 nowe uprawnienia, w tym 1 do doktoryzowania i 3 do habilitowania), Polsko-Japońska Akademia Technik Komputerowych 1A i 1 B+ (liczba uprawnień ta sama, co wcześniej; świadoma utrata 1 prawa do doktoryzowania – nie zgłoszono dyscypliny do oceny, za to 1 nowe prawo do habilitowania) i Społeczna Akademia Nauk w Łodzi – 1A, 1B+ (straciła 1 prawo doktoryzowania, ale zyskała 2 do habilitowania). Najwięcej nowych uprawnień – po 6 – zdobyły Uczelnia Łazarskiego (1A, 3 B+) i Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie (4 B+). Niepubliczne szkoły wyższe zgłosiły do ewaluacji dorobek 1455,17 N (średnio za cały okres ewaluacji). Największą dyscypliną (i najsilniejszą, jak się okazało) była psychologia na SWPS z ponad 120 N. Powyżej 20 N miało tylko 15 dyscyplin uczelni niepublicznych, między 12 a 20 N – 43 dyscypliny i aż 31 dyscyplin poniżej 12 N (to prawie połowa ze wszystkich 66 dyscyplin, które zgłosiły średnio mniej niż 12 N). Jedyną uczelnią niepubliczną, której wszystkie dyscypliny miały powyżej 20 N, a dokładniej od 35 do 60 N (to są 3 kolejne największe dyscypliny w uczelniach niepublicznych), jest Akademia Leona Koźmińskiego. Uzyskując dość przeciętne wyniki (2B+ i 1B), gorsze niż w poprzedniej ewaluacji (cała uczelnia z kat. A), ALK pokazuje jednak konsekwentne budowanie sporego jak na uczelnię niepubliczną środowiska naukowego. Uczelnia straciła aż 3 uprawnienia (2 do doktoryzowania i 1 do habilitowania). Wynik oceny tej uczelni odbiega zasadniczo od jej odbioru społecznego i wizerunku międzynarodowego (choć dotyczą one raczej kształcenia niż badań). Zobaczymy, co pokaże ponowna ocena dorobku – uczelnia złożyła 3 odwołania.

Kategoria A+

W tym roku minister przyznał najwięcej kategorii A+ w historii ewaluacji wielokryterialnej. Grupy instytucji, które wyróżniłem powyżej, cechują się (nie licząc niepublicznych) najwyższymi odsetkami dyscyplin tej kategorii w stosunku do liczby uzyskanych ocen. Największy udział w kategorii A+ mają uniwersytety klasyczne – 22 A+, czyli 33,8%. Uczelnie badawcze (pokrywają się częściowo z uniwersytetami klasycznymi, zatem nie można sumować liczb i odsetek A+) mają 21 A+, czyli 32,3%. Jednostki PAN – 16 A+, czyli 24,6%. „Podium” zajmują UW, UJ i PG.

Piotr Kieraciński

Nauka i sport

Blisko 30 mln zł przeznaczono dotąd na realizację programu, który umożliwia łączenie studiów z karierą sportową. Właśnie trwa III edycja Narodowej Reprezentacji Akademickiej.

Wspólne przedsięwzięcie Ministerstwa Edukacji i Nauki oraz Akademickiego Związku Sportowego wystartowało w 2019 roku i od początku cieszy się dużym zainteresowaniem. W premierowej odsłonie wsparciem zostało objętych 414 studentów z 42 uczelni, w tym 37 publicznych i 5 niepublicznych. Na ten cel przeznaczono wówczas 7,1 mln zł. W kolejnym sezonie już 502 studentów z 38 uczelni (w tym 6 niepublicznych) miało możliwość skorzystania z dodatkowych zajęć, na organizację których rozdysponowano łączną kwotę około 9,5 mln zł. Po raz trzeci powołania do NRA ogłoszono w czerwcu tego roku. Otrzymało je 562 żaków z 33 uczelni publicznych oraz 5 niepublicznych. Trafiła do nich rekordowa suma 10 mln zł.

Co trzeci reprezentant z dotychczas przeprowadzonych naborów wywodził się z Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach. Wśród nich były takie gwiazdy, jak m.in. skoczek narciarski Dawid Kubacki czy lekkoatletki Joanna Jóźwik i Justyna Święty-Ersetic. Obecnie w programie bierze udział m.in. pływaczka Paulina Peda, olimpijka z Tokio. W czołówce uczelni z największą liczbą uczestników NRA są także: Akademia Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie, Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy, Akademia Wychowania Fizycz-

nego i Sportu im. Jędrzeja Śniadeckiego w Gdańsku i Politechnika Opolska.

Narodowa Reprezentacja Akademicka wspiera proces kształcenia studentów-sportowców, którzy nie ukończyli jeszcze 30. roku życia. Uczelnie otrzymują dofinansowanie na organizację dodatkowych zajęć dydaktycznych dla studentów-sportowców prowadzących karierę sportową. Roczne wsparcie na jedną osobę wynosi maksymalnie 18 tys. zł i dodatkowo do 10% kosztów pośrednich. Koszty bezpośrednie obejmują pulę do 100 godzin zajęć indywidualnych lub grupowych (liczba godzin lekcyjnych po 45 minut \times stawka przeliczeniowa 180 zł brutto) w formie indywidualnej organizacji studiów. Mowa tu o indywidualnym przygotowaniu i doborze treści oraz form kształcenia w zakresie pozwalającym na kontynuowanie i rozwijanie kariery sportowej z uwzględnieniem ustalonych dla danego kierunku efektów uczenia się.

W programie biorą udział uczelnie publiczne i niepubliczne posiadające co najmniej 200 studentów studiów stacjonarnych, na których studiują zawodnicy szkolenia olimpijskiego, medaliści igrzysk olimpijskich, igrzysk europejskich, mistrzostw świata seniorów i mistrzostw Europy seniorów, uniwersjad i akademickich mistrzostw świata oraz studenci-sportowcy z niepełnosprawnościami, w tym osoby niedo- słyszające i studenci sportowcy posiadający klasy sportowe – mistrzowską międzynarodową i mistrzowską.

Konrad Pfeiffer



NARODOWA
REPREZENTACJA
AKADEMICKA

Wybrani uczestnicy NRA



Fot. PZPiNow

Natalia Dominiak – studentka wychowania fizycznego na Wydziale Nauk Biologicznych Uniwersytetu Zielonogórskiego, zawodniczka ZKS Drzonków uprawiająca pięciobój nowoczesny. W tym roku sięgnęła po brąz w rywalizacji sztafet mieszanych w finale Pucharu Świata. Jest także srebrną medalistką Mistrzostw Europy w sztafecie żeńskiej.



Fot. Archiwum

Zofia Janelli – studentka architektury na Politechnice Wrocławskiej i szpadzistka AZS Wratislavia. Wśród jej największych sukcesów są: III miejsce na Mistrzostwach Świata kadetów, II miejsce w drużynie na Mistrzostwach Europy juniorów, III miejsce w drużynie na Mistrzostwach Świata juniorów.



Fot. AZS

Bartłomiej Adamus – student Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy na kierunku menadżer sportu. Sztangista CWZS Zawiszy Bydgoszcz. Uczestnik ubiegłorocznych igrzysk olimpijskich w Tokio (7 miejsce w kat. 96 kg). Brązowy medalista Mistrzostw Europy U23, czwarty zawodnik Mistrzostw Europy seniorów.

Rozmowa z prof. Włodzimierzem Bernackim, sekretarzem stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki, pełnomocnikiem rządu ds. reformy szkolnictwa wyższego

Sloty prowadzą do uśrednienia wyników

Skoro uczeni zaakceptowali doktorat jako wystarczający do otwarcia wszystkich drzwi, to takie są konsekwencje. Teraz habilitacja i tytuł profesora to wyrostek robaczkowy – istnieją, ale nikt nie wie po co.

Ogłoszono program budowy elektrowni jądrowych. Tymczasem od lat słyszę o rozproszeniu i braku kadr dla tego typu energetyki.

Tęgo rodzaju tezy są nazbyt pesymistyczne. Miałem przyjemność uczestniczyć w spotkaniu ministra Przemysława Czarnka z rektorem Akademii Górniczo-Hutniczej, prof. Jerzym Lisem. Te rozmowy pokazują, że jesteśmy na etapie podjęcia decyzji o utworzeniu kierunków studiów związanych z uzyskiwaniem energii z rozszczepienia atomu. Z drugiej strony przedstawiciele AGH zapewniają, że kształcenie w zakresie energetyki ciepłej jest prowadzone na szeroką skalę, a liczba fachowców jest dość duża. Zatem mówimy o uzupełnieniu czy też dopełnieniu, a nie kształceniu kadr dla energetyki jądrowej od zera. Nie jest tak, że na każdym etapie funkcjonowania elektrowni jądrowej potrzebni są specjaliści z zakresu procedur atomowych, potrzeba też po prostu wielu fachowców od energetyki.

Czy ministerstwo myśli o powołaniu specjalnych kierunków studiów?

Rozmawialiśmy na ten temat z rektorami AGH, Politechniki Śląskiej i Politechniki Wrocławskiej. A przy okazji o kształceniu na potrzeby przemysłu wydobywczego, bo tutaj mamy też poważne kłopoty. Potrzebni są inżynierowie, specjaliści od wydobywania i nie chodzi tylko o węgiel, ale także inne substancje, minerały i kruszywa. Chcemy wspierać wszystkie kierunki kształcenia związane z energetyką. To mogą być kierunki zamawiane, stypendia fundowane i wiele innych form. Na stole jest wiele opcji, ale żaden z wariantów nie uzyskał jeszcze akceptacji.

Jak pan ocenia ewaluację 2022?

Od początku byłem nastawiony sceptycznie do tej ewaluacji.

Co pana niepokoiło?

Koncepcja tej oceny bardzo mocno oddziałuje na sposób prowadzenia polityki publikacyjnej w uczelniach i instytucjach, tym samym „nieco” zniekształca wynik ostateczny. Ustawa 2.0 wygenerowała pozytywne zjawiska związane z umiędzynarod-

wieniem. To fakt, że dorobek polskich badaczy jest teraz wyraźniej obecny w przestrzeni międzynarodowej, że udało się skrócić pewien dystans dzielący nas od świata, także w naukach humanistycznych. Ale równocześnie ten system wygenerował pewne negatywne zjawiska, a zatem obraz dorobku naukowego uczelni uległ zafałszowaniu. Odpowiada za to zjawisko, które skrótowo nazywamy punktową. Doprowadziło ono do spoglądania na aktywność naukową tylko i wyłącznie przez pryzmat pozyskiwania punktów przekazywanych na rzecz uniwersytetu, a to nie jest cel badań. Nie możemy tylko tak motywować podejmowania aktywności naukowej i publikacyjnej. Pojawiła się cała masa zagranicznych czasopism, które skorzystały na naszych rozwiązaniach systemowych i pozyskały z naszej przestrzeni akademickiej niesamowicie wysokie kwoty. W latach 2019 i 2020 było to odpowiednio 40 i 80 milionów złotych wydanych na publikacje w zagranicznych czasopismach, niezależnie od ich rzeczywistej roli w nauce, ale na podstawie liczby punktów, które im sami przyznaliśmy w toku przygotowań do ewaluacji. Te schematy, które zostały zaproponowane, a które odnoszą się do sposobu liczenia punktów, negatywnie wpływają na opis działalności naukowej. Sloty w obecnej postaci prowadzą do uśrednienia wyników i wybicia się nijakości, blokując równocześnie prezentację osiągnięć najwybitniejszych postaci polskiej nauki. To dotknęło szczególnie te dyscypliny, które są licznie reprezentowane. Najlepsi nie mogli wprowadzić do oceny całego swojego dorobku, a z drugiej strony pewna część mniej aktywnych naukowców nie zdołała wypełnić nawet tych czterech slotów. To prowadzi do uśrednienia w dół, gdyż nie widzimy całości dorobku tych najlepszych. Wydziały, które posiadały wielki potencjał badawczy, silne środowisko i zaplecze naukowe, uzyskały gorsze rezultaty. Przykład Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego jest znamieny.

Tu dochodzimy do trzeciego punktu, czyli liczby N. Niektóre uczelnie bardzo sprawnie radziły sobie z korygowaniem czy pudrowaniem liczby N, co poprawiło ich wynik ewaluacyjny. W pierwszym kryterium można się zastanowić, czy nie należałoby wyżej punktować uzyskanych patentów, jak to było daw-

niej. Oczywiście inaczej należy spojrzeć na patenty zgłoszone, które porównałbym do publikacji, czyli oceniał w pierwszym kryterium, a inaczej na patenty wdrożone, których ranga jest nieporównanie wyższa. Wciąż jest kwestia drugiego kryterium, w którym nie uwzględniono projektów ministerialnych, a to całkiem spora pula środków. Ograniczyliśmy katalog grantów, które mogą być wzięte pod uwagę do wybranych agencji grantowych, przez co spora część aktywności badaczy nie była w ogóle brana pod uwagę. Wcale niemałe osiągnięcia finansowe, uzyskane w wyniku realizacji grantów ministrów obrony narodowej, zdrowia, rolnictwa, infrastruktury czy w końcu także ministra nauki i szkolnictwa wyższego, nie były brane pod uwagę w ewaluacji. Warto pomyśleć o uwzględnieniu tych efektów finansowych przy równoczesnej zmianie procedury przyznawania środków, czyli wprowadzenia jakiejś formuły konkursowej w programach ministerialnych. Trzecie kryterium to ocena ekspercka oddziaływania na otoczenie. Tu mamy najwięcej odwołań, czyli zakwestionowania oceny ekspertów. Trzeba jakoś zmniejszyć uznaniowość tych ocen. Powinniśmy też stworzyć indeks czasopism branżowych, które dziś umierają śmiercią wcale nienaturalną. A przecież choćby czasopisma inżynierskie realnie wpływają na rzeczywistość, przekazując najnowszą czy też istotną wiedzę techniczną praktykom. Z kolei branżowe pisma medyczne, przekazując najnowsze osiągnięcia lekarzom praktykom, realnie kształtują rzeczywistość i to w bardzo szerokiej skali. Podobnie jest również w innych obszarach – są znakomite czasopisma popularyzatorskie z dziedziny psychologii, historii, matematyki, no i w końcu mamy czasopisma regionalistyczne, które są naprawdę ważne w regionach, i należy je utrzymać, a uznanie ich publikacji w trzecim kryterium z pewnością w tym pomoże. One wszystkie na pewno oddziałują istotnie w przestrzeni społecznej.

W wyniku ewaluacji mamy ogromny wzrost liczby uprawnień akademickich.

To nie jest zwiastun czarnej przyszłości. To się wpisuje w nasze myślenie o zrównoważonym rozwoju. Problem leży gdzieś indziej – mianowicie w pewnych negatywnych zjawiskach, np. takim, że ocena dorobku naukowego realizuje się przez sam akt opublikowania, a nie poprzez dyskusje, recenzje. Dziekana czy rektora nie interesuje wartość merytoryczna tekstu, ale sam fakt publikacji. Konkursy ogłaszane przez rektorów czy dziekanów na najlepsze publikacje odwołują się nie do jakości samych prac, ale do miejsca ich publikacji i liczby punktów przyznawanych za artykuł. Nie liczy się recenzja, ocena ekspercka, ale liczba punktów, która zależy od czasopisma i pewnych wdrożonych przez nie procedur, a nie od wartości samego artykułu, czyli rezultatu prac badawczych. To bardzo negatywny wymiar oceny naukowej. Druga niepokojąca sprawa: tych „dwunastu sprawiedliwych” – mam na myśli minimalną liczbę N – nie musi być doktorami habilitowanymi czy profesorami. Wystarczy, żeby publikowali za punkty, ocena merytoryczna tych publikacji jest nieistotna. Nadając stopień doktora otwieramy każdemu uczonemu drzwi do wszystkich projektów i procedur.

Chodziło nam przeciwieństwo skrócenie ścieżki kariery naukowej.

Jednak spójrzmy na odłożony w czasie skutek kategoryzacji. Rezultat natychmiastowy to uzyskanie uprawnień, niezależnie od tego, jaką kadrę w danej dyscyplinie uczelnia posiada. Nie zastanawiamy się nad tym, czy daną dyscyplinę reprezentują uczeni z praktyką, potencjałem naukowym, doświadczeniem w promowaniu kadry, lecz dajemy uprawnienia akademickie do doktrynowania i habilitowania jedynie na podstawie uzyskanych punktów za publikację i wyniki z pozostałych dwóch kryteriów. Skoro tak, to nie oburzajmy się, że w małym mieście pojawia się dyscyplina, która ma wpływ społeczny, moc oddziaływania i będzie



Fot. Piotr Kieraciński

Prof. Włodzimierz Bernacki (ur. w 1960 r.) jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki, pełnomocnikiem rządu do spraw monitorowania wdrażania reformy szkolnictwa wyższego i nauki. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie m.in. kierował Instytutem Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych. Wykładał również w Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej w Przemyslu (obecnie Akademia Nauk Stosowanych w Przemyslu), Krakowskiej Akademii im. A. Frycza Modrzewskiego i na Akademii Ignatianum w Krakowie. Jest członkiem Ośrodka Myśli Politycznej. Przez dwie kadencje był posłem na Sejm RP, a obecnie jest senatorem RP. Prof. Bernacki jest politologiem, bada doktryny polityczne. Jest autorem kilkuset artykułów i kilkunastu książek, m.in.: *Z dziejów polskiego liberalizmu politycznego* (1994), *Liberalizm polski 1815–1939: studium doktryny politycznej* (2004), *Myśl polityczna I Rzeczypospolitej* (2011) i *O wolności w czasach niewoli. Myśl polityczna polskich elit intelektualnych i politycznych XIX i XX wieku* (2020).

mogła promować doktorów. Głosowałem przeciwko temu rozwiązaniu. Skoro uczeni zaakceptowali doktorat jako wystarczający do otwarcia wszystkich drzwi, to takie są konsekwencje. Teraz habilitacja i tytuł profesora to wyrostek robaczkowy – istnieją, ale nikt nie wie po co. Należy, moim zdaniem, nie tylko je zachować, ale rada dyscypliny, która ma uprawnienia, powinna składać się w odpowiednim stopniu z osób z habilitacją i profesurą. Na pewno kryterium kadrowe powinno wrócić jako dodatkowy wymóg przyznania uprawnień akademickich. W grupie 12 N, jeśli ma ona mieć prawa akademickie, powinni być także mistrzowie, bo uniwersytet nie jest od przestrzegania egalitaryzmu, lecz od budowania zdrowej konkurencji. Jestem przekonany, że nie jesteśmy równo obdarzeni predyspozycjami intelektualnymi, a zatem musimy przyjąć taką perspektywę. Powinniśmy pomyśleć o przywróceniu jeszcze jednego kryterium, w którym mierzymy dorobek naukowy poprzez wypromowanie własnej kadry naukowej. Jeśli uniwersytet wspiera swoich pracowników w drodze do stopni i tytułów, to powinno być to nagrodzone. Z drugiej strony są uczelnie, które nie budują własnej kadry i środowiska naukowego, ale kupują kadrę. Na drodze awansu, czy to przygotowania rozprawy doktorskiej czy dorobku do habilitacji, mamy do czynienia z ocenami kolegiatnymi – jest grupa recenzentów, grono ekspertów, np. w postaci komisji doktorskiej czy habilitacyjnej. Mamymy zatem pewne środowisko naukowe, a w oce-

nie muszą brać udziału mistrzowie, którzy są na wyższym, a co najmniej takim samym poziomie jak oceniani.

Czy do końca tego roku poznamy zasady kolejnej ewaluacji?

Raczej nie. Chce jednak powiedzieć, że zasadniczo będą one podobne do obecnych, z ważnymi korektami, ale tylko korektami doskonalącymi system. Oczekujemy od Komisji Ewaluacji Nauki, której kadencję przedłużamy o trzy miesiące – przyjęto stosowną ustawę, która czeka na podpis prezydenta – podsumowania jej pracy i wskazania kierunków zmian w ewaluacji. Jest też zespół, częściowo personalnie tożsamy z KEN, który już prowadzi prace nad tym samym zagadnieniem. Chcemy, żeby rozwiązania, które zostaną przyjęte, były akceptowalne dla ogółu naukowców.

Przyjęto dokument o nazwie *Polityka naukowa państwa. Proszę wskazać najważniejsze elementy stosunku polskiego państwa do nauki uprawianej w naszym kraju.*

Pierwsza wersja tego dokumentu wynikała wprost z ustawy. To był model właściwy dla scjentyistów, którzy przekonani są, że rozwój nauki wpływa na rozwój przemysłu i odwrotnie, i to się tak samo nakręca. Chciałbym przypomnieć w tym miejscu Bertranda Russela, który przewidywał, że postęp zlikwiduje wszelkie zło, wprowadzi powszechną równość i sprawiedliwość, i zaprowadzi pokój powszechny. Obecna sytuacja na świecie pokazuje, jak bardzo naiwne były te nadzieje. Nowy dokument w sposób realistyczny wskazuje główne cele, w tym to, co związane jest z kwestiami pandemii i bezpieczeństwa, także w kontekście wojny, cyberbezpieczeństwa. Jest to dokument, który z natury rzeczy będzie się szybko dezaktualizował. Najważniejszym zadaniem państwa jest w tym obszarze wychowywanie obywateli do ciekawości świata, wzbudzanie zainteresowań, zachęta do zgłębiania wiedzy naukowej, zmierzania ku prawdzie, do studiowania i aktywności naukowej, ale również budowania systemu, w którym realizacja tego wszystkiego będzie miała konkretny wymiar materialny. Będzie to bardzo trudne w obecnej sytuacji.

Nie powinna się tam pojawić deklaracja dotycząca wzrostu nakładów na badania naukowe, czego oczekuje środowisko akademickie?

Nie. Jestem przeciwnikiem takiego rozwiązania. Także dlatego, że takie deklaracje już wcześniej padały wielokrotnie i nie przełożyły się to na praktykę budżetową.

Zwiększamy liczbę studentów kierunku lekarskiego, jednak w niewielkim stopniu przez wzrost limitów na „starych” uczelniach medycznych, a bardziej przez uruchamianie nowych ośrodków, mimo że często wyrażane są wątpliwości co do ich możliwości w tym zakresie.

Pytanie o to, czy kształcić więcej studentów na kierunku lekarskim, to pytanie o to, czy akceptujemy sytuację braku, systemowego niedoboru lekarzy. W parlamencie mieliśmy do czynienia z ciekawą debatą i głosowaniami. Nasza propozycja zmierzała do tego, aby stworzyć możliwość składania wniosków o uruchomienie kierunku lekarskiego także w uczelniach, które nie mają uprawnień do doktoryzowania w naukach medycznych. Zostało to usunięte w pierwszym etapie dyskusji, natomiast nie usunięto innych rygorów, czyli kadry naukowej, prosektorium, szpitali klinicznych. Nie usunięto też tego, że wniosek o uruchomienie studiów lekarskich jest opiniowany przez Naczelną Radę Lekarską i Polską Komisję Akredytacyjną. Dopiero te dwie instytucje decydują o tym, czy kierunek lekarski może zostać otwarty. Proszę sobie wyobrazić, że PiS mając większość sejmową, nie przegłosowało swojego projektu, głosowania były negatywne. Z projektu została wycięta możliwość

prowadzenia studiów lekarskich przez uczelnie, które nie mają uprawnień do doktoryzowania. W Sejmie zadziałało lobby lekarskie. Dopiero dzięki temu, że w Senacie został zawarty sojusz zmierzający do tego, żeby kierunki lekarskie mogły być prowadzone w mniejszych ośrodkach, udało się wprowadzić poprawkę, a wprowadzona później w Sejmie dyscyplina głosowania sprawiła, że ta ustawa została przyjęta w początkowym kształcie. Powtarzam, nie chcemy stworzyć kierunków felczerskich, tylko stwarzamy możliwość utworzenia kierunku lekarskiego przez uczelnie, które nie mają praw do doktoryzowania w naukach medycznych, ale spełniają wszystkie inne kryteria.

Pan minister wierzy w lekarzy wykształconych w Płocku i Elblągu?

Dlaczego nie? Zwrócę uwagę na fakt, że obecna nowelizacja pozwala na to, by również uniwersytety znajdujące się w pierwszej dziesiątce mogły otwierać kierunki lekarskie. W tej chwili mówi się o Politechnice Wrocławskiej, ale także Uniwersytet Warszawski będzie mógł utworzyć kierunek lekarski. Jestem przekonany, że lekarze wykształceni według reguł określonych naszym prawem, pod nadzorem obu ministerstw – zdrowia oraz edukacji i nauki – także w małych ośrodkach, zapewnią nam dobry dostęp do usług medycznych, z czym dzisiaj są problemy.

Minister nauki powołał zespół ds. reformy Polskiej Akademii Nauk, w którym nie ma członków PAN. Są sami młodzi prawnicy.

Świetnie! Przy tworzeniu aktów prawnych nie trzeba spoglądać z perspektywy instytucji, których ciągłość datuje się od lat 50. dwudziestego wieku. Chcieliśmy, żeby to prawnicy spojrzeli na pewne problemy związane z funkcjonowaniem Polskiej Akademii Nauk. PAN nie przeszła znaczącej reformy po 1990 roku. Tylko profesor Michał Kleiber, jako prezes PAN, zdecydował się wprowadzić nowe ciało – Radę Dyrektorów Instytutów PAN. Jednak jej rola jest bardzo ograniczona. Zmniejszył też nieco liczbę wydziałów PAN. Poprosiłem członków naszego zespołu, aby rozważyli możliwość demokratyzacji modelu zarządzania Akademią, która w chwili obecnej działa wedle wzoru z czasów PRL. A po drugie, aby zaproponowali system sprawnego nadzorowania majątku PAN – tam pojawiają się choćby kwestie budynku Stacji Naukowej PAN przy ulicy Lauristone’a w Paryżu. Musimy brać pod uwagę działalność międzynarodową PAN, aby uniknąć sytuacji, gdy uderza ona w dobre imię państwa i narodu polskiego.

Co ma pan na myśli?

Choćby konferencje organizowane w Paryżu na temat udziału i winy Polaków za holokaust. Nie może być tak, że nasza Akademia promuje w świecie fałszywe informacje na ten temat. Chodzi też o podniesienie rangi instytutów PAN.

Czy chodzi o wyodrębnienie instytutów ze struktury PAN?

Nie, ale wyraźne rozgraniczenie tego, co jest częścią badawczą od korporacji. Trzeba jasno określić rolę każdej „części” Akademii, bo jeśli nie dokonamy rozgraniczenia działalności instytutów od korporacji, to wciąż będą pojawiały się stare kłopoty. O szczegółach jeszcze za wcześnie mówić, zwłaszcza że nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa PAN.

Podobno w ministerstwie od dawna leży kolejna wersja ustawy o NCN?

Rzeczywiście. Pierwszy nasz projekt nie zyskał akceptacji środowiska, gdyż był zbyt daleko idący. Mamy teraz nieco skromniejsze oczekiwania w stosunku do reformy Narodowego Centrum Nauki. Chcemy, żeby przy ocenie i przyznawaniu grantów istniało gremium odwoławcze. Obecnie odwołujemy się do tych samych osób, które wydały negatywną decyzję.

Druga kwestia to jawność recenzji i ocen eksperckich. Uważam, że recenzenci i eksperci nie powinni się wstydić swoich ocen i decyzji. Po trzecie wreszcie, uważamy, że w obszarze nauk humanistycznych i społecznych odsetek recenzentów i ekspertów z Polski powinien być znacznie wyższy, niż to jest obecnie.

Wzrost nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w projekcie budżetu państwa na rok 2023 jest znacznie mniejszy niż w przypadku oświaty, a pytam o to w kontekście sierpniowego raportu KRASP o kłopotach finansowych polskich uczelni oraz podwyżek cen energii i wniosków o podwyżki płac.

Rzeczywiście wzrost nakładów na oświatę w 2023 r. jest wyższy niż na naukę i szkolnictwo wyższe. W projekcie budżetu państwa na rok 2023 wydatki na oświatę i wychowanie oraz edukacyjną opiekę wychowawczą zaplanowano w wysokości 70.512.790 tys. zł, co oznacza wzrost nakładów o 13,3% w stosunku do wydatków zaplanowanych w ustawie budżetowej na rok 2022 (62.219,7 mln zł), natomiast na szkolnictwo wyższe i naukę zaplanowano środki w wysokości 34.651.207 tys. zł, co oznacza wzrost nakładów o 8,4% w stosunku do wydatków zaplanowanych w ustawie budżetowej na rok 2022 (31.953.623 tys. zł). Zarówno w przypadku oświaty, jak i szkolnictwa wyższego przewidziano

zarówno skutki przechodzące 4,4% podwyżek z 2022 r., jak i podwyżki 7,8% w 2023 r., choć niestety tylko dla oświaty udało się wywalczyć podwyżki od początku roku. W nauce i szkolnictwie wyższym te podwyżki planowane są od maja. Warto jednak mieć na uwadze to, że w tzw. ustawie o budżecie udało się zagwarantować dla uczelni 1 miliard złotych w postaci obligacji, z czego prawie połowa (497 ml zł) wzorem lat ubiegłych trafi do uczelni badawczych IDUB, ale pozostałe 503 mln zł planujemy przekazać uczelniom na działania osłonowe, w tym związane ze zmianami cen nośników energii. Zarówno uczelnie – publiczne i niepubliczne – jak i inne jednostki sektora szkolnictwa wyższego i nauki, tj. instytuty badawcze i PAN, objęte zostały rozwiązaniami legislacyjnymi dotyczącymi działań osłonowych dla podmiotów wrażliwych w obszarze cen gazu, ciepła i energii elektrycznej. Maksymalna cena energii dla tych podmiotów określona została na poziomie 785 zł netto za MWh, co jest wartością bezpieczną dla podmiotów sektora nauki i szkolnictwa wyższego. O tym, jaką ulgę dla systemu stanowi ta wartość, może świadczyć fakt, że ceny ofertowe energii elektrycznej na 2023 r. dla niektórych uczelni sięgały nawet 3500 zł/MWh.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Reguły, kryteria i procedury do rozporządzenia

Prof. Błażej Skoczeń, przewodniczący Komisji Ewaluacji Nauki, na podstawie dyskusji prowadzonych wśród jej członków i uchwały KEN z 15 kwietnia 2021 r. w sprawie tzw. drapieżnych kanałów publikacyjnych, przedstawia kilka refleksji na temat polityk publikacyjnych i listy czasopism punktowanych, sugerując zwiększenie kontroli nad tym wykazem.

Członkowie Komisji Ewaluacji Nauki dostrzegają negatywne zjawiska zachodzące na naukowym rynku wydawniczym, polegające na łamaniu zasad etyki wydawniczej przez szereg czasopism publikujących odpłatnie artykuły w trybie otwartego dostępu (open access). W ostatnim czasie mnożą się przypadki periodyków, które upatrują okazji do pozyskania znacznych środków finansowych w procesie masowego i odpłatnego publikowania artykułów naukowych przy radykalnie obniżonych standardach wydawniczych. Proces ten jest katalizowany przez część podmiotów naukowych, które przygotowując się do ewaluacji jakości działalności naukowej stymulują pospieszoną działalność publikacyjną swoich pracowników. Źródłem „sukcesu” tych czasopism jest także wysoki odsetek prac odrzucanych przez redakcje tradycyjnych czasopism publikujących w trybie ograniczonego dostępu oraz relatywnie długi cykl wydawniczy od złożenia manuskryptu do efektywnej publikacji artykułu.

Krytycznie oceniamy praktyki polegające m.in. na masowym publikowaniu niskiej klasy prac w tzw. zeszytach specjalnych, oferowaniu szybkiej publikacji w zamian za wniesienie stosownej opłaty wydawniczej, obniżaniu standardu recenzji w procesie peer review poprzez wymuszanie nienaturalnie krótkiego czasu opracowania recenzji, oferowanie szybkiej akceptacji artykułu bez wnikliwej i czasochłonnej analizy jego treści.

W trosce o prawidłową i rzetelną ocenę tzw. kanałów publikacyjnych, stanowiącą jeden z istotnych składników ewaluacji jednostek naukowych, zaproponowaliśmy ministrowi edukacji i nauki zmianę rozporządzenia w sprawie sporządzania wykazów wydawnictw monografii naukowych oraz czasopism naukowych i recenzowa-

nych materiałów z konferencji międzynarodowych, tak aby możliwe było usuwanie lub radykalne obniżanie punktacji kanałów publikacyjnych (wydawnictw, czasopism lub konferencji międzynarodowych) o udokumentowanych niskich standardach wydawniczych.

Od blisko dekady funkcjonuje w nauce pojęcie „czasopism drapieżnych” na określenie takich kanałów publikacyjnych, które opierają się na nienaturalnie szybkim procesie publikacyjnym, obniżonych kryteriach wydawniczych oraz na pobieraniu opłat za publikację bez sprawdzenia jakości nadesłanych materiałów w procesie peer review. Opłaty za publikację w tych periodykach są na ogół bardzo wysokie i często pokrywane ze środków publicznych, pozostających w dyspozycji podmiotów naukowych. W tym kontekście, Komisja Ewaluacji Nauki stoi na stanowisku, iż proces nowelizowania wykazów wydawnictw, czasopism i materiałów z konferencji międzynarodowych powinien mieć charakter ciągły, a wykazy powinny być aktualizowane co najmniej dwa razy do roku.

Czasopisma działające w trybie otwartego dostępu i stosujące niedozwolone praktyki wydawnicze powinny, po wnikliwej analizie i zaopiniowaniu przez ekspertów, zostać usunięte z wykazu czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych lub uzyskać obniżoną punktację. Wskazanie takich czasopism wymaga jednak opracowania adekwatnych reguł, kryteriów i procedur, które należy na trwałe wpisać do rozporządzenia w sprawie sporządzania wykazów wydawnictw monografii naukowych oraz czasopism naukowych i recenzowanych materiałów z konferencji międzynarodowych.

Rozmowa z prof. Janem Ostrowskim, prezesem Polskiej Akademii Umiejętności

Na Sławkowskiej 17 jest Akademia

Mimo że w tym roku Polska Akademia Umiejętności obchodzi 150-lecie istnienia, to tradycja stowarzyszenia naukowego w Krakowie jest znacznie starsza.

Akademia Umiejętności w Krakowie nie powstałaby w roku 1872, gdyby nie było wcześniej Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, które zostało założone w roku 1815. Na początku XIX wieku na Uniwersytecie Jagiellońskim zaczęło się pojawiać coraz więcej osób podejmujących badania naukowe. Przed reformą Kołłątajowską nie było zwyczaju, by prowadzić badania, to była czysta rutyna dydaktyczna o tradycji sięgającej średniowiecza. W wyniku zmian oświeceniowych pojawili się uczeni, którzy nie tylko chcieli wyklądać, ale także prowadzić badania oraz przedstawiać ich wyniki kolegom, przedyskutować je z nimi, poznać ich opinie. Taka była geneza powstania najpierw Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, a potem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Zdumiewająca zbieżność czasowa.

Tak. Ale to był proces ogólnoeuropejski. U nas to się działo około trzydzieści lat później w stosunku do Niemiec. Przez cały wiek XVII i znaczną część wieku XVIII badania naukowe były domeną prywatnych uczonych, którzy nie byli wykładowcami akademickimi. Dopiero oświecenie niemieckie zrodziło to klasyczne dziś połączenie dydaktyki z badaniami naukowymi. W Krakowie powstało towarzystwo, które grupowało zarówno profesorów uniwersytetu, jak i osoby spoza uczelni. Prezesami byli zwykle rektorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W 1872 roku TNK zamieniło się w Akademię Umiejętności. Dlaczego?

Akademia jest w powszechnym rozumieniu czymś wyższym niż towarzystwo. Środowisko dojrzało do przejścia tego progu; jak wtedy to ujmowano: należy przejść od dyletantyzmu do prawdziwej nauki. Liberalna konstytucja austriacka pozwalała na zakładanie takich instytucji, już niezwiązanych z uniwersytetami. W ten sposób w ciągu kilkunastu miesięcy w ciągu lat 1872 i 1873 powołano Akademię Umiejętności na bazie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, które w międzyczasie dorośli się tego wspaniałego budynku, w którym się znajdujemy.

W międzyczasie, czyli kiedy?

To był skomplikowany proces, który rozpoczął się około roku 1857. Działkę podarował Towarzystwu Piotr Moszyński.

Potem dużą rolę organizacyjną i finansową odegrał Franciszek Wężyk, literat, niegdyś senator Królestwa Polskiego. Budynek stał się więc darem Towarzystwa dla przyszłej Akademii. To był niesłychanie pozytywny element, bo Akademia od początku dysponowała okazałym obiektem. Nie ma jednej daty powstania Akademii Umiejętności. Najpierw, na początku roku 1872, cesarz Franciszek Józef zatwierdził jej statut. Potem wybrano pierwszych dwunastu członków i powołano zarząd. Procedury były bardzo skomplikowane i wręcz rodzące pewne kontrowersje w Krakowie. Z tych dwunastu najgodniejszych cesarz wybrał prezesa i sekretarza generalnego. Inauguracja działalności nastąpiła w roku 1873.

A skąd się wzięła sama nazwa ze słowem „umiejętności”?

Jest do dowód daleko idącej ewolucji języka w stosunku do stanu sprzed 150 lat. Dzisiaj trudno wprost zinterpretować ten termin, zwłaszcza przy tłumaczeniu na języki obce.

Kojarzy się z rzemiosłem.

Inne czasy, inny język. Jednak ta nazwa jest adekwatna do dzisiejszego stanu Akademii, która grupuje i uczonych, i artystów. Wtedy pasowało to widocznie do sposobu rozumienia nauki.

Czy członkami zostali wówczas tylko profesorowie uniwersyteccy?

Nie. Nadal status akademicki nie jest koniecznym warunkiem, żeby zostać członkiem PAU, nie ma takiego zapisu w statucie, do Akademii bywają wybierane osoby, które nie są profesorami. Oczywiście poza Wydziałem Twórczości Artystycznej, gdzie jest to zupełnie naturalne. Choć początkowo w nazwie nie było słowa „polska”, to Akademia Umiejętności od chwili powstania miała charakter ogólnonarodowy, a nie regionalny, a z punktu widzenia ówczesnej Galicji wręcz międzynarodowy. Polscy członkowie z zaborów pruskiego i rosyjskiego byli traktowani wtedy jako członkowie zagraniczni. Dzisiaj PAU też jest instytucją ogólnonarodową.

Kiedy pojawiła się struktura wydziałowa?

Od samego początku powołano trzy wydziały: Filologiczny, Historyczno-Filozoficzny i Nauk Przyrodniczych. Z czasem pojawiały się kolejne. Wydział Twórczości Artystycznej pojawił w PAU dopiero po 1990 roku. Już wcześniej zdarzało się jednak, że w poczet członków Akademii przyjmowano wybitnych pisarzy, np. Henryka Sienkiewicza.

Chciałbym zapytać o kontekst pojawienia się słowa „polska” w nazwie.

Może doprecyzujemy jeszcze daty. Pierwsze posiedzenie publiczne PAU odbyło się w lutym 1873 roku.

Dlaczego publiczne?

Bo każdy mógł na nie wejść i przysłuchiwać się dyskusji uczonych w Wielkiej Auli PAU. Pierwsze posiedzenie było poświęcone rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Oficjalna inauguracja z udziałem protektora wyznaczonego przez Franciszka Józefa nastąpiła 7 maja 1873 roku. Rocznicą 75-lecia PAU została zorganizowana w roku 1948, gdyż dopasowano ją do daty rozpoczęcia działalności. Słowo „polska” pojawiło się w naszej nazwie na początku roku 1919, a zatem natychmiast po odzyskaniu niepodległości. Koncepcja Akademii jako instytucji ogólnonarodowej znakomicie się przyjęła i w stosunkowo krótkim czasie wpłynęła na pozyskanie przez nią środków na działalność. Lista ofiarodawców z pierwszego okresu działalności jest imponująca, podobnie zresztą jak wielkość niektórych darowizn i zapisów testamentowych. W rezultacie okres od 1900 do 1918 – bo wojna w zasadzie nie wpłynęła na działalność instytucji naukowych w Krakowie – to był pierwszy złoty okres Akademii, która miała już struktury, własną okazałą siedzibę, cały wachlarz wydawnictw i była aktywną instytucją, oddziałującą na całą dawną Polskę. W latach 1913-1914, tuż przed I wojną światową, w ciągu dwóch lat zbudowano ogromny budynek Biblioteki AU. Mieliliśmy już wówczas wspaniałe zbiory: było Muzeum Starożytności, z którego wyewoluowało dzisiejsze Muzeum Archeologiczne w Krakowie i Muzeum Fizjograficzne, ze słynnym nosorożcem włochatym ze Staruni, które przekształciło się w Muzeum Przyrodnicze. Obydwa mieściły się w budynku przy ul. Sławkowskiej 17. Miało to wiele uroku.

Potem jest moment uzyskania niepodległości i zmiana nazwy...

I Polska Akademia Umiejętności z dnia na dzień staje się bankrutem, dlatego że wszystkie środki ofiarowywane jej i znakomicie zarządzane za stabilnych czasów straciły wartość – były ulokowane w papierach austriackich, przynosiły przyzwoity procent, co wraz z końcem wojny się nagle skończyło. PAU używała pewną pomoc od ówczesnego rządu polskiego. Przełomem był dar arcyksięcia Karola Stefana Habsburga, ostatniego protektora Akademii z ramienia Franciszka Józefa. Uważał się on za Polaka i mieszkał na stałe w Żywcu. Ofiarował Akademii ok. 10 tysięcy hektarów ziemi ornej i lasów na Żywiecczyźnie, w tym lasy Babiogórskie. Stało się to w ramach rozliczeń z rządem polskim, który nie położył na tym ręki, ale zgodził się na przejęcie majątku przez PAU. Były też inne wartościowe darowizny i zapisy testamentowe, które sprawiły, że lata 30. XX stulecia były kolejnym złotym okresem naszej działalności. Pod koniec okresu międzywojennego Akademia była właścicielem około dwudziestu tysięcy hektarów ziemi, która – dobrze administrowana – przynosiła spore dochody. Były one inwestowane w wydawnictwa. W latach trzydziestych wychodziło około stu serii wydawniczych. Dzisiaj mamy ich tylko kilkanaście.

Potem przyszła kolejna wojna i okupacja niemiecka.

Co skutkowało zajęciem budynku i rabunkiem wszystkiego, co się dało. W czasie wojny i okupacji zmarła jedna trzecia członków PAU. Część z przyczyn naturalnych, ale większość w wyniku wojny, w tym członkowie Akademii aresztowani w Sonderaktion Krakau. Po wojnie działalność PAU wystartowała bardzo szybko. Znam protokoły posiedzeń Komisji Historii Sztuki, czyli tej mojej, z marca 1945 roku. Na walnym zgromadzeniu w roku 1946 wybrano dużą liczbę nowych członków, żeby uzupełnić straty, a w 1948 zorganizowano jubileusz.



Fot. Piotr Kieraciński

Prof. Jan Ostrowski (ur. w 1947 r.) jest historykiem sztuki, specjalizuje się w badaniach historii sztuki nowożytnej, zwłaszcza okresu baroku i romantyzmu. Jest autorem i redaktorem licznych publikacji, m.in.: *Anton van Dyck* (1980), *Piotr Michałowski* (1985), *Die polnische Malerei vom Ende des 18. Jahrhunderts bis zum Beginn der Moderne* (Monachium 1989), *Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, cz. I. Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego, t. 1–23* (red., współautor, wstępy, Kraków 1993–2015), *Lwów. Dzieje i sztuka* (1997), *Barok – romantyzm – kresy* (2017), *Portret w dawnej Polsce* (2019). Kierował programem inwentaryzacji zabytków sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Przez 45 lat pracował w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pełnił też przez 30 lat funkcję dyrektora Zamku Królewskiego na Wawelu. Był członkiem Rady do spraw Muzeów, Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów oraz Komitetu Nauk o Sztuce PAN. Jest zastępcą przewodniczącego Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Od 2010 roku jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, a od 2028 roku jej prezesem. Wśród przyznanych mu odznaczeń są: Odznaka Honorowa „Bene Merito”, Krzyż Kawalerski Legii Honorowej (Francja), Nagroda Miasta Krakowa, Nagroda im. Profesora Aleksandra Gieysztorą i Złoty Medal „Plus Ratio Quam Vis”.

W 1952 roku okazało się, że Polska Akademia Umiejętności nie pasuje do struktury państwowej PRL, zatem pozbawiono ją majątku, który przekazano powołanej właśnie przez państwo Polskiej Akademii Nauk i nie pozwolono na wybór władz. Nasze majątki ziemskie już w 1945 roku zostały skonfiskowane na podstawie dekretu o reformie rolnej. W ten sposób, formalnie nie likwidując PAU, faktycznie uniemożliwiono jej działanie. Jak tylko otwierały się jakies „okienka” liberalizmu w latach 1957 i 1981, podejmowano próby odtworzenia Akademii, w roku 1957 wybrano nawet kolejnego prezesa – prof. Adama Krzyżanowskiego. W 1957 roku odbyło się kilka posiedzeń naukowych w prywatnych mieszkaniach, ale w 1981 roku nawet tego nie dało się zrobić z powodu wprowadzenia stanu wojennego.

Udało się niecałe dziesięć lat później.

W listopadzie 1989 roku żyjący jeszcze członkowie Polskiej Akademii Umiejętności zwołali w Warszawie walne zgromadzenie, które mogło podejmować wszelkie decyzje, w tym wybierać władze. Na prezesa wybrano prof. Gerarda Labudę, a na sekretarza generalnego prof. Józefa Skąpskiego. Gdyby

komunizm w Polsce potrwał ze trzy lata dłużej, nie dałoby się już tego zrobić z przyczyn czysto fizjologicznych. Stopniowo odtworzono działalność PAU. Przywrócono wszystkie wydziały, w 1990 roku podzielono Wydział Nauk Przyrodniczych na dwa: Wydział Nauk Przyrodniczych i Wydział Nauk Technicznych, a w 1993 roku utworzono nowy Wydział Twórczości Artystycznej. Dzięki staraniom władz, zwłaszcza sekretarza generalnego i jego ucznia mecenasa Stanisława Kłysa, udało się odzyskać część majątku, zwłaszcza kompleks budynków przy ulicy Sławkowskiej 17 i Św. Jana 22. To były działania prawne, ale tam, gdzie można było iść na ugodę, zawierano porozumienia, zwłaszcza dotyczyły to agend Polskiej Akademii Nauk.

Pamiętam obawy PAN związane z odnowieniem PAU.

Tak, były takie. Nie wiadomo było, jak się sprawy potoczą. Prawo zaczęło jednak wtedy działać, a ponieważ odnowiona PAU została uznana za kontynuatorkę prawną przedwojennej Akademii, także nieruchomości należące do niej, a odebrane bezprawnie przez państwo komunistyczne, musiały do PAU wrócić. Starano się też ułożyć stosunki z Polską Akademią Nauk. Znaczna część naszego budynku jest do dziś zajęta przez instytut PAN, ale na zasadzie wynajmu po preferencyjnych cenach. Biblioteka jest instytucją wspólną obydwu akademii, podobnie archiwum działa jako Archiwum Nauki PAN i PAU.

Jak rozumiem, nie było prawnych możliwości odzyskania majątków ziemskich czy uzyskania za nie rekompensat od państwa?

W żadnym punkcie reforma rolna z roku 1944 nie została do dziś podważona, co jest niebywałą sprawą! Tylko za tzw. mienie zabużańskie przyznawano odszkodowania. Także PAU uzyskała pewne odszkodowania, mamy też przychody z najmu. Na szczęście udało się wprowadzić PAU na listę instytucji dotowanych przez Ministerstwo Edukacji i Nauki. O ile wiem, jesteśmy jedynym stowarzyszeniem, które obecnie taką subwencję otrzymuje. Dzięki temu mamy środki na działalność bieżącą i drobne inwestycje.

Proszę powiedzieć o dzisiejszej PAU: czym jest i jak działa?

Strukturę PAU rozbudowywano stopniowo, o czym już mówiliśmy, ale warto wspomnieć, że jeszcze w okresie międzywojennym powstał osobny Wydział Lekarski. Mamy zatem sześć wydziałów. Akademia jest stowarzyszeniem uczonych. W Krakowie jest 12 tysięcy pracowników naukowo-dydaktycznych, a w Polsce około stu tysięcy. Możemy więc mówić o pewnego rodzaju inflacji. Przedwojenny uniwersytet miał kilkudziesięciu profesorów i każdy z nich był liczącą się postacią. Dziś w tej ogromnej masie indywidualności giną. Zatem ma jakieś znaczenie wyróżnienie ich członkostwem takiej instytucji jak Polska Akademia Umiejętności, która uważa się za uprawnioną do tworzenia elity środowiska naukowego. W sensie ściśle społecznym jest ono egalitarne, bowiem tak w obliczu prawa jesteśmy równi, jak i w sensie etycznym. Ale równocześnie jego specyfiką jest brak egalitaryzmu, a nawet konkurencja i pewien celowy, świadomy elitaryzm. Zadaniem takich instytucji jak Akademia jest identyfikacja osób o wyjątkowych osiągnięciach i zapraszanie ich do swojego grona. Zakładam, że większość uczonych pracuje z potrzeby poznania, a nie z chęci znalezienia się w gronie akademików. Możliwość wyboru do Akademii niewątpliwie jest jednak jakimś czynnikiem motywującym po osiągnięciu naukowego szczytu, jakim jest profesura. Nie chodzi jednak wyłącznie o zaszczyty. Łączymy się w tę wyjątkową, niewielką wspólnotę uczonych z potrzeby spotkania i dyskusji naukowej.

Akademia bardzo wcześniej skierowała swoje zainteresowania w stronę podejmowania badań podstawowych, źródłowych, szczególnie w zakresie historii. To doprowadziło do wysyłania

specjalistów do miejsc, gdzie materiały dotyczące historii Polski mogły się znajdować, a to były zwłaszcza Rzym i Paryż. Powstała stacja naukowa w Rzymie, obecnie znajdująca się w gestii PAN, ale prawdę mówiąc, przy naszych możliwościach nie moglibyśmy prowadzić tego rodzaju działalności zagranicznej. Inaczej jest z Paryżem. Od ponad stu lat Polska Akademia Umiejętności jest właścicielką Biblioteki Polskiej w Paryżu. Pod koniec wieku XIX wymarło pokolenie Wielkiej Emigracji. W roku 1893 Towarzystwo Historyczno-Literackie, które tę bibliotekę prowadziło, uznało, że to PAU, która wówczas miała już bardzo solidną pozycję i dobre warunki działania, jest odpowiednią instytucją do zarządzania tą ważną dla polskiej kultury placówką. To bardzo dobrze funkcjonowało do roku 1940, kiedy w czasie okupacji Paryża Niemcy mocno dobrali się i do budynku Biblioteki Polskiej i do jej zbiorów. Po wojnie PAU straciła możliwość zajmowania się tą biblioteką. Na szczęście dzięki nowej emigracji odrodziło się Towarzystwo Historyczno-Literackie, które do dziś zarządza biblioteką. W utrzymaniu jej pomagały m.in. Fundacja Lanckorońskich i Fundacja Rodziny Zaleskich. Obecnie czekamy na potwierdzenie własności budynku, co jest potrzebne nie po to, żeby cokolwiek odbierać, ale jako wkład Akademii do instytucji współprowadzonej przez PAU, ministra kultury i THL w Paryżu. Są z tym ogromne problemy prawne. Przepisy francuskie i polskie są odmienne. We Francji nie może funkcjonować instytucja zagraniczna. Musi to być stowarzyszenie prawa francuskiego, ale takie nie może być finansowane przez polskie ministerstwo. Kanałem przekazu środków finansowych do Francji może być właśnie PAU.

Strukturyzacja i integracja środowiska odbywa się w czasie spotkań naukowych. Są one organizowane w różnych formatach: spotykają się członkowie wydziałów w celu wysłuchania referatów i dyskusji, przy czym różne wydziały mają różne zwyczaje. Przy PAU istnieje około czterdziestu komisji, w których działa blisko półtora tysiąca osób. One też mają swoje spotkania, konferencje i wydawnictwa. Trzeci format to konferencje naukowe. Razem jest to około dwustu spotkań rocznie, czyli w każdy roboczy dzień coś się u nas dzieje, a w sezonach konferencyjnych mamy po kilka spotkań dziennie. Mamy jeszcze trzy programy zewnętrzne: rozmowy o człowieku prowadzone przez panią prof. Dominikę Dudek, która zaprasza niezmiernie interesujących rozmówców. Raz w miesiącu odbywa się wykład w kawiarni naukowej oraz spotkanie w herbaciarni naukowej dla młodzieży.

Pandemia tego nie zatrzymała?

Przez pierwsze tygodnie wydawało się, że to jest katastrofa. Nie wiedzieliśmy, jak sobie dać z tym radę, ale szybko nauczyliśmy się organizowania spotkań on-line. Po trzech-czterech miesiącach zaczęło się to odradzać, powstała platforma naukowa PAU, gdzie zamieszczamy wykłady i dyskusje. Sporo spotkań wciąż ma charakter hybrydowy. Obecnie rezygnacja z wersji on-line przyniosłaby pewne szkody. Dzięki platformom internetowym na nasze spotkania trafiają ludzie poza Krakowa, także z zagranicy. Kontaktu osobistego nie da się niczym zastąpić, można co najwyżej uzupełnić, ale szkoda byłoby rezygnować z osób, które trafiają do nas z daleka. To jest jednak kosztowne – aparaturę trzeba obsługiwać, nagrane pliki przygotować i opublikować. To wszystko wymaga dodatkowych pracowników, środków technicznych i finansowych.

Zapewne sposobem oddziaływania międzynarodowego są członkowie zagraniczni PAU.

Członkowie zagraniczni to duża grupa. Kontaktów mamy sporo, ale jakichś oszałamiającej liczby odwiedzin z wykładami nie ma. Zmieniło się to dzięki niedawnej konferencji Świat w obliczu nowych wyzwań, zorganizowanej dla uczczenia jubi-

leuszu 150-lecia PAU. Wszystkie wykłady są dostępne on-line poprzez stronę internetową PAU. Zapraszam, naprawdę warto.

Jak można zostać członkiem PAU?

Każdej jesieni we wrześniu wychodzi komunikat, że zaprasza się członków do zgłaszania kandydatów na członków PAU. Podajemy, ile osób możemy wybrać w każdym wydziale na członków korespondentów, a ilu na czynnych. Członkiem czynnym może zostać tylko dotychczasowy członek korespondent. Każdy członek wydziału może zgłosić swojego kandydata, ale musi znaleźć dodatkowych popierających. Pod koniec roku odbywają się wybory tajne na wydziałach. Mamy bardzo wysoki próg trzech czwartych głosów pozytywnych, zatem wybór jest trudny, zwłaszcza jeśli jest kilku kandydatów na jedno miejsce. To powoduje, że są lata, gdy na niektórych wydziałach nikogo nie udaje się wybrać. Potem kandydaci są przedstawiani w marcu Walnemu Zgromadzeniu PAU. Na kolejnym posiedzeniu czerwcowym odbywają się wybory. Tutaj już próg jest niższy, bo statut wymaga dwóch trzecich głosów za kandydatem i rzadko ktoś odpada, bo kandydatów jest tylu, ile miejsc lub mniej, no i są po starannej selekcji na wydziałach. Wręczenie nominacji odbywa się podczas jesiennego Uroczystego Posiedzenia PAU. Procedura jest więc rygorystyczna, wymagane progi poparcia wysokie, a cały proces trwa dość długo. Niestety liczba członków PAU jest ograniczona, zatem nowe miejsca pojawiają się wraz ze śmiercią dotychczasowych akademików, podobnie jak we wszystkich poważnych akademiach na świecie. Przeciętny wiek naszych członków jest wysoki. Osoba wybrana do Akademii 20 lat temu jako człowiek stosunkowo młody i aktywny, dziś może już tracić sprawność czy nawet chęć prowadzenia badań.

Podkreślał pan ogólnopolski, a nawet międzynarodowy charakter PAU, a ja chciałbym zapytać o szczególne związki z Krakowem.

Akademia ma silne związki z miejscem funkcjonowania, ale nie tylko przez siedzibę. Władze są z reguły wybierane spośród członków z Krakowa, bo muszą być tu na miejscu, żeby sprawować swe funkcje.

Jednak jeden z wiceprezesów jest zawsze z Warszawy.

To jest taki usus, że jeden z wiceprezesów jest z Warszawy, bowiem tam też chcemy i musimy być reprezentowani, czy to w celu podtrzymywania pewnych kontaktów, czy reprezentowania Akademii. Częste wyjazdy do Warszawy byłyby dla krakowskich członków zarządu bardzo uciążliwe, zatem dobrze, żeby był ktoś z nas tam na miejscu.

Wracając do związków z Krakowem, zarząd miasta Krakowa uznał Polską Akademię Umiejętności za rodzaj swojego „ministerstwo nauki”. Prezes PAU jest z urzędu przewodniczącym komisji Nagród Miasta Krakowa. Co kilka lat przyznawana jest Nagroda im. Mikołaja Kopernika, w całości „zarządzana” przez PAU, a finansowana przez miasto. Od obecnego roku weszło ono jako partner do finansowania naszej Nagrody im. Jerzmanowskich. Istnieje bardzo pożyteczny program „Krakowskie Konferencje Naukowe”, który pozwala na dofinansowanie co roku określonej liczby takich spotkań. PAU organizuje proces rozdziału tych funduszy. Komitet programu jest złożony z rektorów wszystkich uczelni krakowskich, ale prezes PAU jest jego przewodniczącym. Tegoroczny jubileusz Polskiej Akademii Umiejętności nie mógłby się odbyć bez zasadniczej pomocy finansowej Miasta.

Jak pan profesor widzi przyszłość PAU?

Są zadania skierowane do wewnątrz, jak i na zewnątrz. Chcielibyśmy Akademię odmłodzić, ale wydaje się to bardzo trudne, jeśli w ogóle możliwe. O ile wiem, jest to problem każ-

dej tradycyjnej akademii nauk na świecie. O naszych zadaniach „codziennych”, takich jak organizacja, integracja i strukturyzacja środowiska naukowego, już mówiłem. Podobnie o popularyzacji nauki. Mamy też rozbudowaną działalność wydawniczą. Jednak środków na prowadzenie badań jako takich właściwie nie mamy, nie możemy więc organizować konkretnych programów naukowych. Poza tym nasi członkowie pracują w różnych instytucjach naukowych i są zobowiązani do realizacji zadań badawczych i zdobywania punktów dla swojej instytucji. PAU ma tylko jedną, niewielką, działającą od niedawna jednostkę naukową – Ośrodek do Badań nad Ormianami Polskimi. Ważnym zadaniem są wydawnictwa. Nastawiamy się na publikacje źródłowe, ale jest też duża grupa czasopism z różnych dziedzin, które wydaje Akademia. Niemało czasopism przejęliśmy z PAN czy z różnych uczelni, aby zachować ich ciągłość. Wniośki o to wciąż się pojawiają i w niektórych przypadkach ulegamy.

Jak radzicie sobie z utrzymaniem obiektów zabytkowych?

To oczywiście spore wyzwanie. Od trzydziestu lat trwa permanentny remont naszej siedziby, a po tylu latach trzeba już wracać na nowo do pewnych prac. Wbrew temu, co widać od strony ul. Sławkowskiej, to jest olbrzymi budynek. W zeszłym roku udało się wyremontować bardzo porządnie dachy skrzydła gmachu od strony ulicy św. Jana 22. W bieżącym roku wymieniliśmy instalację centralnego ogrzewania w tymże budynku. Niedawno został odnowiony portal i piękne drzwi wejściowe. Środki na utrzymanie i odnawianie budynków pochodzą z subwencji ministerstwa, dochodów własnych, które w pierw kumulujemy przez kilka lat, a potem konsumujemy zebraną sumę, realizując określone zadanie. Ze względu na zabytkowy charakter naszych budynków korzystamy też z pomocy Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Udało się nam wejść na listę projektów kluczowych na najbliższe lata, gdzie przewidziano dofinansowanie projektów na poziomie 47%, co jednak oznacza, że 53% środków musimy zapewnić sami, a to nie jest proste. Nasze najbliższe problemy finansowe związane są z podwyżkami cen energii i ciepła oraz podwyżkami płacy minimalnej, gdyż mamy sporo osób zatrudnionych właśnie na takich skromnych warunkach.

Ile osób zatrudnia Polska Akademia Umiejętności?

Około sześćdziesięciu. To przede wszystkim biblioteka, ale także wydawnictwo, personel administracyjny i obsługa. Dokładamy się także do utrzymania Archiwum Nauki PAN i PAU.

Jak wygląda współistnienie z Polską Akademią Nauk?

Trzydzieści lat temu być może pewne osoby w PAN odczuły zagrożenie związane z odnowieniem Polskiej Akademii Umiejętności. Jednak to się z czasem ułożyło. Zapewne to jest też kwestia pokoleniowa – ludzie, którzy w latach pięćdziesiątych nam coś zabierali, na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy odnawiano PAU, bądź już nie żyli, bądź nie byli aktywni. Podobnie już nie ma osób, które odnawiały PAU i członków PAN, którzy walczyli wówczas o utrzymanie stanu posiadania. Dziś działa kolejne pokolenie, które wyrosło w obecnych realiach, co bardzo ułatwia ułożenie sobie stosunków. Nikt nie postrzega dzisiaj PAN jako tworu komunistycznego, a PAU jest naturalnym elementem pejzażu polskiej nauki. Zatem zarówno na poziomie instytucjonalnym, jak i personalnym współpraca układa się nam bardzo dobrze. Natomiast życzyłbym sobie korzystniejszych umów z PAN. Gdy one były zawierane, byliśmy na bardzo słabych pozycjach i są w nich niekorzystne dla PAU zapisy.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Neofilologia przed i po transformacji systemowej

Uwagi germanisty i niemcoznawcy

W ostatnich pięciu–dziesięciu latach obserwuje się spadek liczby osób studiujących niektóre neofilologie. Nauczyciele akademicki – germaniści czy romanisci – mogą zazdrościć anglistom, którzy niezmiennie od lat mają wysoki nabór na studia, także iberystom, którzy odnotowują rosnące zainteresowanie ich studiami, podczas gdy liczba osób chcących studiować germanistykę czy romanistykę co roku spada.

Korzystając z zaproszenia redakcji „Forum Akademickiego” do podzielenia się przemyśleniami na temat zmian w neofilologii w Polsce w minionym trzydziestoleciu, chciałbym spojrzeć na ten okres z perspektywy bez mała 50 lat mojej pracy naukowo-dydaktycznej. Prowadziłem zajęcia dydaktyczne z adeptami germanistyki i filologii niemieckiej na Uniwersytecie Warszawskim jako głównym miejscu pracy, ale także w trzech kolegiach nauczycielskich języków obcych (w Warszawie, Szczytnie i Łowiczu) oraz w dwóch uczelniach niepublicznych (Akademii Humanistycznej w Pułtuskach i Wszechnicy Polskiej w Warszawie). Wypowiadam się tu jako germanista, ale i politolog-historyk niemieckich doktryn politycznych, w szczególności ordoliberalizmu, któremu poświęcona była moja dysertacja doktorska, po której habilitowałem się z metodologii badań nad myślą polityczną Fryderyka Nietzschego. Moje zainteresowania badawcze okazały się przydatne w pracy naukowo-dydaktycznej we wszystkich wspomnianych wyżej instytucjach. Prowadziłem zajęcia z praktycznej nauki języka niemieckiego, historii krajów niemieckiego obszaru językowego, realizoznawstwa, czyli wiedzy o krajach niemieckojęzycznych. W ostatnim dwudziestoleciu skupiłem się w badaniach i dydaktyce na komparatyście kulturowej, komunikacji międzykulturowej i różnicach kulturowych między Polakami i Niemcami.

Patrząc w przeszłość i porównując germanistykę z lat przed transformacją ustrojową z jej obecną kondycją, można zauważyć istotne zmiany. Podzieliłbym je na dobre i niekorzystne. Do zmian dobrych zaliczam włączenie się polskich naukowców i studentów do międzynarodowego obiegu naukowego, czyli korzystanie przez nich z możliwości pracy naukowej i studiowania za granicą, w przypadku germanistów w Niemczech, Austrii i Szwajcarii; różne formy współpracy naukowej z zagranicą czy też ograniczony jedynie finansami dostęp do udziału w konferencjach, do bibliotek i literatury. Trzeba tu dodać, iż naukowcy

w PRL mieli co prawda ograniczone możliwości wyjazdów na Zachód, ale jednak wielu z nich miało i nawiązywało kontakty naukowe i osobiste ze swymi kolegami za granicą. W PRL dostęp do literatury zachodniej był wprawdzie ograniczony nie tylko ówczesnymi uwarunkowaniami politycznymi, czyli przynależnością Polski do bloku wschodniego i podziałem Niemiec, ale także szczupłością środków przy ówczesnym, niewyobrażalnym dzisiaj, kursie wymiany walut. Dość powiedzieć, że asystent w latach 70. ubiegłego wieku zarabiał miesięcznie nieco ponad 3000 złotych, czyli równowartość 20–25 dolarów, tj. około 40–50 marek zachodnioniemieckich, za które można było kupić... jedną książkę naukową albo dwie książki w formie kieszonkowej. Ale istniał np. Instytut Austriacki w Warszawie, w którego bibliotece można było korzystać z austriackiej prasy i literatury, uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych, jak wizyty pisarzy itp.

Proces boloński, zmiana programów, Erasmus...

Do zmian korzystnych po 1990 roku zaliczyłbym realizację procesu bolońskiego w części dotyczącej wprowadzenia studiów trójstopniowych. Co prawda część neofilologów-nauczycieli akademickich ubolewa nad likwidacją jednolitych pięcioletnich studiów magisterskich, gdyż studia dwustopniowe wymusiły zmiany programów nauczania. W przypadku studiów filologicznych, w których istotne jest opanowanie języka obcego, trzyletnie studia licencjackie traktowane są przez część studentów jako okazja do poznania języka, a po uzyskaniu licencjatu wielu nie kontynuuje nauki na neofilologicznych studiach magisterskich, lecz niekiedy podejmuje studia na dość dalekich od neofilologii kierunkach. Ale dzięki podziałowi studiów neofilologicznych na dwa stopnie studenci studiów II stopnia uzyskali możliwość zgłębienia problemów wychodzących poza literaturoznawstwo i językoznawstwo, z dziedzin związanych

z kulturą, polityką, gospodarką czy społeczeństwem danego obszaru językowego.

W okresie przygotowawczym przed wejściem do UE Polska mogła już korzystać z różnych programów unijnego wsparcia w dziedzinie edukacji. Piszący te słowa ma osobiste doświadczenia we współpracy z Generalną Dyrekcją do spraw Edukacji i Kultury Komisji Europejskiej jako koordynator jednego z projektów w ramach programu Sokratesa – Lingua D, „Opracowanie środków pomocnych w nauczaniu języków obcych i w ocenie kompetencji w językach obcych” – realizowanego pod tytułem „Nauka dla Europy” w latach 2000–2002. Projekt ten, który kosztował UE nieco ponad 415 tys. euro, miał na celu przygotowanie na płytach CD kursów czytania codziennych tekstów (np. prasowych) w czterech językach: polskim i czeskim dla osób niemieckojęzycznych oraz niemieckim i niderlandzkim dla Polaków i był realizowany przez dydaktyków języków obcych z pięciu uczelni: Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, Uniwersytetu Wiedeńskiego, Uniwersytetu im. Karola w Pradze oraz Uniwersytetu w Tilburgu.

Współpraca naukowców i dydaktyków z krajów europejskich jest także jednym z ważniejszych pozytywnych przemian po 1990 roku. Wspomnieć tu można o powszechnie znanym i funkcjonującym także obecnie programie Erasmusa. Współpraca uczelni i studentów z różnych krajów w ramach UE służy także integracji nauki europejskiej, odchodzeniu od traktowania jej jako „dobra narodowego”. Myśl tę wyraził swego czasu (w 1813 roku) Goethe w rozmowie z historykiem Heinrichem Ludenem: „nauka i sztuka należą do świata, a przed nimi upadają bariery narodowości”. Europeizacja albo szerzej: umiędzynarodowienie nauki dotyczy bardziej nauk technicznych i przyrodniczych, w mniejszym stopniu nauk filologicznych, gdyż te ostatnie ze swej istoty zajmują się obcością i innością.

Polska germanistyka przed uruchomieniem procesu bolońskiego w 1999 roku, czyli przed rozbięciem pięcioletnich studiów magisterskich na trzyletnie studia licencjackie i dwuletnie studia magisterskie, była w zakresie treści badań i dydaktyki pod silnym wpływem germanistyki niemieckiej. Studenci realizowali programy studiów porównywalne z niemieckimi. Zajęcia dydaktyczne z literatury obejmowały wówczas kanon lektur obowiązujący na niemieckich uczelniach, poczynając od najdawniejszych utworów pisanych w języku starowysokoniemieckim (Althochdeutsch, VIII–XI wiek), poprzez teksty pisarzy tworzących w języku średniowysokoniemieckim (Mittelhochdeutsch, 1050–1350), literaturę czasów nowożytnych aż do współczesności. Także program językoznawstwa był dawniej szerszy i obejmował m.in. gramatykę historyczną. Obecnie studenci na wykładzie z historii literatury poznają poszczególne epoki literackie, ale ich lektury obejmują w większości utwory z epok późniejszych.

Tym, co wyraźnie różni germanistykę polską od niemieckiej, są realizowane na studiach germanistycznych w Polsce przedmioty z zakresu historii i kultury niemieckiej, wiedzy o krajach niemieckojęzycznych w takich dziedzinach jak polityka, społeczeństwo, gospodarka. Na studiach II stopnia w Instytucie Germanistyki UW, jednostce macierzystej autora, prowadzone są oprócz realizowanych programów z literaturoznawstwa i językoznawstwa m.in. zajęcia z polsko-niemieckiej komparatystyki kulturowej, komunikacji międzykulturowej, stosunków polsko-niemieckich oraz historii krajów niemieckiego obszaru językowego w XX i XXI wieku. Studenci poznają ponadto nowe prądy w wybranych przez siebie dziedzinach: językoznawstwie, kulturoznawstwie, literaturoznawstwie i glottodydaktyce. Studia II stopnia są doskonałą okazją do rozwijania zainteresowań naukowych przez studentów, którzy wybierają jedną z sze-

ściu specjalności: 1. historię kultury i komparatystykę kulturową, 2. komunikację międzykulturową, 3. Glottodydaktykę, 4. językoznawstwo z elementami tłumaczeń, 5. historię literatury i krytyki literackiej oraz translatorykę literacką, 6. polsko-niemieckie studia transkulturowe (blok zajęć współprowadzony z Wydziałem Polonistyki UW i Slawistyką oraz Germanistyką na Uniwersytecie w Tybindze), 7. komunikację w biznesie. Kilka z tych specjalizacji ukierunkowanych jest na rozwój kompetencji i umiejętności przydatnych na rynku pracy i zawiera przedmioty o dużej doniosłości praktycznej, jak konwersatorium dotyczące kultury, języków i obyczajów współczesnej Europy, seminaria z zakresu różnic kulturowych między Polakami i Niemcami, zajęcia tłumaczeniowe (dokumentów, tekstów użytkowych, prasowych i fachowych), etykieta językowa w biznesie, e-biznes, korespondencja w biznesie, literaturoznawstwo stosowane, krytyka literacka w praktyce.

Regres zainteresowania

Przechodząc do niekorzystnych zmian, a właściwie zjawisk w środowisku uczelnianych germanistów i szerzej: neofilologów w minionym trzydziestoleciu, trzeba znów odwołać się do przeszłości, do czasu przed transformacją. W celu lepszego zrozumienia współczesnego regresu w sferze zainteresowania studiami neofilologicznymi – pomijając anglistykę czy iberystykę, które cieszą się niezmiennie dużą popularnością – warto przypomnieć, jaki był poziom zainteresowania germanistyką w Polsce w minionym pięćdziesięcioleciu. W odróżnieniu od innych ośrodków neofilologicznych w Polsce, w których instytuty bądź katedry mają w swych nazwach słowo „filologia”, np. Instytut Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, na Uniwersytecie Warszawskim od końca lat 70. obowiązującą nazwą jednostki jest Instytut Germanistyki. Zmiana nazwy miała na celu odzwierciedlenie faktu, iż poza filologią niemiecką, czyli literaturoznawstwem i językoznawstwem krajów niemieckojęzycznych, pracownicy instytutu oraz współpracujący z nim naukowcy prowadzili badania naukowe i dydaktykę także w innych dziedzinach związanych ze sprawami niemieckimi, jak kulturoznawstwo, politologia, historia, socjologia. W końcu lat 70. powstało także czasopismo naukowe służące publikacji wyników wspomnianych badań, „Studia Niemcoznawcze”, ukazujące się pod redakcją prof. Michała Cieśli, a następnie wydawane przez prof. Lecha Kolago. Czasopismo to było początkowo organem Interdyscyplinarnego Zespołu Niemcoznawczego, w skład którego wchodziło pracowników kilku jednostek UW, reprezentujący wspomniane wyżej dyscypliny, a po nieformalnym rozwiązaniu się tegoż zespołu stało się czasopismem Instytutu Germanistyki UW i ukazuje się do dnia dzisiejszego (do chwili obecnej jest to 67 tomów).

W latach 60.–80. studia germanistyczne dostępne były dla osób, które zdały egzamin wstępny (pisemny i ustny). Obowiązywały limity przyjęć (60 miejsc przy około 240–300 kandydatach, później limity były nieco wyższe). Dzięki egzaminom wstępnym poziom kandydatów przyjętych na studia był w miarę wyrównany. Absolwenci pięcioletnich studiów magisterskich germanistyki byli „rozchwytywani” przez różnych pracodawców i od razu znajdowali zatrudnienie. Ówczesny podział świata na przeciwstawne obozy polityczne, jak i ogólnie ograniczona liczba absolwentów (przez wspomniane limity przyjęć na studia) dawały im możliwość wyboru miejsca pracy.

W pierwszym dziesięcioleciu transformacji systemowej w Polsce zainteresowanie studiami neofilologicznymi, w tym germanistycznymi, bardzo wzrosło. W 1991 roku powstało na UW Nauczycielskie Kolegium Języka Niemieckiego, następnie także w innych ośrodkach akademickich, niekiedy w mniejszych miastach, jak Radom, Sieradz, Szczytno czy Łowicz,

powoływano do życia kolegia kształcące przyszłych nauczycieli. Poza państwowymi powstawały w latach 90. liczne prywatne szkoły wyższe z kierunkami filologicznymi. W Wyższej Szkole Humanistycznej w Pułtusku, przekształconej następnie w Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora, poza lektoratami języków obcych, prowadzonymi przez wykładowców w większości dojeżdżających do pracy w tej uczelni z innych ośrodków, powstał w 1998/99 roku na Wydziale Pedagogicznym odrębny kierunek studiów pod nazwą dydaktyka języków obcych. Na zaoczne studia magisterskie, prowadzone w weekendy, przyjeżdżało do Pułtuska praktycznie z całej Polski po kilkadziesiąt osób – w dużej części czynni zawodowo nauczyciele języków: angielskiego, rosyjskiego i niemieckiego – by uzupełnić wiedzę w zakresie glottodydaktyki, ale także wiedzę ogólną dotyczącą współczesnej Europy, komunikacji interkulturowej, realizmawstwa. Studia na wspomnianym kierunku ukończyło w okresie istnienia WSH i AH kilkaset osób. W War-

szawie uruchomiono m.in. we Wszechnicy Polskiej w 2007 roku studia licencjackie w zakresie filologii niemieckiej, angielskiej i rosyjskiej, na których kształciło się do połowy lat 2010 także kilkaset osób.

W ostatnich pięciu–dziesięciu latach obserwuje się spadek liczby osób studiujących niektóre neofilologie. Nauczyciele akademicy – germaniści czy romanisci – mogą zazdrościć anglistom, którzy niezmiennie od lat mają wysoki nabór na studia, także iberystom, którzy odnotowują rosnące zainteresowanie ich studiami, podczas gdy liczba osób chcących studiować germanistykę czy romanistykę co roku spada. Jest to spowodowane przydatnością języka angielskiego w życiu, jego popularnością na świecie, traktowaniem go jako środka międzynarodowej komunikacji.



Przed wszystkim komunikatywność

Niemcy niestety walnie przyczyniają się do umocnienia pozycji angielszczyzny czy amerykańszczyzny także w swoim kraju (albo krajach związkowych, jako że stanowią one federację), a to dlatego, że słownictwo, a nawet frazeologia z obu wariantów języka – brytyjskiego i amerykańskiego – coraz częściej i na coraz większą skalę przenikają do współczesnej niemiezczyzny. Właściwie nie sposób już dzisiaj mówić o czystości językowej wśród mieszkańców krajów niemieckojęzycznych. Liczy się przede wszystkim komunikatywność, a spory odsetek spośród 27% mieszkańców pochodzenia nienieckiego i tak posługuje się niemiezczyzną z błędami, choć oczywiście są wśród tych ludzi także osoby władające językiem kraju swego zamieszkania w sposób doskonały, jak chociażby literaci pochodzenia tureckiego czy polskiego piszący po niemiecku, czy dość liczni prezenterzy publiczno-prawnych stacji telewizyjnych, których wygląd i nazwiska wskazują na ich nienieckie korzenie. Ale ponieważ multikulturalizm stał się, wbrew opinii niektórych polityków niemieckich, faktem społecznym uzasadniającym różnorodność kulturową i współistnienie Niemców „biologicznych” i „obcokulturowych”, wielu „rodzimych” Niemców nie widzi w tym problemu.

Osoby i organizacje występujące w obronie niemiezczyzny, jak np. Stowarzyszenie Języka Niemieckiego (niem. Verein Deutsche Sprache) są atakowane jako konserwatyści, nacjonaliści, „wiecznie wczorajsi” (niem. Ewiggestrige). Temu zagadnieniu poświęciłem artykuł w LXVII tomie czasopisma „Studia Niemcoznawcze”. Można wręcz postawić trudną do obalenia tezę, iż bez znajomości angielszczyzny (bądź amerykańszczyzny) zrozumienie obecnie używanego na niemieckim obszarze kulturowym języka jest dla niektórych ludzi wyzwaniem. Co więcej, niektóre formy użycia języka niemieckiego w przestrzeni publicznej podlegają w dzisiejszych Niemczech swoistym restrykcjom. Względny tzw. poprawności politycznej i genderyzmu, egzekwowane zwłaszcza poprzez media mainstreamowe – tzw. nadawców publicznych radiowych i telewizyjnych, ale także dziennikarzy opiniotwórczych gazet i czasopism – ograniczają swobodę wypowiedzi, a nawet wolność słowa poprzez wprowadzanie wytycznych dotyczących użycia zgodnych z genderem form językowych. Dominująca w dzisiejszych Niemczech opcja lewicowa, bynajmniej nieograniczona do obecnej koalicji rządzącej, narzuca swoje normy językowe w ten sposób, że np. student staje się „osobą studiującą”, a lekarz „personalem medycznym” albo „osobą w służbie lekarskiej”. Znane są przypadki, że studenci niepiszący prac semestralnych w sposób zgodny z genderem, mają obniżane oceny. Na niemieckich uczelniach oprócz wspomnianych wytycznych językowych istnieją także specjalne komórki do spraw prewencji dyskryminacji i molestowania seksualnego. Np. na Uniwersytecie Marcina Lutera w Halle i Wittenberdze do takiej komórki wpłynęła skarga na jednego z profesorów, który nie stosował się do reguł genderowych i wymagał od studentów używania tradycyjnych, ustalonych form językowych. Sprawa naukowca najdzie być może finał w sądzie.

Użycie form zgodnych z genderem odnosi się nie tylko do słowa pisanego. Niektóre osoby prowadzące programy informacyjne w radiu i telewizji publicznej wymawiają nowo tworzone, genderowe formy wyrazów (np. StudentInnen, tzn. studenci i studentki, w połączeniu jednowyrazowym) w taki sposób, by różnice płci stawały się niewyczuwalne, tj. robiąc krótką pauzę w środku wymawianego wyrazu, przed samogłoską i. Oczywiście tworzenie tego nowego rodzaju słów jest wyuczalne i zapewne koleżanki i koledzy dydaktycy sprstają temu wyzwaniu narzuconemu im przez dominujących w dzisiejszych Niemczech zwolenników nieróżnicowania ludzi według płci. Jako germanista starej daty mogę im jedynie współczuć.

Wymazywanie

Z genderem wiąże się także kolejny problem, w dużej mierze związany z używaniem języka, tj. wszechobecne w niemieckim dyskursie publicznym dążenie do poprawności politycznej. Najnowszym przykładem tej tendencji jest wykreślenie z planów wydawniczych jednego z niemieckich wydawnictw powieści przygodowych Karola Maya o wodzu Apaczów Winnetou, utworów uznanych przez nadwrażliwą, odczuwającą w duchu wokeizmu część niemieckiej lewicy za rasistowskie i dyskryminujące rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej. Wspomnieć jeszcze trzeba o zjawisku cancel culture, czyli kultury (czy rzeczywiście kultury? chyba raczej praktyki) wymazywania z przestrzeni publicznej osób, które naraziły się w swej działalności artystycznej czy naukowej niepoprawnością myślenia bądź nieprawomyślnością przekraczającą granice ustalone przez mainstream. Pociąga to za sobą opór ze strony zwolenników nieograniczonej swobody wypowiedzi, prowadząc do i tak już ostrych podziałów w niemieckim społeczeństwie. Germaniści zagraniczni (Auslandsgermanisten), jako zewnętrzni obserwatorzy tych zjawisk, mają tę przewagę nad swoimi niemieckimi kolegami, że mogą o tych uwarunkowaniach dyskursu publicznego oraz o tychże konfliktach – importowanych do Niemiec ze Stanów Zjednoczonych – rozmawiać i pisać bez obawy przed wykluczeniem ze wspólnoty (artystycznej czy naukowej), co spotkało już kilku niemieckich profesorów, których wypowiedzi interpretowano jako skrajnie prawicowe czy wręcz faszystowskie.

Zresztą innowacji – moim zdaniem na gorsze – było w minionym trzydziestoleciu więcej. Zaliczam do nich np. reformę niemieckiej ortografii z roku 1996, krytykowaną także przez wielu germanistów, jak i użytkowników języka, zarówno rodzimych, jak i obcych, a polegającą na „uproszczeniu” pisowni, niekiedy prowadzącym do językowych niejasności. W efekcie protestów dokonano w latach 2004 i 2006 zmian w najbardziej kontrowersyjnych zasadach, a następnie w latach 2011, 2017 i 2018 kolejnych poprawek w pisowni, przy czym np. niektóre wydawnictwa stosują swoje własne zasady ortograficzne, co pogłębia trudności użytkowników języka z ich stosowaniem. Osoby uczące się języka, jak i nauczające go mają z tym sporo problemów i trudności te będą się jeszcze pogłębiać.

Dużo, zbyt dużo zaszło zmian w Niemczech, z którymi my, germaniści zagraniczni, musimy się mierzyć. Zjednoczenie obu państw niemieckich w jeden organizm państwowy, z którego cieszyli się zwłaszcza pamiętający szykany wschodniemieckich pograniczników i celników na granicy niemiecko-niemieckiej, dało nam możliwość swobodnego podróżowania i poznawania jakże ciekawych miejsc w Niemczech, kraju pod względem zabytków kultury i nauki naprawdę atrakcyjnym. Nasi studenci korzystają z wymian studenckich w ramach Erasmusa, niektórzy jeżdżą tam na wakacje do pracy, absolwenci znajdują zatrudnienie w niemieckich firmach po obu stronach granicy polsko-niemieckiej. Są to zmiany pozytywne i można się z nich cieszyć. Ale obecna sytuacja międzynarodowa, w szczególności wojna na wschodzie Europy, nie pozwala patrzeć optymistycznie w przyszłość, a tym bardziej snuć planów rozwoju nauki i edukacji, w tym także w zakresie neofilologii i germanistyki. Dlatego też łatwiej i przyjemniej jest pisać o przeszłości, która mimo swych trudnych, a niekiedy i ciemnych stron, była stabilna i przewidywalna.

Dr hab. Tomasz G. Pszczółkowski, emerytowany prof. UW, germanista i politolog, długoletni kierownik Zakładu Kultury Niemieckiego Obszaru Językowego, a następnie Zakładu Studiów nad Krajami Niemieckiego Obszaru Językowego w Instytucie Germanistyki UW

Równanie z trzema niewiadomymi

Studenci postrzegają neofilologię jako porządny kurs językowy i oczekują od nas wyuczenia ich konkretnego fachu, dzięki któremu odnajdą się z łatwością na rynku pracy. „Mniej teorii, więcej praktyki” piszą w ankietach. Tak jakby praktyka mogła się obyć u wykształconego człowieka bez solidnej bazy teoretycznej. Wyszukoleni na testach i nauce „od do” (obym się myliła) oczekują konkretów.

W przeciwieństwie do tego, co zwykle publikuję, ten tekst nie jest ani naukowy, ani obiektywny. Zaproszenie ze strony „Forum Akademickiego” zbiegło się przypadkiem z lekturą studenckich ankiet dotyczących stopnia satysfakcji z realizowanych studiów. Po ich lekturze poczułam, że tracę równowagę, że oczekuje się ode mnie rzeczy niemożliwych, że oferta uczelni i oczekiwania studentów są coraz bardziej odległe, a moja praca wymaga rewizji, chwili refleksji, do czego, mam nadzieję, skłoni Państwa ten tekst. Zaczynam od „wczoraj”.

Wczoraj

Studia na filologii hiszpańskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim zaczynałam na początku lat 90. Przy imponującej liczbie ponad 10 kandydatów (Mam nadzieję, że wszystkie panie, które przecież na ogół stanowią większość na studiach filologicznych, wybaczą mi stosowanie w tym artykule rodzaju męskiego w funkcji generycznej.) na miejsce, kierunek jawił się jako elitarny, ba, niemal nieosiągalny. Udało się. A już wtedy miało się ten posmak „srebrnego wieku”: słyszeliśmy opowieści o pierwszych rocznikach (przypomnijmy, że krakowska hispanistyka powstała w połowie lat 70.), głównie fanatyków literatury iberoamerykańskiej, kiedy to każdy przychodził na zajęcia ze swoją ulubioną książką, a wszystkie z charakterystycznym logo Wydawnictwa Literackiego. Chociaż od czasu moich studiów dzieli nas zaledwie trzy dekady i chociaż brzmi to pewnie wręcz niewyobrażalnie dla naszych obecnych roczników, studiowałam w czasach, kiedy praktycznie nie było podręczników akademickich, lektury występowały w jednym egzemplarzu, o kolorowych prezentacjach nie było mowy, notatki z wykładów robiło się ręcznie (aczkolwiek pojawiło się xero i pierwsze komputery), a do Hiszpanii jeździło się autokarem (na bilet lotniczy studenta na ogół nie było stać), no i potrzebna była wiza...

Jednocześnie starsze koleżanki opowiadały o swoich rocznych (!) pobytach stypendialnych na Kubie czy w Panamie, które po transformacji ustrojowej stały się tylko wspomnieniem. Skompletowanie kadry naukowej graniczyło z cudem, mieliśmy przez to okazję poznać wybitnych specjalistów pan-romanistów (Zain-

teresowanych odsyłam do lektury X tomu naszych „Studiów Iberystycznych” z 2011 r.). Nie było poczty elektronicznej, platform, sylabusów, sprawozdań, ankiet, ram programowych czy limitów grup. Do dziś wspominam swoje seminarium magisterskie z budzącym widać postrach dr. Sławomirskim, którego byłam jedyną magistrantką. Odwiedziny gości z Hiszpanii i organizowane wówczas tzw. tertulie to było akademickie święto – obecność nieobowiązkowa, a sala pełna. Wyjazd na kurs hiszpańskiego w szkole letniej (tu znaczącą rolę odgrywały prywatne kontakty wykładowców, dzięki którym nawiązywana była współpraca) był wyróżnieniem. Trzysemestralny kurs łaciny czy 120 godzin gramatyki historycznej traktowaliśmy jak niezbywalny element filologicznych studiów, a egzamin z tego ostatniego stanowił swoisty chrzest bojowy. Dla wielu z nas zapewne główną atrakcją i powodem do rozpoczęcia tych studiów były zajęcia z języka, ale wciąż podstawa studiów filologicznych, czyli zajęcia z historii literatury, elementy historii i cywilizacji oraz synchroniczny i diachroniczny opis języka, były niekwestionowane.

Dziś

W ciągu tych 30 lat, oprócz otwartych granic, dobrodziejstw informatyki, szerokiej gamy podręczników (praktycznie do każdego realizowanego na studiach przedmiotu), pojawiły się coraz liczniejsze obostrzenia administracyjne: wraz z systemem bolońskim pojawił się nowy model studiów (ku mojemu zdziwieniu niekoniecznie kompatybilny z systemem szkolnictwa wyższego w Hiszpanii), punkty, programy, sylabusy, efekty kształcenia, treści programowe, procenty przedmiotów do wyboru, wytyczne dotyczące realizacji kursów poza macierzystym instytutem i, o czym tyle się mówi, rozległa dokumentacja. Jednocześnie filologia powoli zaczęła dryfować w kierunku bardziej użytkowym: mniej łaciny, mniej diachronii, pojawiła się możliwość zdobywania uprawnień pedagogicznych, ciesząca się ogromną popularnością specjalizacja tłumaczeniowa, a obecnie jeszcze bardziej oblegana specjalizacja administracyjno-biznesowa. Nic dziwnego: większość naszych absolwentów znajduje zatrudnienie w międzynarodowych korporacjach. Tradycyjna ścieżka filologiczna

stała się niszowa, w zasadzie jest w zaniku. Wydaje się, że większym zainteresowaniem cieszą się zajęcia językoznawcze niż literackie, a i w samym językoznawstwie prym wiedzie tzw. językoznawstwo stosowane, czyli w naszym przypadku traduktologia i glottodydaktyka. Dodam tylko, że zapotrzebowanie na nauczycieli języka hiszpańskiego jest wciąż ogromne. Ma to związek zapewne z rosnącą popularnością tego języka i jego ofertą na wszystkich stopniach szkolnictwa. Zaznaczam też, że zajęcia na wszystkich ścieżkach programowych prowadzą wybitni specjaliści: uznani na arenie międzynarodowej tłumacze literatury i tłumacze tekstów użytkowych, świetne tłumaczkі kabinowe, organizowane są praktyki w przedsiębiorstwach, ale też wprowadzamy elementy filologiczne: komunikację czy pragmatykę międzykulturową i kursy unikatowe na skalę krajową, jak wsparcie osób niepełnosprawnych w procesie kształcenia językowego. Słowem staramy się, aby nie tracąc z pola widzenia kluczowego wciąż słowa filologia, przygotować studiującą u nas młodzież do podjęcia pracy zawodowej. Ale i tak notujemy spadek zainteresowania studiami magisterskimi i wciąż zadajemy sobie pytanie, jak zmodyfikować naszą ofertę, aby wpisała się równocześnie w profil akademicki i oczekiwania kandydatów.

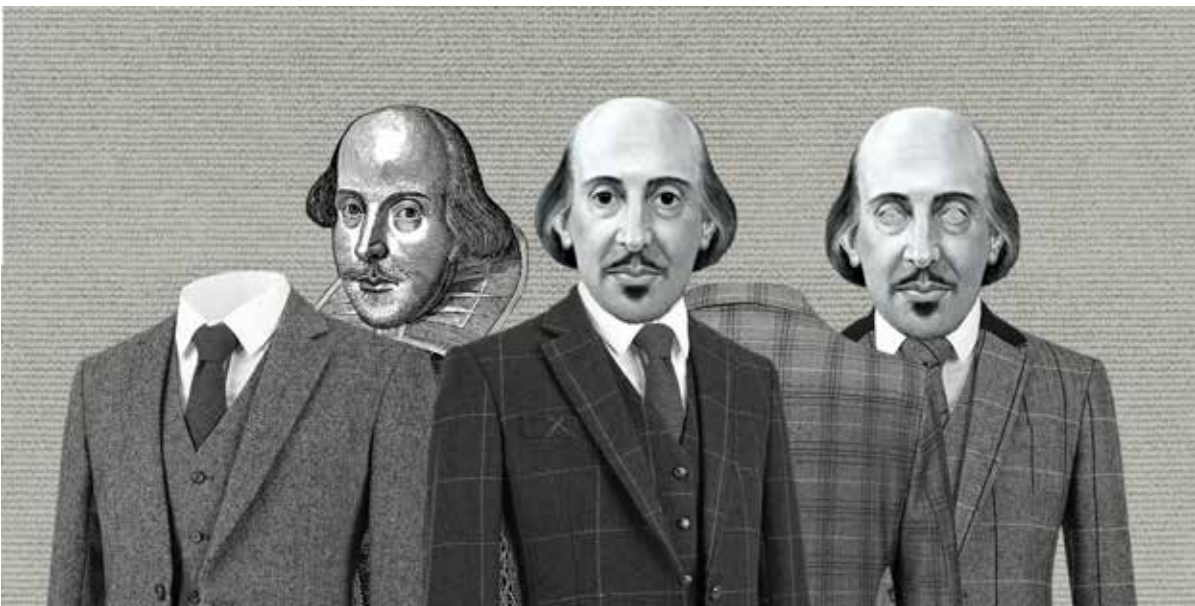
Oprócz podręczników, platform, rzutników i komputerów pojawiły się programy wymiany akademickiej. Ten najpopularniejszy, Erasmus, sprawia, że niemal każdy chętny może spędzić semestr lub dwa na uczelni zagranicznej, a krajowy program Most umożliwia studia na uczelni krajowej. Świat, a już na pewno Europa, stanęły otworem. Wiele neofilologii w Polsce, w tym i krakowska, może się poszczycić pięknymi, przestronnymi budynkami z infrastrukturą, o której moje pokolenie nawet nie marzyło. Instytucja „profesora wizytującego” sprawiła, że praktycznie co roku odwiedzają nas specjaliści z całego świata, którzy prowadzą dla naszych studentów wykłady. Prezentacje, nagrania, dostęp do Internetu, urozmaicone formy zajęć (o których mamy obowiązek informować w szczegółowych sylabusach, które, mam wrażenie, studenci niespecjalnie konsultują) i wykształcona w międzyczasie kadra – to kolejne osiągnięcia minionych kilku dekad. Co nie mniej istotne, pojawiły się kursy szkoleniowe dla kadry akademickiej. Od zawsze bowiem budził moje zdziwienie fakt, że aby uczyć w szkole podstawowej czy średniej, trzeba ukończyć specjalistyczne kursy, a żeby wykładać na uczelni (jak w moim przypadku), wystarczyło na niej zostać... Nie jestem przekonana, czy zawsze liczba tych kursów przekłada się na jakość, ale staram się zrozumieć, że to jednak novum w naszej przestrzeni i wciąż się uczymy.

O warunkach, także finansowych, pracy w szkolnictwie i rosnącej biurokracji napisano już tyle, że chyba nie ma sensu tego powtarzać, zaczniemy zatem od pozytywów. Zmieniły się warunki pracy naukowej: dostęp do Internetu, baz danych czy

zasobów cyfrowych sprawia, że coraz łatwiej jest zgromadzić materiał do pracy badawczej. Łatwiejsze i liczniejsze są kontakty z hispanistami z innych krajów. A czas pandemii (o czym za moment) uprzytomnił nam, że można pracować, dyskutować i organizować seminaria i konferencje bez wychodzenia z domu. Czasami tylko trzeba zwrócić uwagę na różnicę czasu...

O panującej „punktozie”, czyli konieczności publikacji w wysoko punktowanych czasopismach, sprawozdawczości, trudnościach w pozyskaniu i rozliczaniu grantów badawczych (kiedy filolog zaczyna się czuć jak księgowy, chociaż nigdy nie studiował ekonomii czy administracji) napisano już tyle, że nie chcę powielać tych uwag. Zdaję sobie sprawę, że pracownik naukowy powinien być oceniany i jako badacz, i jako dydaktyk, ale odczuwam, nazwijmy to, smutek, kiedy jednakowe parametry stosuje się w ocenie nauk przyrodniczych czy ścisłych (z pełnym podziwem dla wszystkich prowadzących takie badania), w których efekty pracy badawczej przekładają się na konkretne wyniki, odkrycia, rozwiązania czy patenty, i nauk humanistycznych, które wielu wydają się sztuką dla sztuki (i pewnie niekiedy nią są), ale przecież są nauką o nas, o ludziach jako istotach społecznych, o wytworach naszych umysłów, naszej kultury, naszej wyobraźni... Może więc czas zweryfikować parametry oceny?

Nie mogę zatem powiedzieć, że „każdy miniony czas był lepszy”. I nie chcę. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że mnogość i rozległość tych zmian nas zaskoczyła. Trzydzieści lat to przecież trzy pokolenia. Zmienił się profil kandydata na studia, a potem już studenta, jego oczekiwania i postrzeganie studiów, uczelni, pracy czy kariery naukowej. Chyba nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę i chwilami nie bardzo nadążamy za naszymi studentami. A oni z kolei nie bardzo wiedzą (bo i skąd?), czemu służą studia, czym jest uniwersytet i czemu służą badania naukowe, zwłaszcza te nasze: mimo coraz lepiej precyzowanych metodologii badań humanistycznych nie zawsze mierzalne i przekładalne na konkretne rozwiązania. Wielu, odnoszę wrażenie, czuje się rozczarowanych charakterem i proporcją zajęć, obciążonych „balastem” w postaci zajęć strictly filologicznych, które przecież stanowią o unikatowości tych studiów. Postrzegają neofilologię jako porządną kurs językowy i oczekują od nas wyuczenia ich konkretnego fachu, dzięki któremu odnajdą się z łatwością na rynku pracy. „Mniej teorii, więcej praktyki” piszą w ankietach. Tak jakby praktyka mogła się obyć u wykształconego człowieka bez solidnej bazy teoretycznej. Wyszkoleni na testach i nauce „od do” (obym się myliła) oczekują konkretów: od slajdów z zajęć (bo po co mozolnie robić autorskie notatki, a potem uzupełniać ewentualne braki sięgając do polecanej w sylabusie (!) literatury przedmiotu czy konsultując się z wykładowcą) po praktyki w przedsiębiorstwach. Nie wszyscy i nie zawsze, rzecz jasna, chociaż to chyba dominujący trend.



Rys. Sławomir Makal

Zdarzają się fascynaci literatur dawnych, tłumacze-adepti poezji, pasjonaci badań językoznawczych. Co więcej, w trakcie prowadzonego od lat seminarium magisterskiego z językoznawstwa hiszpańskiego z dumą i radością obserwuję, że chociaż coraz rzadziej pojawiają się magistranci, którzy już na pierwszym spotkaniu z bliskim w oku prezentują wymarzony temat swojej pracy, to po pierwszym roku seminarium, w czasie którego w końcu mamy czas na rozmowę (bo nie musimy w pędzie realizować treści upychanych w coraz mniejszej ilości godzin), wspólną refleksję, kiedy pracujemy w stosunkowo niewielkich grupach i każdy może swobodnie wyrazić swoje zdanie, kiedy burza mózgów jest czymś naturalnym i często zdarza się nam „zbaczać” ze ścieżki wyznaczonej przez temat seminarium, żeby na końcu ze zdziwieniem odkryć, że nawet na tych rubieżach język odgrywa niepoślednią rolę, każdy z nich odkrywa samodzielnie swój temat, a moja rola sprowadza się do dyskretnego kierowania rozwojem pracy i podsuwania ewentualnych lektur.

Nie winię ich więc za taką użytkową postawę, ale pytam siebie (i pośrednio Państwa), jak pogodzić to czysto pragmatyczne podejście do specyficznego skądinąd charakteru studiów humanistycznych sensu largo i neofilologicznych sensu stricto. Coraz częściej bowiem odnoszę wrażenie, że uprawiamy jakąś przedziwną ekwilibrystkę, która, jeśli nie skończy się bolesnym upadkiem, to na pewno nadweręży nasze zdrowie. Meandrujemy, coraz bardziej desperacko, między instytucją uniwersytetu, szkoły zawodowej (teraz już pewnie akademii nauk stosowanych) i korporacji. I obawiam się, że jest to kombinacja mało kompatybilna. Z jednej strony bowiem chcemy kształcić, rozwijać naukowo, przekazywać treści, dzielić się wynikami naszych badań, zarażać pasją. Z drugiej chcemy chociaż częściowo spełnić oczekiwania przychodzącej do nas młodzieży i dać jej ów fach – przygotowanie zawodowe, konkretne instrumenty i umiejętności. Z trzeciej mamy aspiracje (musimy?) być instytucją opłacalną. Stąd mile widziane granty czy udział w programach, żeby jakoś móc sfinansować swoje badania i publikacje, stąd nie do przyjęcia obecnie owa legendarna nieco, jednoosobowa grupa seminaryjna, bo musimy wypełnić wymagany limit, stąd konieczność publikacji w takich, a nie innych czasopiśmie. A skoro o opłacalności mowa, to docieramy do bardzo prozaicznego problemu zatrudnienia: kto bowiem zechce pracować za pensję asystenta, skoro ma możliwość zarabiać drugie tyle w każdej korporacji? Na ile być dla tych młodych ludzi okaże się ważniejsze niż mieć? Który tzw. native speaker, niezbędny w procesie nauczania języka obcego, zechce pracować na uczelni, skoro pensja lektora pozwala mniej więcej na opłacenie czynszu w mieście takim jak Kraków? I wreszcie pytanie do nas i wszystkich odpowiedzialnych za edukację: jak rozwiązać to równanie z trzema niewiadomymi?

Może należałoby zacząć ab ovo, od informacji czym jest uniwersytet (z łac. universitas ‘ogół’, ‘całokształt’, ‘powszechność’)? Uświadamiać młodzież, ale i całe społeczeństwo, że głównym celem studiów uniwersyteckich jest nie tylko przekazywanie wiedzy, ale też nauka krytycznego myślenia, ba, myślenia w ogóle. Że ogromną rolę odgrywa tu proces samodzielnego uczenia się, który potem przekłada się na ów long life learning, bo wykształcony umysł pozostaje otwarty całe życie? Że na naszych studiach język nie jest celem samym w sobie, ale instrumentem poznawczym? Że studia humanistyczne polegają na czytaniu i pisaniu? Na pracy z tekstami jako wytworami myśli ludzkiej? Naszej myśli.

A może czas uniwersytetów dobiega końca? Może niepotrzebne nam już „szkoły myślenia”, a tylko „szkoły zawodu”? A może wystarczy spróbować, w porozumieniu z młodzieżą, bo w końcu do niej adresujemy naszą ofertę, i z pełną świadomością roli uniwersytetu znaleźć równowagę w tym skomplikowanym układzie choreograficznym? Nie tracąc z oczu prozaicznych kwestii finan-

sowych, ale też ze świadomością, że nigdy nie możemy równać się wydajnością finansową z naukami ścisłymi. Naszym kapitałem bowiem jest człowiek. Młody, otwarty na świat, świadomy siebie, krytycznie myślący człowiek. I taki kapitał nie ma chyba wymiernej ceny. Dodam gwoli ścisłości, że po studiach neofilologicznych ten młody człowiek zna najczęściej kilka języków obcych, kulturę i literaturę co najmniej jednego kraju, nieobce są mu podróże, jest odczytany, świadom wartości dóbr kulturowych, umie formułować teksty mówione i pisane, a często posiada dodatkowe umiejętności czysto zawodowe: jest gotowy do podjęcia pracy tłumacza, nauczyciela, pracownika sektora kultury czy (czemu nie?) sprawdza się w międzynarodowej korporacji.

Na koniec kilka słów o pandemii. Ale już niemal anegdotalicznie. Bo o skutkach społecznych pandemii czy zdalnego nauczania powstało już pewnie mnóstwo prac, tak jak powstały prace językoznawcze o tym, jak to nowe zjawisko wpłynęło na język. Niezaprzeczalnie zdalne nauczanie zmusiło nas do szybkiej nauki korzystania z dobrodziejstw platform internetowych, ale pozwoliło też docenić zalety zajęć stacjonarnych. Ot, taki humanistyczny właśnie aspekt doświadczenia. Próbuje sobie czasem wyobrazić, jak wyglądałaby moja edukacja, gdyby pandemia wybuchła w latach 90., ale potraktujmy to jako ćwiczenie wyobraźni. Pandemia bowiem pozwoliła mi dostrzec pewne aspekty młodzieży, o których rzadko się wspomina. Otóż na początku zajęć zdalnych z ogromnym zdziwieniem skonstatowałam, że frekwencja na moich wykładach wynosi sto procent. I to właśnie wtedy, gdy ogłosiłam, że ze względu na tę trudną i bezprecedensową zarazem sytuację oraz możliwe trudności techniczne nie sprawdzam obecności, na zajęciach pojawiali się wszyscy. Zależnieni i zdezorientowani pytali, kiedy „to” się skończy. Uświadomiłam sobie, że jak kruchym materiałem ludzkim mamy do czynienia. Jak ta pierwsza w gruncie rzeczy przeszkoda, na którą natknęło się obecne młode pokolenie, urodzone właśnie w czasach otwartych granic, nieograniczonego dostępu do Internetu i wielu innych dóbr, dla nas w młodości nieosiągalnych, potrzebuje wsparcia i naszej uwagi. Nigdy o to nie zapytałam wprost, ale miałam wrażenie, że nasze wspólne zajęcia były dla nich jakąś namiastką normalności, kontynuacją epoki, którą znali i która na naszych oczach dobiegała końca. Że oprócz nauczycieli akademickich byliśmy (jesteśmy?) często dla nich wsparciem, punktem odniesienia, a może wręcz autorytetem.

Drugie doświadczenie dotyczy pierwszego egzaminu organizowanego zdalnie. Pozwoliłam na wyłączenie kamer i mikrofonów, powiedziałam, że są dorośli i uczą się dla siebie, świadoma, że pewnie nie będzie ocen negatywnych. Jakie było moje zdziwienie, gdy okazało się, że odsetek ocen negatywnych był identyczny jak w przypadku egzaminów stacjonarnych. Do dziś nie wiem, jaki był tego powód, ale chcę wierzyć, że była nim po prostu uczciwość.

Jutro

Nie zamierzam idealizować tych doświadczeń ani gloryfikować bezkrytycznie moich studentów. Chociaż lubię ich i kontakty z nimi, nie mam złudzeń, że jest też druga strona nauczania zdalnego i wielu chętnie skorzystało z niewidzialnej anonimowości za ekranem. Ale też wciąż wierzę, że warto podjąć dyskusję nad kształtem studiów i badań neofilologicznych, owym „jutro” naszej pracy badawczo-dydaktycznej. Dla nas samych, ale też dla kolejnych pokoleń, które jeszcze wciąż chcą studiować na kierunkach neofilologicznych. Taki międzypokoleniowy i wewnątrzśrodowiskowy dialog jest naszej zbiorowości niezwykle potrzebny.

*Dr hab. Ewa Stala, prof. UJ, Zakład Filologii Hiszpańskiej,
Instytut Filologii Romńskiej UJ*

Jacek Witkoś

Neofilologia w minionym 30-leciu

Zmiany, zmiany, zmiany

Nie dajemy za wygraną i staramy się przyciągnąć jak największą liczbę kandydatów na studia pierwszego stopnia, które też maksymalnie uatrakcyjniamy. Proponujemy nowe kierunki.

W ciągu minionych 30 lat studia neofilologiczne zmieniły się nie do poznania. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy na gorsze, czy lepsze, ale na pewno wyglądają teraz zupełnie inaczej niż kiedyś. Zaczniemy od kwestii studentów wybierających ten kierunek studiów trzydzieści lat temu. Były to generalnie osoby zainteresowane tematyką związaną z literaturoznawstwem bądź językoznawstwem, w tym dydaktyką, nauczaniem języka. Przypomnę, że w tamtym czasie elementem procedury rekrutacyjnej był egzamin wstępny, co ograniczało liczbę kandydatów całkowicie przypadkowych. Nierzadko widać było już w gronie studentów pierwszego roku osoby, które wręcz pasjonowały się wybranymi przedmiotami i od pierwszych dni na wydziale były nastawione na udział w zajęciach kulturowo-literackich bądź lingwistycznych. Praca ze studentem zmotywowanym i poważnie zainteresowanym przedmiotem studiów stanowiła prawdziwą przyjemność. Chyba też trochę inna była rola prowadzącego zajęcia; w czasach przedinternetowych wykładowca był źródłem informacji, ale też, co szczególnie ważne w przypadku studiów neofilologicznych, wzorem wymowy w języku obcym, sprawności komunikacyjnej, doboru słownictwa itp.

Obecnie studenci są sceptyczni i zdecydowanie bardziej zdystansowani wobec tematyki studiów. O ile wcześniej bardziej identyfikowali się z przedmiotem i treścią studiów, to teraz można ich porównać do widowni w sali operowej czy filharmonii. Są skrupulatni, ale krytyczni, świadomi dużej konkurencji wśród uczelni na rynku krajowym i europejskim i oczekujący działań uatrakcyjniających tok studiów. Niejednokrotnie zachowują się jak wybredny klient w centrum handlu usługami edukacyjnymi, daleki od okazywania zapału, a koncentrujący się na budowaniu własnego portfolio zawierającego umiejętności i sprawności prowadzące do zdobycia dyplomu. Wśród nich jest całkiem sporo „przypadkowych bohaterów”, osób, które może niezbyt chętnie czytają utwory literackie czy artykuły językoznawcze, ale którym „dobrze poszło na maturze z języka obcego” i dlatego wybrały takie studia, co wcale nie oznacza, że łączą swoją przyszłość z wykonywaniem związa-

nego z nimi zawodu. Postawa, którą reprezentują, jest w pełni zgodna z logiką współczesnej edukacji rynkowej i nie można ich za nią krytykować, w pewnym sensie są bardziej dojrzały, racjonalni, a mniej „romantyczni”. Są też w pełni świadomi swoich praw, stali się bardziej partnerami w procesie nauczania, a mniej uczniami chłonącymi (prawie) bezkrytycznie treści podawane ex cathedra. Obecność internetu zrewolucjonizowała dydaktykę uniwersytecką; łatwo sięgać po źródła, łatwo ilustrować wykład kolorowymi slajdami i filmowymi wstawkami. Świadomy student może się uczyć prawie w pełni autonomicznie, chociaż rola wykładowcy wcale nie stała się mniej istotna. Został on teraz bardziej przewodnikiem i doradcą niż wzorem. Kieruje na właściwe tropy, objaśnia wątpliwości i motywuje. Pozwala łączyć punktowe nisze informacyjne w sieci w większą, bardziej spójną całość. Elektroniczny słownik internetowy schowany w aplikacji telefonicznej pełni rolę wzoru i ściągawki, ale nadal autonomiczny student nierzadko zapomina, kiedy i w jakim celu należy po niego sięgać. Nasz obecny student potrzebuje też poczucia akceptacji i sukcesu. Jest bardzo świadomy konkurencji na wszelkich polach; jednak jest też bardziej „kruchy psychicznie” i wrażliwy. W sytuacji braku odczuwalnego powodzenia może się zniechęcić do inwestycji w długofalowy wysiłek.

Przez ostatnie dekady bardzo zmieniła się oferta edukacyjna na wydziałach neofilologicznych. Jestem pełen podziwu dla koleżanek i kolegów z większości filologii obcych, z wyjątkiem filologii angielskiej, którzy zmuszeni byli rozpocząć kształcenie językowe ab ovo (od zera) na pierwszym roku i podołali temu wyzwaniu. To prawda, że taki model obowiązywał już wcześniej, ale jedynie na filologiach mniej mainstreamowych, np. na skandynawistyce, orientalistyce czy japonsistyce. Trudno było oczekiwać znajomości nawet podstaw tych języków u absolwentów szkół średnich. Jednak ekspansywna wszechobecność angielszczyzny na poziomie licealnym spowodowała, że na początku tego stulecia najpierw romanisci, a niedługo później także germanisci zmuszeni byli przyjmować na pierwszy rok studiów kandydatki i kandydatów, którzy wymagają pod-

stawowego kształcenia językowego. Ta nowa sytuacja wymagała przygotowania nowych programów nauczania, a przede wszystkim zmiany ugruntowanych nawyków.

Odchodzą po licencjacie

W tym kontekście warto wspomnieć o kolejnym wyzwaniu dla studiów neofilologicznych: wprowadzeniu systemu bolońskiego i podziale toku studiów na 3-letni licencjat i dwuletnie studia magisterskie. Wydawałoby się, że środowisko miało dosyć czasu na przystosowanie się do tego systemu studiowania. I faktycznie, formalnoprawnie programy nauczania działają bez zarzutu. Jednak dopiero od niedawna pojawiła się bardzo przy-

ziemna konsekwencja tej zmiany: bardzo odczuwalny spadek liczby kandydatów na studia drugiego stopnia na kierunkach neofilologicznych. Na pierwszy stopień studiów mój wydział przyjmuje od kilku lat ok. 250 osób na wszystkie specjalizacje i kierunki (2018: 344, 2019: 271, 2020: 263, 2021: 208, 2022: 252), jednak po trzech latach spora część absolwentów nas opuszcza i na drugi stopień studiów aplikuje ich sukcesywnie około setki (2019: 101, 2020: 114, 2021: 102, 2022: 104). Powoli zaczyna kielkować w nas, pracownikach jednostek neofilologicznych, przekonanie, że dla pewnej liczby naszych studentów studia pierwszego stopnia służą głównie (choć są wyjątki) do pogłębienia i ugruntowania praktycznej znajomości języka, nato-



miast studia drugiego stopnia, odbywane na innym wydziale czy wręcz na innej uczelni, pozwalają wykształcić pożądaną profil zawodowy. Takie podejście jest jak najbardziej zrozumiałe i optymalne z punktu widzenia współczesnego młodego człowieka chcącego jak najlepiej przygotować się do pojawienia się na wymagającym rynku pracy, do zwiększenia swoich szans i wypracowania przewag konkurencyjnych. Przecież nasi studenci muszą się przygotować do aplikowania na stanowiska pracy, których my teraz nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. To oni patrzą w przyszłość!

Takie podejście jednak uwiera trochę nas, akademickich neofilologów, przyzwyczajonych do innych, tradycyjnych,

dawniejszych praktyk. Ale my również nie dajemy za wygraną i staramy się przyciągnąć jak największą liczbę kandydatów na studia pierwszego stopnia, które też maksymalnie uatrakcyjniamy. Proponujemy nowe kierunki. Przykładowo Wydział Anglistyki UAM w ostatnich latach uruchomił na pierwszym stopniu studiów kształcenie na kierunkach filologia angielsko-celtycka, studia niderlandystyczne, filologia angielsko-chińska, English Studies: Literature and Culture, English Linguistics: Theories, Interfaces, Technologies. Na drugim poziomie kształcenia pojawiły się takie nowości jak angielskojęzyczne: język i komunikacja w ochronie zdrowia (Language and Communication in Healthcare), Language, Mind, Technology, tłumaczenie konferencyjne polsko-angielskie oraz tłumaczenia kreatywne i specjalistyczne (o profilu praktycznym). Podobne nowości pojawiają się też w ofercie innych ośrodków neofilologicznych. Takie zmiany urozmaicają klasyczną formułę studiów neofilologicznych; podnoszą ich wartość praktyczną i aplikacyjną, chociaż odchodzą od typowego akademickiego literaturoznawstwa i językoznawstwa.

Dobra pozycja w rankingach

Na pewno pozytywnym zjawiskiem w minionych dekadach jest niesamowity wzrost poziomu badań w dyscyplinie językoznawstwa i literaturoznawstwa, mierzony liczbą publikacji umieszczanych w uznawanych czasopiśmie i renomowanych wydawnictwach książkowych. Bardzo

trudna jest ocena jakości publikacji, ale na pewno nauczyliśmy się je lepiej „sprzedawać” odbiorcom, szczególnie poza granicami kraju. Badacze o nachyleniu lingwistycznym i literaturoznawczym opanowali sztukę dobrego lokowania publikacji; zrozumieliśmy, że w celu wzięcia udziału w szerokiej międzynarodowej dyskusji naukowej należy publikować prace za pomocą takiego kanału komunikacji naukowej, który jest szeroko dostępny i czytelny w odbiorze globalnym. Oznacza to publikowanie w czasopiśmie wydawanych poza granicami kraju i często w językach kongresowych, głównie w języku angielskim. Stanowi to poważne utrudnienie dla koleżanek i kolegów nieanglistów, ale chyba spotyka się z coraz większym zrozumieniem. Podążamy szlakiem, na którym poprzedzają nas neofilolodzy z innych krajów. Publikowanie naszych wyników w ten sposób daje też dodatkowy skutek. Otóż w różnorodnych międzynarodowych rankingach przedmiotowych nasze jednostki lokowane są na dobrych i bardzo dobrych pozycjach. Dane te są powszechnie dostępne w źródłach internetowych, dlatego ograniczę się jedynie do dwóch najnowszych wskazań. W rankingu według dyscyplin (Times Higher Education by Subject 2023, Languages, literature, linguistics) neofilolodzy i filolodzy z UAM oraz UW zostali sklasyfikowani w skali globalnej w przedziale 301-400, a z UJ, UMK oraz UW. w przedziale 401-500. W węższym rankingu, dotyczącym jedynie językoznawstwa, wyniki są jeszcze bardziej imponujące. QS World University Rankings by Subject 2022, Linguistics odnotowuje, że UJ plasuje się w przedziale 101-150, UW w przedziale 151-200, a UAM w przedziale 201-250. To bardzo dobre notowania uzyskane na tle wymagającej konkurencji. Możemy zatem spojrzeć śmiało w oczy koleżankom i kolegom z obszarów nauk o życiu czy nauk technicznych i ścisłych; to nie tylko oni przyczyniają się do wzmacniania międzynarodowej pozycji Polskiej Nauki.

Otwarcie się na świat, usieciwienie i umiędzynarodowienie dało nam nowe możliwości i wprowadziło na nowy poziom. Wielu polskich badaczy i badaczek sprawuje kierownicze role w globalnych organizacjach branżowych, kongresach itp. Jesteśmy uczestnikami międzynarodowych projektów, sięgamy po środki z European Research Council (ERC) i oczywiście z krajowych agencji grantowych. Przez ostatnie kilkanaście lat doszło do ugruntowania praktyki aplikowania o środki grantowe do odpowiednich agencji (NCN, NPRH, NAWA) i jest to działanie powszechne u badaczy młodego pokolenia. Tradycja aplikowania o środki zaczęła obowiązywać nie tylko wśród przedstawicieli nauk ścisłych, rozpowszechniła się na całe środowisko naukowe. Oczywiście dzieje się to nie bez przeszkód i pewnego oporu środowiska. W moim mniemaniu niechęć i krytycyzm środowiska należy skierować nie w stronę konkretnych agencji grantowych, wszak one dysponują jedynie ograniczonymi środkami, ale właśnie w stronę dysponentów środków na poziomie ministerialnym i budżetowym. Nauka polska i szkolnictwo wyższe są dramatycznie niedofinansowane i neofilologia nie stanowi tu wyjątku. Potrzebujemy więcej środków na badania, więcej środków na działalność bieżącą, w tym dydaktykę, więcej środków na wynagrodzenia, bo inaczej nie odtworzymy osobowego stanu posiadania. Trudno liczyć na nowe kadry tłumnie zdążające do Akademii, jeśli pobory adiunkta niewiele się różnią od płacy minimalnej.

Dziękuję prof. Jackowi Fabiszakowi za pomoc w przygotowaniu tekstu.

Prof. dr hab. Jacek Witkoś, Wydział Anglistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członek Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, były prorektor UAM ds. nauki i współpracy międzynarodowej



Profil studentów filologii romańskiej

Próba charakterystyki

Studia neofilologiczne były swoistym oknem na świat poza żelazną kurtyną, ponieważ umożliwiały intensywną naukę języków obcych oraz lekturę tekstów nietłumaczonych i w praktyce niedostępnych dla reszty czytelników.

Od ponad czterdziestu lat jestem związana z Instytutem Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Poznałam go najpierw jako studentka, by następnie, już jako magister filologii romańskiej, przejść poszczególne szczeble kariery zawodowej: od asystentki w zakładzie literatury i kultury francuskiej do profesora uniwersytetu. Doświadczyłam kilku zmian programowych, mogłam zaobserwować, jakim przekształceniom podlegał w ciągu lat profil studenta filologii romańskiej. Sądzę, że są one symptomatyczne dla transformacji, jakie zachodziły na garść refleksji.

Chcąc dobrze uchwycić przemiany, jakie dokonały się w profilu studentów neofilologii, należy cofnąć się do czasów sprzed przełomu 1989 roku. Część czytelników może je dobrze pamiętać, ale młode pokolenia nie zawsze zdają sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w ciągu ostatniego półwiecza. Tym bardziej że formalna struktura szkolnictwa wyższego pozostała w tym okresie niezmienna. W Polsce okresu PRL nie występowało zjawisko znacznego rozwarstwienia dochodów w zależności od wykształcenia. W związku z tym różnice w poborach poszczególnych grup społecznych i zawodowych nie były znaczące, a dodatkowo pracownicy fizyczni zarabiali często lepiej od umysłowych (robotnik wykwalifikowany był więc na ogół lepiej uposażony od nauczyciela francuskiego). Ponadto wszystkie studia filologiczne były ściśle powiązane z zawodem nauczyciela, ponieważ zdobycie dyplomu warunkowane było odbyciem specjalizacji nauczycielskiej. Wymóg ten odpowiadał charakterowi rynku pracy: większość absolwentów neofilologii znajdowała po uzyskaniu dyplomu zatrudnienie w szkołach średnich, a tylko niewielka ich część zajmowała się tłumaczeniami. Zjawisko zatrudnienia na wysoko opłacanych stanowiskach w firmach zagranicznych praktycznie nie istniało. Z tych powodów czynniki ekonomiczne zajmowały odległe miejsce przy wyborze kierunków studiów. Kandydaci na studentów kierowali się raczej upodobaniem do języków obcych, zainteresowaniem daną kulturą bądź chęcią pracy w szkolnictwie.

Studia były bezpłatne, ponieważ prowadziły je wyłącznie uczelnie państwowe, ale limity przyjęć na pierwsze lata były ograniczone, dostosowane do potrzeb szkolnictwa. Istniał też limit wieku zdających na studia stacjonarne (28 lat). System boloński nie istniał, studenci filologii studiowali w trybie 5-letnim, zwanym dziś jednolitym. Jeśli chodzi o romanistykę wrocławską, do 1989 przyjmowała ona na pierwszy rok około 30 osób, z których mniej więcej połowa zdobywała tytuł magistra. Mimo zapewnień władz o szerokim, darmowym dostępie do wiedzy, wykształcenie wyższe było elitarne: studiowało ogółem tylko dziesięć procent młodzieży w wieku od 18 do 24 lat.

Ponieważ kandydatów na filologię romańską było zawsze kilkakrotnie więcej niż miejsc, osoby przyjęte musiały legitymować się bardzo wysoką oceną z matury (język polski i obcy), a ponadto zdawały trudny egzamin wstępny. Obejmował on część pisemną i ustną z języka francuskiego oraz egzamin ustny z gramatyki i literatury polskiej. Warto zauważyć, że zakres egzaminów wstępnych na studia neofilologiczne (nie tylko romanistyczne) wykraczał poza program nauczania w liceach. Wybierając studia neofilologiczne, młody człowiek musiał więc odpowiednio wcześniej podjąć przygotowania. W zależności od motywacji, zdolności oraz sposobu uczenia się (korepetycje bądź samodzielna nauka) okres ten trwał od pół roku do dwóch, a nawet trzech lat. Na studia trafiało więc dość wąskie grono osób naprawdę zainteresowanych kierunkiem i mających dobrze opanowane podstawy języka obcego (mniej więcej na poziomie B2). Przypomnijmy tutaj, że w czteroletnim liceum uczniowie obowiązkowo uczyli się, oprócz języka rosyjskiego, także języka zachodniego: niemieckiego, angielskiego lub francuskiego. Około połowa wybierała język niemiecki, 37,5% uczniów wybierało angielski a 12,5% francuski.

Nie da się dziś sprawdzić, jakie były faktyczne motywy uczniów wybierających studia neofilologiczne, ale można się tego domyślać. Biorąc pod uwagę, że w czasach komunistycznych rzadko podróżowano do krajów zachodnich, a liczba osób z zagranicy odwiedzających Polskę też była niewielka, perspek-

tywa rzeczywistego posługiwania się wyuczonym językiem obcym w kontaktach z cudzoziemcami była ograniczona. Poza największymi miastami nie było też dostępu do prasy obcojęzycznej. W związku z tym, mając świadomość, że nauka języka obcego może pozostać umiejętnością bierną i mało praktykowaną w życiu zawodowym, wyborem języka zachodniego w liceum nie kierowały względy praktyczne, tak jak to się dzieje dziś, a upodobania ucznia lub oferta szkoły.

Lektura książek była aktywnością rozpowszechnioną

Warto również poświęcić kilka słów przygotowaniu literackiemu studentów filologii romańskiej w poprzedniej epoce. Po pierwsze, wszyscy byli absolwentami polskich liceów, w których nauczanie polskiej literatury i języka oraz języków obcych było znormalizowane. Istniał jeden podręcznik do nauczania języka polskiego obowiązujący w klasach o profilu humanistycznym oraz jeden, z którego uczyli się uczniowie innych profili. Należy podkreślić, że nauka literatury odbywała się w porządku chronologicznym. W pierwszej klasie liceum zaczynano od mitów greckich, by w czwartej skończyć na literaturze współczesnej. W ten sposób uczeń miał dość dobrze wyrobione pojęcie o epokach literackich i głównych prądach estetycznych, potrafił je sytuować w czasie. Ponadto komisja ministerialna ustalała listę lektur obowiązkowych, do której włączano również arcydzieła literatury światowej. Stanowiły one około 15% całego spisu. Lista ta podlegała pewnym okresowym fluktuacjom, nie zmienia to jednak faktu, że maturzysta kończył edukację z ogólnym wyobrażeniem o arcydziełach literatury francuskiej i potrafił wskazać epokę, z której pochodziły.

Nawet jeżeli utwory klasyków literatury francuskiej nie były omawiane na lekcjach, można je było znaleźć w polskim przekładzie w bibliotekach. Co więcej, państwowy rynek wydawniczy był regulowany przez cenzurę, która nie tylko blokowała wydawanie tekstów niepoprawnych politycznie, ale również tekstów należących do tzw. literatury popularnej, masowej, o niskiej wartości artystycznej. Wydawnictwa stawiały sobie za cel edukowanie i rozwijanie intelektualne społeczeństwa, a nie schlebienie mało wyrafinowanym gustom. W efekcie kandydaci na studia neofilologiczne od momentu rozpoczęcia skolarzacji mieli kontakt prawie wyłącznie z literaturą wysoką. Minusem tej sytuacji było to, że czytelnicy pozostawali całkowicie zależni od krajowej oferty wydawniczej: niekompatybilność zarobków w Polsce i na Zachodzie oraz zamknięcie kraju sprawiały, że zakup książek w krajach „dewizowych” pozostawał poza zasięgiem finansowym zdecydowanej większości obywateli. Państwo regulowało dostęp do kultury zachodniej: utwory nieprzetłumaczone na język polski nie istniały w świadomości czytelniczej. Mimo to młodzież wybierająca się na studia neofilologiczne w większości była czytana, ponieważ do przełomu cyfrowego lektura książek była aktywnością rozpowszechnioną i uznaną.

W kontekście przedstawionych tu ograniczeń politycznych studia neofilologiczne były swoistym oknem na świat poza żelazną kurtyną, ponieważ umożliwiały intensywną naukę języków obcych oraz lekturę tekstów nietłumaczonych i w praktyce niedostępnych dla reszty czytelników. Niezależnie od inspirujących lektur wykładowcy byli dla studentów przewodnikami po nieznanym im, dalekich krajach. Większość osób zatrudnionych w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego miała za sobą co najmniej roczny okres studiów na uczelni francuskiej lub frankofońskiej, gdzie oprócz biegłej znajomości języka zdobywała wiedzę o tamtejszych realiach życia. Odpowiadało to oczekiwaniom studiujących. Nauka języka francuskiego stanowiła jedynie część ich aspiracji, w równym stopniu zależało im na poznaniu cywilizacji krajów romań-

skich. Wypełnianie luk w wiedzy było dla kadry uczelnianej zadaniem stosunkowo nieskomplikowanym, gdyż wszyscy studenci byli w podobny sposób uformowani w szkołach średnich. Prowadzący znał kanon przerobionych przez nich lektur, wiedział z jakiego podręcznika i w jaki sposób uczyli się literatury polskiej. Mógł na zajęciach odwoływać się do nabytej przez nich uprzednio wiedzy.

Reasumując: w czasach peerelowskich kandydat na pięcioletnie studia romanistyczne miał dobrą znajomość języka francuskiego i gramatyki polskiej, był czytany, jednak jego wiedza o Francji była czysto podręcznikowa, kulturę i realia tego kraju poznawał na studiach dzięki prowadzącym oraz ucząc się z podręczników francuskich. Po studiach często zostawał nauczycielem języka francuskiego w szkolnictwie średnim, rzadziej wyższym.

Kolejne reformy łagodziły kryteria

Transformacja ustrojowa doprowadziła do głębokich zmian we wszystkich dziedzinach życia. Uczelnie musiały zmierzyć się z nieoczekiwanymi wyzwaniami, jakie postawiła przed nimi gospodarka rynkowa. Otwarcie granic, nowe stosunki ekonomiczne i wejście pracodawców zagranicznych do Polski spowodowały postępującą ewolucję profilu studenta. Co ciekawe, struktury organizacyjne, w tym nazwy instytutów czy wydziałów, w zasadzie nie zmieniły się po roku 1989, co nadal wywołuje poczucie, iż zachodzące zmiany były w istocie niewielkie.

W nowej rzeczywistości pojawiło się zjawisko bezrobocia oraz duża rozpiętość zarobków. Inaczej niż w poprzednim okresie wynagrodzenie stało się pochodną wykształcenia. Wybór kierunku studiów zaczął wiązać się z wyborem lepiej lub gorzej opłacanej ścieżki zawodowej. Zarobki nauczycieli zaczęły oscylować wokół lub poniżej średniej krajowej i stan ten utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Znajomość języka obcego przestała być postrzegana wyłącznie w kategoriach upodobań ucznia, a później pozytywnego autowizerunku człowieka kulturalnego, należącego do warstwy inteligentnej. Zmieniła się w narzędzie i jeden z atutów na rynku pracy. Struktura nauczania poszczególnych języków obcych zaczęła odbijać możliwości ekonomiczne, jakie dawała ich znajomość. I tak, język niemiecki stracił przywilejowaną pozycję na rzecz angielskiego. W roku szkolnym 1997-98 już 40% uczniów uczyło się angielskiego, 30% niemieckiego, 24% rosyjskiego, 5% francuskiego, a 1% innych języków obcych. Proces dominacji języka angielskiego pogłębia się nieprzerwanie, świadczą o tym proporcje poszczególnych języków obcych zdawanych obowiązkowo na egzaminie maturalnym. W 2022 roku wybory języka obcego na poziomie podstawowym wśród licealistów kształtowały się następująco: język angielski 95,8%, język niemiecki 2,6%, język rosyjski 0,9%, język francuski 0,3%, pozostałe języki 0,4%. Proporcje te ulegają zmianom, gdy wziąć pod uwagę nie wybory maturalne, ale języki nauczane w polskich szkołach średnich, w których 80% młodzieży uczy się dwóch języków obcych: na pierwszym miejscu pozostaje angielski (98%), proporcja niemieckiego rośnie do 54%, na kolejnych miejscach plasują się hiszpański (15%), francuski (12%), rosyjski (11%) i włoski (3%).

W 1999 roku rozpoczęto przebudowę systemu szkolnictwa, której efektem było wprowadzenie nowej matury, a oceny z poszczególnych przedmiotów zastąpiono skalą procentową. Kolejne reformy łagodziły kryteria, które należało spełnić, aby zdać egzamin maturalny, będący warunkiem ubiegania się o miejsce na uczelni. Na większości kierunków, w tym na neofilologiach, zniesiono egzaminy wstępne. Przyjmowanie kandydatów odbywa się elektronicznie, na podstawie konkursu świadectw maturalnych.

Kolejną zmianą, jaka nastąpiła po roku 1989, była niespotykana w historii polskiej edukacji demokratyzacja studiów wyższych. Miała ona podłoże dość pragmatyczne: w kraju z bardzo wysoką stopą bezrobocia rządzącym zależało na opóźnieniu wejścia młodzieży na rynek pracy. Dlatego wielokrotnie zwiększono limity przyjęć na najbardziej popularne kierunki studiów i zaczęto tworzyć nowe. Powstał też nieistniejący uprzednio sektor uczelni niepublicznych, oferujących odpłatnie m.in. studia neofilologiczne. Studia stały się szeroko dostępne, a liczba osób z wyższym wykształceniem w ciągu ostatnich lat wzrosła czterokrotnie, osiągając w grupie wiekowej 25–34 poziom około 43%. Tak oto edukacja, traktowana przez pokolenia jako

przywilej, swoista wartość i przepustka do świata elit, stała się po prostu towarem albo inwestycją.

Dziesięć procent i reszta

Jednak niestety ilość nie przeszła w jakość. Ograniczę się do przykładu sytuacji na filologii francuskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Tutejsza romanistyka zawsze cieszyła się dobrą reputacją i wielką popularnością wśród kandydatów na studia. Mimo trzykrotnego zwiększenia limitu miejsc na pierwszym roku studiów (do 90) w szczytowym momencie popularności kierunku, liczba kandydatów stale wahała się od 2 do 3 osób na miejsce. W ostatnich latach liczba miejsc na pierwszym roku zmniejszyła się do 60, ale liczba kandydatów pozostaje nadal wysoka. Natomiast profil ich zmienił się zdecydowanie.

Studentów filologii francuskiej można podzielić z grubsza na dwie kategorie. Do pierwszej zaliczam osoby autentycznie zainteresowane studiami humanistycznymi, językiem, literaturą i kulturą francuską, które wyboru kierunku dokonały świadomie, są czytane i pragną pogłębiać swoją wiedzę. Na podstawie mojego ponadtrzydziestoletniego doświadczenia wykładowcy mogą stwierdzić, że grupa ta jest procentowo stała i oscyluje wokół 10% studentów pierwszego roku (!). Wraz z możliwością uczenia się na dwóch kierunkach studiów pojawił się też nowy typ kursanta: bez przygotowania filologicznego, studiującego już na kierunkach niezwiązanych z szeroko rozumianą humanistyką (prawo, medycyna, kierunki politechniczne itp.), mającego ogromne luki czytelnicze zarówno w literaturze polskiej, jak i francuskiej, ale wybierającego romanistykę świadomie, jako dopełnienie edukacji. Studenci ci są bardzo zmotywowani, uczą się z pasją i w szybkim tempie nadrabiają zaległości.

Do drugiej grupy, obejmującej resztę studentów, zaliczam młodzież, która decydując się na kierunek, nie jest świadoma jego specyfiki. Pobudki ich wyborów bywają różne. Niektórzy nie bardzo wiedzą, czym są studia romanistyczne, idą na nie na próbę i w ciągu pierwszych dwóch semestrów albo się w nich odnajdują, albo rezygnują. Są też osoby, które wybrały filologię francuską sądząc, iż jest to darmowy, intensywny kurs języka. Nie posiadają motywacji do zgłębiania przedmiotów specjalistycznych, a niekiedy



rys. Sławomir Malak

też odpowiednio szerokich horyzontów myślowych, by zrozumieć i opanować program. Oni również rezygnują, najczęściej w pierwszych dwóch miesiącach studiów. Są też osoby, które nie dostały się na wymarzone studia z powodu niewystarczającej liczby punktów z przedmiotów maturalnych i które postanowiły przeczekać rok przed ponownym zdaniem egzaminów, ucząc się języka francuskiego. Często są to dobrzy, inteligentni studenci, których prowadzący żegnają z żalem. Zdarzają się również niestety osoby, dla których studia stanowią intelektualne wyzwanie przekraczające ich możliwości, ale które, nie zważając na otrzymywane prawie ze wszystkich przedmiotów oceny niedostateczne, z niebywałym uporem, wykorzystując wszelkie możliwości formalne i pobłażliwą, kapitulancą postawę władz dziekańskich, starają się zaliczać kolejne semestry. Niekiedy, osiągając oceny na pograniczu niedostatecznej i dostatecznej, kończą studia licencjackie.

Należy wspomnieć też o grupie nieobecnej w czasach komunizmu, czyli o studentach zagranicznych. Od kilku lat około 5% studentów filologii romańskiej to cudzoziemcy. Pochodzą z krajów frankofońskich (najczęściej z rodzin mieszanych polsko-francuskich) lub też są to osoby z Białorusi i Ukrainy, posiadające Kartę Polaka, a w obecnym roku akademickim dołączyli do nich także Ukraińcy niemający korzeni polskich. Podejście obu tych grup do nauki różni się znacząco. Młodzież frankofońska najczęściej wybiera filologię francuską, myśląc, że z racji swojej bieglej znajomości języka w sposób lekki, łatwy i przyjemny zdobędzie dyplom uczelni. Studentów tych spotykają spore rozczarowania. Okazuje się często, że mają oni kłopoty z gramatyką i ortografią francuską, a przedmioty specjalistyczne, jak np. historia literatury czy gramatyka opisowa, wiążą się z wysiłkiem intelektualnym, na który nie byli przygotowani i którego nie chcą podjąć. Zwykle rezygnują ze studiów po pierwszym roku, rzadziej zdobywają dyplom licencjata, w wyjątkowych przypadkach kończą studia magisterskie. Natomiast Białorusini czy Ukraińcy muszą pokonać podstawową trudność, jaką stanowi dla nich poprawne pisanie w języku polskim oraz rozumienie języka polskiego. Dla części z nich jest to wyzwanie ponad siły i rezygnują ze studiów, jednak nie jest to regułą. Zdarzają się, i to często, studenci, którzy traktują studia neofilologiczne w Polsce jako swoją życiową szansę: są bardzo pracowici, zmotywowani i stopniowo nadrabiają zaległości, kończąc studia nie tylko licencjackie, ale i magisterskie. Ogólnie po pierwszym roku studiów odpada lub rezygnuje około 30-40% studentów.

Radykalne pogorszenie znajomości języka

Wprowadzenie, wzorem innych krajów europejskich, podziału na studia pierwszego i drugiego stopnia sprawiło, że spora część osób zadawała się dyplomem licencjata. Można zauważyć tu dwa wyraźne trendy: po studiach licencjackich niektórzy kontynuują naukę na studiach magisterskich za granicą, na uczelniach frankofońskich bądź na innych uczelniach polskich, traktując okres studiów jako czas maksymalnej mobilności. Druga grupa kończy edukację wyższą po pierwszym stopniu i uznaje ją za wystarczający atut do satysfakcjonującego funkcjonowania na rynku pracy. Istotnie w czasach dominacji języka angielskiego znajomość języka i kultury francuskiej stała się umiejętnością dość rzadką i bardzo poszukiwaną na dolnośląskim rynku pracy. Studia magisterskie kontynuuje około 20-25% studentów rozpoczynających swój kurs na romanistyce wrocławskiej, reszta przychodzi z innych ośrodków w kraju.

Zmienił się też zasadniczo bagaż intelektualny kandydatów na studia, do którego zaliczę poziom znajomości języka francuskiego oraz współczesnych realiów, literatury i kultury tego kraju. Jeżeli chodzi o znajomość języka francuskiego, to

w porównaniu do okresu sprzed przemian uległa ona radykalnemu pogorszeniu. Okazało się, że otwarcie granic, możliwość podróży i nieograniczony dostęp do mediów frankofońskich nie przyczyniły się do lepszej znajomości języka francuskiego studentów romanistyki.

Gdy na studia trafił pierwszy absolwenci wprowadzonego w 1999 trzyletniego liceum, okazało się, że poziom znajomości języka francuskiego obniżył się w sposób gwałtowny i dramatyczny. Braki ujawniały się zwłaszcza na zajęciach specjalizacyjnych, podczas których studenci nie byli w stanie zrozumieć dłuższego wywodu prowadzonego w tym języku. Ta frustrująca dla obu stron sytuacja doprowadziła do coraz częstszych wyjaśnień w języku polskim, zwłaszcza na pierwszym roku. Okazało się też, że zmniejszenie procentowego udziału języka francuskiego w nauczaniu języków obcych w szkołach średnich zaowocowało zmniejszającą się liczbą potencjalnych kandydatów na romanistykę. W tej sytuacji w 2011 otwarto studia dla osób nieznających języka francuskiego. Możliwość ta cieszy się do dziś dużą popularnością. Istnieją więc teraz dwie ścieżki edukacyjne: dla początkujących i dla zaawansowanych. Łączą się one na czwartym semestrze studiów, kiedy to większość zajęć jest prowadzona po francusku.

Również znajomość kultury i literatury zmieniła się diametralnie. Realia życia we Francji można z łatwością poznać podczas zagranicznych podróży lub z Internetu. Kraje francuskojęzyczne przestały być tajemniczym i atrakcyjnym obszarem, odkrywanych dzięki studiom filologicznym. Natomiast odczytanie, a nawet pewna erudycja, cechujące w poprzedniej epoce kandydatów na neofilologie, stały się już wspomnieniem. Rynek wydawniczy załapał literaturę masową, mającą nikłe wartości poznawcze i nieposzerzającą horyzontów czytelników. Przede wszystkim jednak czytelnictwo tradycyjne jest wypierane przez kulturę cyfrową, z jej skrótowością, nieprecyzyjnością i uproszczeniami. Dodatkowo w szkołach średnich zaczęto obniżać wymagania stawiane uczniom, zarzucając wymóg lektury całego dzieła literackiego, szczególnie w klasach o profilu niehumanistycznym, poprzestając na analizie jego fragmentów. Ponadto zrezygnowano z chronologicznego nauczania literatury na korzyść eksplikacji tematycznych, po których uczniowie nie mają uporządkowanego pojęcia o epokach czy prądach literackich. Chronologizacja zdarzeń sprawia im więc olbrzymią trudność. Co więcej, brak jednolitych podręczników czy bezwzględnie obowiązującego wszystkich uczniów kanonu lektur sprawia, że prowadzący zajęcia z literatury nie wie, jaka jest wiedza studentów na temat lektur, historii i kultury. Musi ją dopiero rozpoznać i dostosować swój przekaz w trakcie zajęć.

Wszystkie wymienione powyżej czynniki sprawiają, że nakreślenie profilu współczesnego studenta romanistyki jest trudne. Może to być osoba studiująca z pasją lub z trudnością, chcącą zdobyć szeroką wiedzę humanistyczną bądź tylko praktyczną umiejętność porozumiewania się po francusku, mówiąca dobrze w języku obcym lub ucząca się go od podstaw, zdecydowana na studia pięcioletnie lub kończąca je po pierwszym stopniu. Mimo tych krytycznych uwag, na podstawie swojego doświadczenia mogę z przekonaniem stwierdzić, że w dzisiejszych, dość niestabilnych warunkach często obserwuję rozwój intelektualny młodego człowieka. Następuje on zwykle przy odpowiednim zaangażowaniu obu stron – uczących i uczonych – dając wykładowcy autentyczną satysfakcję zawodową.

Dr hab. Maja Pawłowska, prof. UW, kierownik Zakładu Literatury i Kultury Francuskiej, Instytut Filologii Romańskiej, Wydział Filologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego

Quo vadis NCN?

NCN wykazuje alienację ze środowiska naukowego, wyraźną koncentrację na procedurach i systemie kontroli, tworzeniu rygorystycznego „treningu” naukowców i narzucaniu im konieczności adaptacji do skomplikowanych zadań administracyjnych.

W systemie nauki na świecie krajowe agencje badawcze są jednymi z kluczowych instytucji naukowych, kształtujących system naukowy poszczególnych krajów, w ramach współczesnego „akademickiego kapitalizmu”. Co ważne, operują one gigantycznymi środkami na badania naukowe. Na przykład Science Europe, zrzeszająca krajowe agencje finansujące badania, skupia 40 członków z 30 krajów europejskich, które razem wydają na badania ponad 22,4 mld euro rocznie. Ale ich wpływ są dużo dalsze niż finansowanie projektów naukowych. Posiadają w swoich „rękach” różnorodne narzędzia koordynacji i kontroli, w tym pozornie miękkie umowy, cele, punkty odniesienia, wskaźniki i ciągłą ocenę procesów naukowych we współczesnej akademii. Dzięki nim bowiem regulują m.in. kulturę akademicką, autonomię instytucjonalną czy wolność badawczą.

Założenia systemu grantów są chwalebne. Chodzi bowiem o to, aby ograniczone środki finansowe przeznaczać na możliwie najlepsze projekty badawcze, wyłaniane w drodze konkursów. Sprawność takiego systemu dystrybucji środków opiera się na trzech pojęciach: projekt, konkurs oraz kryterium „najlepsze”. Projektizacja nauki to osobne zjawisko, omówione w wakacyjnym wydaniu „Forum Akademickiego” m.in. przez Beatę Jałochę. W tym artykule zajmiemy się problematyką konkursów administrowanych przez Narodowe Centrum Nauki. Ta agencja rządowa powstała w 2010 roku, a do jej zadań należy finansowanie badań podstawowych oraz zadania pokrewne (nadzór, upowszechnianie, monitorowanie itd.). To NCN jest instytucjonalnym wyrazem systemu grantowego, to NCN organizuje procesy finansowania w drodze konkursu, to NCN wywiera strukturalny i kulturowy wpływ na naukę. Dlatego przyjrzymy się tej instytucji z punktu widzenia grantozji, którą wywołało zanim NCN powstało, ale która nie stała się w okresie funkcjonowania NCN mniej dotkliwa.

Pozyskuj granty albo giń

Punktoza i grantozja to dwie zdiagnozowane dolegliwości, którym przypisuje się wpływ na niezadowolający stan polskiej nauki oraz niepożądany kierunek jej rozwoju. Punktoza przyciągnęła bardzo dużo uwagi, także na łamach „Forum Akademickiego”, ze względu na jej znaczenie dla procesu ewaluacji jednostek naukowych w tzw. kryterium 1 oceny dotyczącym publikacji. Dziś wiadomo, że ta punktoza, którą miała zwalczać komisja dla nauki, została zastąpiona inną punktozą, nie mniej groźną, bowiem skutecznie zachęciła wielu autorów do

publikacyjnej drogi na skróty, a jednostki naukowe do „inżynierii liczby N” oraz aktywnego zarządzania tzw. slotami. W rezultacie zachowań wywołanych presją ewaluacji punktoza ma się coraz lepiej, choć prowadzi do fasadowości. Najkrócej streszcza ją porzekadło konferencyjnych kuluarów: „nie treść, nie debata, ale punkty są ważne”.

W tle punktozy relatywnie mniej zauważana w debacie akademickiej pozostaje grantozja. Ten pokracczny neologizm oddaje negatywne skutki systemu finansowania działalności badawczej, opartego na grantach, czyli jednorazowe, krótko- lub średnio-terminowe finansowanie konkretnych projektów. System grantów wywołuje grantozję, tj. intensyfikację zachowań polegających na dążeniu do zdobywania kolejnych grantów, specjalizacji w zakresie wygrywania konkursów oraz uzależnienia prowadzenia badań od uzyskania kolejnych grantów. Skutkuje to fasadowością analogiczną do punktozy, bowiem znaczenie ma pozyskanie, wydatkowanie i rozliczanie grantów.

Pozyskiwanie grantów w obecnym systemie finansowania nauki, jej ewaluacji oraz awansów ma absolutnie kluczowe znaczenie. Bez grantów prowadzenie badań jest niemożliwe, a im bardziej kosztochłonna dana dyscyplina, tym mniejsze szanse na badania bez grantów. Aktywność w zakresie pozyskiwania środków finansowych przyznawanych w drodze konkursu jest także ważnym kryterium w ewaluacji jednostek naukowych. Oznacza to w skrócie, że im więcej jednostka jest w stanie grantów pozyskać w konkursie, tym większą będzie otrzymywała subwencję związaną z kategorią naukową przyznawaną w ewaluacji. Dla badacza grant to nie tylko sama możliwość realizacji badań. To także ważne kryterium oceny w procedurach awansowych, nazwane nie wprost w przypadku habilitacji (kryterium trzecie), a wprost w przypadku procedury o nadanie tytułu profesora (kryterium b). W rezultacie presji finansowej, prawnej i instytucjonalnej granty są niezbędne. Parafrazując słynne „publish or perish”, współczesna nauka to „pozyskuj granty lub giń”.

Nie ma w określeniu „giń” żadnej przesady. Światową nauką wstrząsnęła tragiczna, samobójcza śmierć prof. Stefana Grimma z Imperial College of London, której przyczyną upatruje się w nadmiernej presji na pozyskiwanie grantów. Mniej tragiczna, ale potencjalnie znacznie bardziej dolegliwa dla ludzkości była sprawa odkrywczynie technologii mRNA Katalin Kariko, której kariera akademicka została przerwana w latach 1990 z powodu braku sukcesów w pozyskiwaniu grantów. Dla wielu młodych

badaczy rozpowszechniony w systemach grantowych tzw. efekt świętego Mateusza oznacza koniec kariery albo znacznie powolniejszy jej rozwój. Biblijne „każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”, znalazło drogę do serc i umysłów w debacie o finansowaniu nauki. Wcześniejsze sukcesy mają istotne znaczenie w pozyskiwaniu kolejnych grantów, a jednocześnie porażki zniechęcają do kolejnych prób ich zdobycia. W rezultacie równie utalentowani badacze „giną” z systemu tylko dlatego, że nie uzyskali pierwszego grantu odpowiednio wcześniej.

Proces przyznawania grantów

Jak wygląda proces konkursowy w NCN? Składa się z kilku następujących po sobie działań, których efekty warunkują działania poprzednie. Wybór projektów do finansowania poprzedzony jest oceną wniosków, która z kolei poprzedzona jest naborem wniosków, a ten rozpoczyna się wraz z ogłoszeniem konkursu. Kluczowe działanie wyboru projektu do finansowania otwiera drogę do późniejszych procesów kontroli, które kończą się rozliczeniem grantów.

Warto przyjrzeć się kryteriom oceny oraz sposobowi zastosowania tych kryteriów. I tak według uchwały Rady NCN nr 12/2021 z dnia 5 marca 2021 r. w sprawie zmiany Regulaminu przyznawania środków na realizację zadań finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki w zakresie projektów badawczych dla projektów w konkursie, np.:

Opus, stosowane są: 5 kryteriów formalnych; ocena merytoryczna (55% punktów) obejmuje ocenę poziomu naukowego projektu, wpływ projektu na naukę światową oraz możliwość wykonania projektu; kwalifikacje kierownika projektu (45%) obejmują dorobek publikacyjny oraz wcześniejsze granty niefinansowane ze środków polskich; a także 8 kryteriów formalnych.

Preludium, stosowane są: 4 kryteria formalne; ocena merytoryczna projektu (80%) obejmuje poziom naukowy, wpływ projektu na naukę oraz możliwość wykonania projektu; kwalifikacje wykonawców projektu (20%) obejmują osiągnięcia kierownika projektu oraz opiekuna naukowego; występuje też 5 kryteriów formalnych końcowych.

Preludium bis ma podobną strukturę, z tym że ocena merytoryczna projektu to 35%, a osiągnięcia kierownika projektu 65%.

Zatem struktura oceny projektów w NCN składa się z kryteriów formalnych, oceny poziomu naukowego oraz osiągnięć kierownika projektu. Osiągnięcia kierownika projektu relatywnie łatwo ocenić na tle innych wnioskodawców, choć i tu powstają kontrowersje związane na przykład ze strategią publikacyjną czy doświadczeniem w kierowaniu badaniami. Natomiast ocena samego projektu jest subiektywna i wymaga specjalistycznej wiedzy w wąskim obszarze projektu. Dlatego też w procedurach konkursowych NCN korzysta z ekspertów, a ci z opinii recenzentów, których subiektywne oceny są dyskutowane podczas posiedzeń panelu ekspertów, wówczas gdy od siebie odbiegają, a gdy są spójne, to nie są dyskutowane wcale. Dobór ekspertów ma kluczowe znaczenie dla prawidłowej oceny zarówno kompetencji wnioskodawcy, jak i poziomu projektu. NCN realizuje obecnie proces poszerzenia puli ekspertów poza środowisko naukowców polskich.

Gdyby spojrzeć na sposób, w jaki proces został zaprojektowany, to mieści się on w standardach światowych. Dlaczego więc tyle głosów krytycznych daje się słyszeć od wnioskodawców, wykonawców, recenzentów, ekspertów czy nawet kierowników jednostek? Ten szum może tworzyć wrażenie krytykancstwa, tym bardziej że niskie wskaźniki sukcesu w dążeniu do

pozyskania grantów oznaczają, iż donośniej zabierają głos ci, którzy grantów nie otrzymali. Pierwszym więc problemem zgłaszanym w środowisku akademickim jest niski wskaźnik sukcesu w procedurach konkursowych NCN. Stanowi on pochodną niskich nakładów na naukę oraz orientacji tej instytucji wyłącznie na dystrybucję środków, a nie na pozyskiwanie i dystrybucję.

Jednakże w szumie głosów krytyki usłyszeć można także konkretne argumenty. Na przykład odnośnie do kryteriów oceny. Kryteria oceny są użyteczne wówczas, gdy spełniają warunek rozłączności, jednoznaczności oraz kompletności. Tymczasem zarówno praktyka oceny recenzentów, jak i dyskusje paneli ekspertów budzą dyskusje w środowisku wątpliwości. Na przykład możliwości wykonania projektu należy oceniać ze względu na kwalifikacje zespołu, w tym kierownika. Podobnie ocena projektu: raz jest oceniany ze względu na znaczenie (kryterium poziomu naukowego), a dalej ze względu na wpływ. Te dwa kryteria są bardzo niejasno powiązane, co skutkuje przenoszeniem oceny z jednego na drugie, czyli w istocie podwójną punktacją za znaczenie projektu oraz podwójną punktacją za kwalifikacje. Ponadto ocena wniosków składa się w gruncie rzeczy z dwóch kryteriów: dorobku oraz jakości opisu projektu. Nazwy kryteriów są więc także mylące, bowiem sugerują ocenę kompetencji, choć dane wejściowe do tego procesu to wyłącznie dorobek. Nie będzie przesady w twierdzeniu, że najważniejsze kryterium to CV wnioskodawcy, a to otwiera prostą drogę do efektu św. Mateusza.

Trafność oceny poziomu projektu

Kolejny argument krytyczny podnoszony w środowisku to trafność oceny poziomu projektu. Głosy krytyki dotyczące jakości recenzji trafiających do ekspertów, a dalej wnioskodawców, wskazują, że z tym wyzwaniem NCN nie radzi sobie wystarczająco dobrze. Trafność oceny zależy wprost od trafności doboru ekspertów do konkretnego wniosku, a ta z kolei zależy od dostępnej puli ekspertów oraz sposobu alokacji wniosków do ekspertów. Nie jest tajemnicą, że w każdym systemie oceny opartym na peer review kluczowym zasobem są recenzenci. Jest to także zasób rzadki, bowiem zapotrzebowanie na recenzje znacznie przekracza możliwości zaspokojenia go. Warto sobie uświadomić skalę, o jakiej mowa. Na przykład tylko w dyscyplinie nauki o zarządzaniu i jakości rocznie odbywają się dziesiątki kongresów, które wymagają recenzji. Tylko 10 największych stowarzyszeń naukowych przyciąga około 40 tysięcy zgłoszeń, a to oznacza 80 tysięcy recenzji. Dalej, lista Academic Journal Guide obejmuje 1703 czasopisma. Uśredniając, publikują one rocznie około 100 tysięcy tekstów, które wymagają co najmniej 200 tysięcy recenzji. A przecież są jeszcze teksty odrzucone, których zwykle jest wielokrotnie więcej. Przy selektywności (ang. acceptance rate) na poziomie 20% oznacza to, że do funkcjonowania czasopism z listy AJG potrzeba rocznie milion recenzji. A przecież jeszcze dochodzą krajowe procedury awansowe, międzynarodowe procedury zatrudniania. Na samym końcu pojawiają się dopiero procedury konkursowego finansowania projektów. Wyzwaniem dla każdego, kto potrzebuje systematycznego procesu recenzji, jest zgromadzenie bazy recenzentów, kontrola terminowości i jakości tych recenzji, a dalej reagowanie na odchylenia.

Poza odpowiednio liczną i zróżnicowaną pulą recenzentów potrzebne jest jeszcze dopasowanie wniosku do recenzentów. Wymaga to bardzo szerokich kompetencji w dyscyplinie i bieżącego kontaktu z aktywnymi badaczami. Tam, gdzie proces dopasowania działa dobrze, tj. w czasopismach z listy AJG, odpowiadają za niego associate editors, zwykle aktywni badacze. Podobnie dzieje się w przypadku wielkich kongresów naukowych. W porządku instytucjonalnym w Polsce za

dobór recenzentów do wniosków awansowych odpowiada Rada Doskonałości Naukowej, której członkowie są wybierani przez całe środowisko. Mają więc nie tylko legitymizację merytoryczną, ale także społeczną. Tymczasem NCN nie wzoruje swojego funkcjonowania ani na modelu czasopism, ani na modelu RDN. Głosy krytyki odnoszą się więc nie tylko do legitymizacji, ale wręcz do rzetelności procesu oceny, w którym ryzyko odrzucenia dobrych projektów lub finansowania przeciętnych trudno ocenić. Istota krytyki nie polega na typowym dla statystycznej kontroli procesu kryterium poziomu ryzyka tolerowanego, ale na tym, że ten poziom ryzyka w obecnych rozwiązaniach jest niemożliwy do rzetelnej oceny.

Trzeci argument krytyki, głośny w środowisku, odnosi się do dystrybucji środków w podziale na wielkie uniwersytety badawcze oraz mniejsze uczelnie. W istocie uczelnie badawcze pozyskują przeważającą część środków. Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na tradycję, ciągłość badań, stopień internacjonalizacji itd. Ale jednocześnie dostrzec trzeba zagrożenia dla rozwoju nauki płynące z takiej dystrybucji. Co ciekawe, ten sam problem dotyczy młodych stażem czy stopniem awansu naukowego badaczy. Przyjmując kryterium oceny CV, a także prawdopodobne obciążenie w ocenie poziomu naukowego wniosków, pojawia się efekt świętego Mateusza. Zatem proces oceny systemowo generuje ten efekt, nie tylko w odniesieniu do pojedynczych badaczy, ale także do całych środowisk. Problem ten jest debatowany w świecie, także na łamach prestiżowego czasopisma „Nature”. Jedno z coraz popularniejszych rozwiązań polega na losowaniu grantów do finansowania, a stosuje się je w Nowej Zelandii, Szwajcarii czy UK. Badania opinii naukowców w tym zakresie wskazują na niechęć wobec całkowitej losowości (loteria), ale dostrzegają znaczenie elementów losowości w przeciętaniu efektu świętego Mateusza, blokad wobec rewolucyjnych projektów czy względem młodych badaczy. Podobnie jak w przypadku procesu dopasowania recenzentów system jest więc niedoskonały, i to w stopniu niemożliwym do ustalenia.

Trudno bagatelizować te głosy krytyki, ponieważ w rezultacie powstaje poczucie indywidualnej niesprawiedliwości czy wręcz krzywdy. Również legitymizacja całego procesu finansowania nauki przez NCN staje pod znakiem zapytania. Ocena działań NCN wymaga odpowiedzi na cztery pytania: (1) czy dobre wnioski otrzymują finansowanie? (2) czy dobre wnioski są odrzucane? (3) czy słabe wnioski otrzymują finansowanie? (4) czy słabe wnioski są odrzucane? W systemie o niemożliwym do oceny poziomie ryzyka popełnienia błędów nie sposób udzielić na te pytania odpowiedzi krzepiących.

Strukturalne skutki systemu konkursowego

Funkcjonowanie NCN ma swoje odbicie w strukturach organizacyjnych uczelni akademickich w Polsce. Polskie uniwersytety w ostatnich latach utworzyły wieloosobowe jednostki organizacyjne, których celem jest obsługa zarówno procesów konkursowych (informowanie i konsultacje dla badaczy), jak realizacji konkretnych projektów. Nie ma bowiem możliwości, żeby przeciętny naukowiec sam poradził sobie nie tylko z obsługą grantu, który wygrał w NCN, ale także jego przygotowaniem. Po pierwsze sam proces przygotowania projektu jak i późniejszej jego realizacji opleciony jest całym zestawem działań administracyjnych, których wymaga nasza narodowa agencja, począwszy od podpisania umowy, poprzez sprawozdania z realizacji, kontrolę i rozliczenie projektu. Osoby realizujące granty w NCN bardzo często skarżą się na przedłużanie podpisania umów, absolutną sztywność procedur ich realizacji (w odróżnieniu od pożądanego elastyczności, charakteryzującej chociażby granty European Research Council), jak również konieczność formalnego zatwierdzania każdej zmiany, co

w przypadku projektów naukowych nie może być rzadkością, gdy poszukujemy nowych i nieprzewidywalnych odkryć naukowych czy technologicznych. Przecież istotą badań jest błędzenie w obszarze niewiedzy ludzkiej, błędzenie, którego skuteczność i wiarygodność podnosi metodologia, ale nadal jest to błędzenie.

Wobec naturalnej nieprzewidywalności procesu realizacji badań osobnym problemem jest konstruowanie oraz realizacja budżetów projektów. Każdy kierownik grantu NCN boryka się ze strukturą kosztów, brakiem elastyczności i swobody w ich wydatkowaniu. Struktura kosztów i pozycji budżetowych jest już przestarzała i nie przystaje do dzisiejszych realiów, jak również potrzeb środowisk naukowych. Dobitnie obnażyła to pandemia, która uniemożliwiła realizację wielu zaplanowanych działań ze względu na ograniczenia sanitarne. Dodatkowo praktycznie każda uczelnia na opisane wyżej procesy administracyjne projektów pobiera od badaczy swoisty haracz w postaci kosztów pośrednich (co najmniej 20%). Wyzwanie dla naukowców stanowią również procedury związane z zakupem koniecznej aparatury badawczej, przedłużające się procedury zamówień publicznych, często stanowiące oddzielny, skomplikowany proces administracyjny. Niskie wynagrodzenia w grantach NCN także stanowią rosnący problem w obliczu ciągłej pauperyzacji środowiska naukowego w Polsce.

Po trzecie, problem stanowią zasady i regulacje, które narzucają same uniwersytety, starając się dotrzymać kroku i spełniać wymagania NCN. Zbiurokratyzowana i hierarchiczna instytucja, jaką jest nadal polski uniwersytet, otrzymała w ostatnich latach dodatkowe zadania związane chociażby z dokumentowaniem osiągnięć naukowych na potrzeby ewaluacji. Za osiągnięcie, co skądinąd ciekawe, uznaje się także granty i projekty naukowe. Wymusza to także na ich kierownikach wykonywanie dodatkowej sprawozdawczości, pilnowanie terminów nie tylko wymaganych przez NCN, ale także przez administrację uczelnianą. Sytuację, z którą zmagają się przeciętny badacz, obrazuje cytat z korespondencji kierownika projektu z jednostką organizacyjną uczelni, w sprawie raportu z realizacji projektu:

„Pragnę zauważyć, że w kwestii terminów, przesłał Pan raport na 4 dni przed terminem dostarczenia dokumentu do NCN-u, co jest zbyt późnym terminem i XXX (jednostka organizacyjna uczelni) nie gwarantuje wówczas zebrania podpisów na czas, mimo naszych starań. Dodatkowo podczas mojej nieobecności i ustawionej autoodpowiedzi nie przesłał Pan do innego, zastępującego mnie pracownika dokumentu, co także wpłynęło na przekroczenie terminu i czekało na mój powrót. Ponadto na dokumencie brakowało kontrasygnaty Kierownika Jednostki, co o kolejne dni spowodowało przesunięcie”.


Zatem powstaje system opresyjny, na wzór hydry lernejskiej, która ma „dwie głowy”: jedną uczelnianą, drugą w NCN. Trudno jednak tę ostatnią instytucję winać za owo zło. Przecież zbiurokratyzowane wskaźniki wydajności zastępują dziś zaufanie do uczciwości zawodowej i wzajemnej regulacji. Prowadzi to do orwellowskiej inwigilacji, ciągłego mierzenia i liczenia każdej aktywności uniwersyteckiej. Jest to proces towarzyszący stopniowemu przekształcaniu się uniwersytetów w quasi-korporacje, cechujące się zachowaniami organizacyjnymi jak w patologicznym biznesie, co dla pracowników oznacza wzrost wymagań dotyczący wyników badań, rutynizację pracy administracyjnej czy większą intensyfikację pracy.

Obraz, jaki wyłania się z naszego opisu systemu grantowego instytucjonalnie prowadzonego przez NCN, jest z perspektywy doświadczeń badaczy przygnębiający. Dla wielu to syzyfowa praca czy dantejska podróż, którą porzucają ci mniej wytrwali albo ci, których badania są możliwe do zrealizowania bez środków zewnętrznych. Mowa tutaj o przedstawicielach nauk humanistycznych i społecznych, ale trudno sobie wyobrazić bada-

czy nauk ścisłych, którzy owo „porzucenie” mogą skutecznie. Niektóre bowiem dyscypliny naukowe nie funkcjonują bez grantów – nie zakupią niezbędnej aparatury i nie przeprowadzą eksperymentów i badań, a właściwie już po kilku latach przepaść pomiędzy nami a zachodnimi ośrodkami badawczymi może uniemożliwić realizację publikowalnych badań. NCN wykazuje alienację ze środowiska naukowego, wyraźną koncentrację na procedurach i systemie kontroli, tworzeniu rygorystycznego „treningu” naukowców i narzucaniu im konieczności adaptacji do skomplikowanych zadań administracyjnych. W efekcie pojawiają się antagonizmy nie tylko między NCN a uczelniami (czego przejawem są chociażby dość częste procesy sądowe pomiędzy tymi instytucjami), ale także między pracownikami administracji a badaczami w tych samych uczelniach. Dzisiejszy NCN to nie partner naukowców, a raczej wróg, którego trzeba pokonywać, żeby realizować własne badawcze marzenia.

Dobre praktyki w doskonaleniu instytucji

Potrzebna jest rzetelna debata nad misją i funkcjami NCN, jako kluczowej instytucji realizującej politykę naukową, w szczególności tego, co oznacza wsparcie środowiska naukowego. Jeśli bowiem polityka naukowa jest częścią polityki publicznej, to winna być renegocjowana i podlegać szerokim konsultacjom. Nie ma bowiem, parafrazując filozofa Tomasza Stawiszyńskiego, w świecie instytucji nic naturalnego, niezmiennego, danego na zawsze. Owszem, istnieją parametry, wskaźniki, ograniczenia i prawo, ale jeśli chodzi o system wartości i o to, czemu ma służyć uniwersytet i instytucje go wspierające, oraz jak system polityki naukowej powinien być konstruowany, to istnieje lub powinna istnieć jedna reguła. Będzie lub powinna być taka, na jaką się umówimy. Współczesny NCN, przy wielkich wyzwaniach nauki, także polskiej, która chce mieć miejsce w światowym obiegu, powinien się zmieniać i rozwijać, by sprzyjać tym celom i marzeniom, a nie je hamować.



Nie treść,
nie debata,
tylko punkty...
Tam do kata !

Debata nad NCN i procesami realizacji konkursów w NCN i projektów w uczelniach powinna być wsparta poszukiwaniem sprawdzonych i często śmiałych rozwiązań w innych krajach, jak również systematycznych, choć nielicznych badań, prowadzonych na świecie nad rolą i funkcjami publicznych agencji naukowych. W poszukiwaniu dobrych praktyk, które można wykorzystać do dyskusji nad tym, jakie NCN chciałobyśmy „posiadać”, warto przyrzeć się innym tego typu agencjom. Zaczniemy od tej, której granty stanowią „święty graal” dla wielu naukowców i są także nieustającym przedmiotem pożądania wszystkich zarządzających jednostkami naukowymi w Polsce. Mowa oczywiście o grantach European Research Council (ERC), utworzonej w 2007 przez Komisję Europejską. Posiadanie chociażby jednego grantu tejże instytucji to powód do chluby. Misją tej instytucji jest zachęcanie do prowadzenia najwyższej jakości badań w Europie poprzez konkurencyjne finansowanie oraz wspieranie inspirowanych przez naukowców badań pionierskich we wszystkich dziedzinach, w oparciu o doskonałość naukową. Co ważne, ze względu na swój „oddolny” charakter podejście ERC do grantów pozwala naukowcom na identyfikację nowych możliwości i kierunków w każdej dziedzinie badań, bez względu na temporalne zainteresowania rządzących opcji politycznych. ERC oczekuje, że jej granty pomogą w dokonaniu nowych i nieprzewidywalnych odkryć naukowych i technologicznych, czyli takich, które mogą stanowić podstawę nowych gałęzi przemysłu, rynków i szerszych innowacji społecznych w przyszłości, jak również przyczynić się do rozwoju naukowców gotowych do sprośnięcia globalnym wyzwaniom.

Wśród wielu istotnych praktyk działania tej instytucji warto zauważyć kilka najistotniejszych, które można rozważyć w debacie nad kształtem rodzimej agencji naukowej. Po pierwsze, **ERC promuje zatrudnianie w zespołach grantowych**. W efekcie każdy grantobiorca zatrudnia średnio 7 członków zespołu. Obecnie w zespołach badawczych ERC pracuje ponad 75 000 post-doków, doktorantów i innych pracowników. Po drugie, ERC udostępnia i promuje bardzo praktyczne **narzędzia zarządzania projektem naukowym**, poczynając od rekrutacji członków zespołu, poprzez sprawozdawczość naukową, wymagania dotyczące otwartej nauki i wytyczne dotyczące etyki, po wskazówki, jak przekazać swoje badania szerszej publiczności. Warto zauważyć, że żadne z nich nie odnoszą się do kwestii administracyjnych i kontrolnych. Po trzecie, ERC uruchamia **współpracę z krajowymi agencjami badawczymi** w celu odwiedzenia zespołów głównych badaczy ERC. Chodzi o to, żeby zaferować tym kandydatom możliwość poszerzenia i wzmocnienia ich profilu i wizji badawczej w międzynarodowym konkurencyjnym środowisku badawczym przed złożeniem wniosku o grant. Niestety próżno szukać polskich możliwości w tym działaniu, a mają takie możliwości na przykład badacze ze Słowacji, Serbii, Chorwacji czy Gruzji. Po czwarte, projekty ERC doprowadziły dotychczas do uzyskania ponad 2200 patentów i innych zgłoszeń dotyczących praw własności intelektualnej, a beneficjenci grantów założyli lub współzałożyli ponad 400 nowych firm.

Z innych przykładów europejskich warto wskazać promowanie kultury badawczej przez National Research Fund w Luksemburgu. Kultura badawcza obejmuje zachowania, wartości, oczekiwania, postawy i normy społeczności badawczych. Promuje się ją poprzez następujące działania: deklarację DORA, narracyjne CV naukowców, promocję narzędzi Open Science, działania na rzecz gender balance czy nagrody dla liderów i mentorów naukowych. Wszystkie te działania mają wpływać na ścieżki kariery naukowców i określać sposób prowadzenia, przekazywania i oceny badań.

Istnieją także rozwiązania, które odnoszą się do kwestii organizacyjnych agencji badawczych, jak również realizacji

grantów w uczelniach. Na przykład German Research Foundation od ponad 11 lat stosuje zasady, w świetle których w ramach projektów istnieją głównie kwoty ryczałtowe, natomiast uczelniom pozostawia się decyzję, czy środki zostaną wykorzystane na wynagrodzenia, sprzęt czy materiały eksploatacyjne. Zmiany w przydziale środków w trakcie realizacji projektu są więc również możliwe bez ograniczeń. Dodatkowo wybór kategorii wynagrodzenia należy do odpowiedzialności uczelni. Zasady te wzmacniają oparte na zaufaniu podejście niemieckiej agencji i uznania zwyczajowych praktyk uniwersytetów np. bez wymagań dotyczących kart czasu pracy lub audytów finansowych dla poszczególnych projektów.

Z kolei szwedzkie krajowe agencje finansujące opierają swoje wymogi dotyczące sprawozdawczości w zakresie dotacji w dużej mierze na zaufaniu. Uznaje się, że obowiązkowe wewnętrzne lub zewnętrzne audyty, które uniwersytety, jako instytucje publiczne, są zobowiązane przeprowadzić, są wystarczające. Istnieje bowiem przekonanie, że realizowane projekty i przyznane środki zostaną wykorzystane w najlepszy sposób. Często wystarczy raport końcowy w przypadku małych projektów, niekiedy istnieje wymóg składania rocznych raportów z późniejszymi zwrotami kosztów.

Obraz zmian i doskonalenia agencji finansujących badania w Europie wiąże się więc z rozwojem kultury zaufania. W praktyce oznacza to nie tylko zaufanie do głównego badacza i jego uniwersytetu jako instytucji realizującej projekt, ale także koncentrację na ocenie ex-ante projektu, testowanie na użytkownikach konsekwencji nowych procedur lub systemów informatycznych czy organizację szkoleń dla pracowników agencji we współpracy z uniwersytetami.

Rozwój to droga, a nie projekt

System konkursowy łatwo opisać z perspektywy nauk o zarządzaniu, ponieważ ta dyscyplina specjalizuje się w doskonaleniu sprawności zorganizowanej działalności człowieka. Ma aparat pojęciowy niezbędny do opisu i diagnozy, ma również sprawdzone w milionach organizacji metody doskonalenia. Wszędzie tam, gdzie zorganizowana działalność człowieka jest powtarzalna, mamy do czynienia z procesami (organizacyjnymi), a zarządzanie procesami służy do ich doskonalenia ze względu na kryterium czasu, kosztów oraz jakości (dla użytkownika). Droga do doskonałości przechodzi przez usuwanie drobnych błędów w dobrze zaprojektowanych procesach, może też wymagać przeprojektowania całych procesów. Krytyka bardzo w tym pomaga, bowiem pozwala zlokalizować problemy i otwiera drogę do ich rozwiązywania. Naiwne jest założenie, że pojedynczy człowiek czy nawet zespół jest zdolny do zaprojektowania „od zera” doskonale funkcjonującej organizacji. Przekonał się o tym Elon Musk, którego firma Tesla popełniła ten grzech pychy. Po powtarzających się porażkach w zakresie jakości zwróciła się w stronę sprawdzonych w branży motoryzacyjnej metod zarządzania procesami.

Nie chodzi więc o dezawuowanie czy destrukcję instytucji, o nieciągłość polegającą na likwidacji obecnych procesów i struktur. Chodzi o doskonalenie. Rutynizacja, usztywnienie, formalizacja to największy wrogi doskonalenia. NCN wymaga naprawy, potrzebne jest uruchomienie tego procesu i profesjonalne prowadzenie go. Także drogą eksperymentów, także drogą włączania interesariuszy w proces doskonalenia. Nie ma bowiem przesady w stwierdzeniu, że od tego zależy przyszłość polskich badań podstawowych.

Prof. dr hab. Wojciech Czakon, dr hab. Ewa Bogacz-Wojtanowska, prof. UJ, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Adam Proń, Halina Szatyłowicz

Nie marnować publicznych pieniędzy

Lament dwojga starych profesorów nad upadkiem obyczajów w działalności publikacyjnej polskich naukowców

Artykuł ten poświęcamy profesorowi Markowi Kosmuliemu, którego artykuł pt. *MDPI a sprawa polska* (FA 5/2022) zmobilizował nas do szczegółowego zbadania zwyczajów publikacyjnych na polskich uczelniach politechnicznych.

W ostatnich latach podstawową miarą oceny działalności badawczej poszczególnych naukowców stało się autorstwo (lub współautorstwo) artykułów zamieszczanych w czasopismach naukowych, którym przypisano tzw. ministerialne wartości punktowe, nierzadko według niejasnych kryteriów. Efektem takiego podejścia może być (i często jest) niewłaściwy wybór czasopisma, a także dążenie za wszelką cenę do znalezienia się w gronie współautorów danej pracy, nawet za cenę złamania etycznych zasad atrybucji autorstwa.

Choć etyczne kryteria atrybucji są jasne, to sam ten proces staje się coraz bardziej skomplikowany i stał się nawet przedmiotem prawnych konferencji naukowych. Atrybucja autorstwa staje się szczególnie skomplikowana w publikacjach interdyscyplinarnych, a w fizyce częstokroć niezrozumiała dla większości środowiska naukowego. Można łatwo bowiem zrozumieć konieczność umieszczenia kilkuset współautorów w artykule opisującym badania kliniczne prowadzone równolegle w kilkudziesięciu szpitalach na całym świecie, trudno jednak uzasadnić konieczność umieszczenia 5154 nazwisk współautorów w publikacji dotyczącej pomiaru masy bozonu Higgsa („Physical Review Letters” 114, 191803 (2015)).

Polityka dystrybucji funduszy na badania naukowe jest bardzo podobna we wszystkich praktycznie krajach, w których prowadzone są prace badawcze i faworyzuje naukowców zdolnych do utworzenia bardzo dużych grup badawczych, gdyż w naiwnym myśleniu decydentów panuje pogląd, iż do uzyskania spektakularnych wyników badań lub opracowania skomplikowanych technologii konieczne jest przekroczenie „masy krytycznej” zespołu. Jest to pogląd błędny, bowiem współpraca, ale koniecznie niewymuszona, małych grup prowadzi zazwyczaj do lepszych wyników znacznie mniejszym kosztem. Ta błędna polityka sprawia, że bardzo opłaca się tworzyć duże grupy badawcze. Utrzymanie takiej grupy jest trudne i wymaga od jej zefa

ciągłego publikowania prac w najbardziej prestiżowych periodykach naukowych, gdyż w innym przypadku nie zdoła on (ona) uzyskać dostatecznie dużej subwencji, zapewniającej ciągłość badań. W efekcie szefowie „mandaryni” stają się „gwiazdkowymi”, czyli korespondującymi autorami wszystkich publikacji pochodzących z tej grupy. Taka polityka naukowa powoduje m.in., że na świecie jest ponad 9000 naukowców, którzy w latach 2000-2017 publikowali częściej niż jeden artykuł co 5 dni, co oznacza średnio ponad 73 artykuły rocznie (źródło: „Nature”, 561, 157 (2018)). Oczywiście mandaryni ci nie spełniają klasycznych kryteriów atrybucji autorstwa, zarówno prawnych, jak i etycznych, ale prawie nikt nie zwraca na to uwagi. Wśród polskich naukowców nie znaleźliśmy jeszcze takiego rekordzisty, ale niektórzy zapewne niedługo do grupy „cotygodniowych” autorów dołączą. Nietrudno bowiem znaleźć pracowników naukowych polskich uczelni, którzy w ostatnich pięciu latach publikowali średnio ponad 40 artykułów rocznie, czyli jeden artykuł na niespełna 9 dni. Polscy mandaryni nie dogonili jeszcze mandarynów z krajów bardziej rozwiniętych naukowo także w zakresie prestiżu czasopism, w których umieszczają liczne artykuły.

Nadmiar małowartościowych publikacji, pochodzących zarówno od „hurtowników”, jak i skromnych „detalistów”, stanowi problem nie tylko polskiej nauki. Władze uczelni w perspektywie wieloletniej powinny więc tak stymulować pracowników naukowych, aby ci publikowali powściągliwie i w czasopismach o jak najlepszej reputacji międzynarodowej. Badacze z uczelni politechnicznych mają do wyboru kilkadziesiąt oficyn wydawniczych wydających czasopisma z dziedziny nauk inżynierskich, chemicznych oraz fizycznych. Właściwy wybór czasopisma ma bardzo duży wpływ na oddźwięk przedstawionych badań, a w konsekwencji na reputację poszczególnych naukowców, a także całych wydziałów i uczelni. Poniżej przedstawiamy krótkie charakterystyki najważniejszych oficyn wydawniczych.

Od Elseviera do MDPI

Elsevier jest największą oficyną wydającą czasopisma i książki naukowe. Ze względu na rozległość tematyczną wydawanych periodyków oficyna ta może być nazwana „supermarketem publikacyjnym”. Wśród kilku tysięcy specjalistycznych czasopism tego wydawnictwa niektóre cieszą się dobrą lub bardzo dobrą reputacją. Elsevier jest najczęściej wybieraną oficyną wydawniczą przez 95% wszystkich uczelni technicznych: od najbardziej prestiżowych, takich jak amerykański MIT, szwajcarska ETH czy francuska Institut Polytechnique de Paris, do mniej znanych, jak np. Istanbul Technical University czy Indian Institute of Technology w Delhi. Wyjątek stanowią politechniki rumuńskie, polskie, litewskie i słowackie, gdzie dominują artykuły zamieszczone w czasopismach oficyny Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI).

Wiley ma ponad dwukrotnie mniejszy udział w rynku wydawnictw naukowych, ale liczba prestiżowych periodyków naukowych wydawanych przez tę oficynę jest większa niż w przypadku Elseviera. Pewną słabością tego wydawnictwa jest współistnienie periodyków o znakomitej reputacji („Angewandte Chemie Int. Ed.”) z czasopismami ocenianymi powszechnie jako słabe (np. „Journal of Applied Polymer Science”). Te prestiżowe są redagowane nadzwyczaj starannie, te słabe niedbale, bez profesjonalnej korekty językowej.

Springer Nature. Periodyki oficyny wydawniczej Springera w części powielają zakres tematyczny czasopism Elseviera i Wileya, na ogół nie mając jednak ich renomy. Dotyczy to w szczególności porównania z czołowymi czasopismami Wileya. Niektóre czasopisma springerowskie reprezentują jednak zupełnie przyzwoity poziom.

Nature Portfolio. Najslawniejszy periodyk naukowy „Nature” powstał w 1843 r. z inicjatywy braci Daniela i Aleksandra Macmillanów i przez wiele lat wydawany był przez oficynę Macmillan Publishers Limited. W 2015 r. wydawnictwo to zostało zakupione przez oficynę Springera, które utworzyło autonomiczny dział nazwany Nature Portfolio, wydający ponad 150 czasopism, w tym „Nature” i szereg jej mutacji. Te dobrze redagowane periodyki w ogromnej większości są bardzo cenione przez środowisko naukowe.

American Chemical Society (ACS) Journals. Oficyna wydawnicza Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego wydaje szereg prestiżowych czasopism naukowych dotyczących praktycznie każdej dziedziny chemii, a więc ważnych dla naukowców z politechnicznych wydziałów chemii, technologii chemicznej oraz inżynierii chemicznej. Periodyki te są na ogół starannie redagowane.

Royal Chemical Society (RSC) Journals. Oficyna RSC jest brytyjskim odpowiednikiem ACS. Wydaje szereg dobrze redagowanych i wartościowych periodyków. Duża część czasopism wydawanych przez RSC to odpowiedniki periodyków ACS, np. „Journal of the American Chemical Society” i „Chemical Science”, „Macromolecules” i „Polymer Chemistry”, „Chemistry of Materials” i „Journal of Materials Chemistry A”, „B” i „C”, „ACS Nano” i „Nanoscale”, a także inne.

American Physical Society (APS) Journals. Oficyna ta wydaje kilkanaście dobrze redagowanych periodyków naukowych z serii Physical Review Journals, w tym najbardziej prestiżowy „Physical Review Letters”.

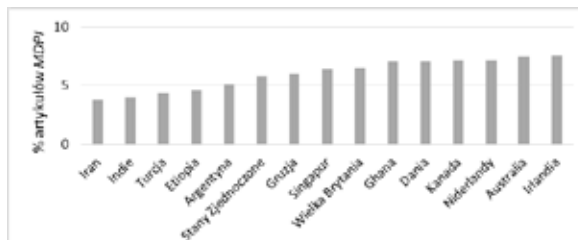
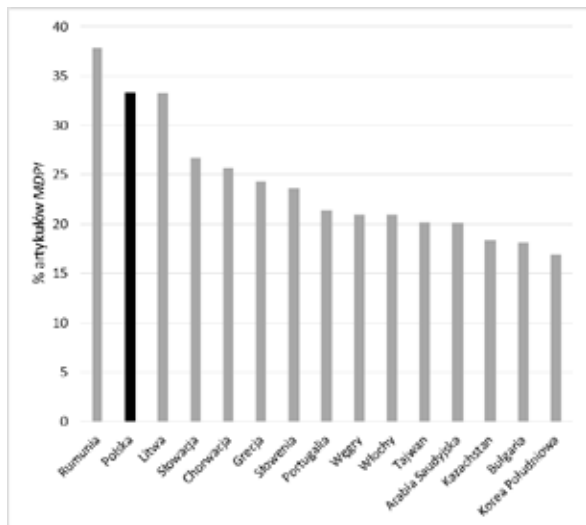
Institute of Electrical and Electronics Engineers (IEEE) Journals. Ta oficyna, wydająca ponad 150 czasopism poświęconych różnym dziedzinom nauk technicznych, w tym elektronice, elektrotechnice, informatyce, bioinformatyce i innym, jest bardzo ważna dla naukowców z uczelni politechnicznych. Cechą wyróżniającą wielu czasopism IEEE jest ich bardzo wysoki współczynnik wpływu, często najwyższy wśród czasopism poświęconych danej dziedzinie techniki.

Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI). MDPI to wydawnictwo czasopism o „nieograniczonym dostępie” (ang. open access), które w okresie XXI w. zwiększyło liczbę opublikowanych artykułów z 57 w 2000 r. do 231 tys. w 2021 r., czyli 4000 razy! W tym samym okresie oficyna Elseviera zwiększyła liczbę opublikowanych prac 1,9 razy (z 235 tys. do 455 tys.), a oficyna ACS 1,7 razy (z 38 tys. do 66 tys.). MDPI jest oficyną czasopism „drapieżnych”, dla których naczelnym celem nie jest naukowy poziom publikowanych prac, lecz dominacja na rynku wydawnictw naukowych. Takie podejście powoduje szybką degrengoladę tego rynku. Publikowane w czasopismach MDPI artykuły nie tylko w wielu przypadkach są napisane straszną angielszczyzną, skandalicznie źle redagowane i recenzowane, ale znaleźć można nawet prace, których opublikowanie stanowi obrazę dla logiki i wiedzy naukowej, co zresztą się zdarza również w czasopismach renomowanych wydawców, lecz w znacznie mniejszym stopniu. Wynika to po części z faktu, że redaktorami czasopism MDPI, szczególnie ich specjalnych wydań, często zostają naukowcy o małym dorobku i miernej znajomości zasad redagowania oraz oceny artykułów naukowych. Pouczającym przykładem jest tutaj jeden z redaktorów „International Journal of Molecular Science” – czasopisma MDPI, któremu przypisano 140 pkt. ministerialnych. Przyjął on do druku serię artykułów przedstawionych potem jako osiągnięcie habilitacyjne. W trakcie postępowania habilitacyjnego publikacje te zostały całkowicie zdezawuowane przez recenzentów habilitacji jako zawierające bardzo dużą liczbę błędów merytorycznych, redakcyjnych i językowych. Ich opublikowanie było przykładem niekompetencji redaktora oraz złego doboru recenzentów. Trudno jednak nie ulec wrażeniu, że poprawne redagowanie czasopisma przerosło jego możliwości, skoro w opisanym okresie był on autorem zaledwie 30 wieloautorskich prac o mało spójnej tematyce, w tym artykułu *Cow urine as a source of nutrient for microbial-induced calcite precipitation in sandy soil*. Co ma krowie sikanie do chemii i fizyki molekularnej, dotąd nie zdołaliśmy zgłębić. Ponadto nie można właściwie ocenić i poprawnie zredagować artykułu, jeśli okres od jego przesłania do wydawnictwa do ukazania się w czasopiśmie jest krótszy niż miesiąc, a tak często bywa w przypadku artykułów MDPI.

Kit się garnie do MDPI?

W badaniach udziału publikacji MDPI w piśmiennictwie naukowym danego kraju uwzględniliśmy tylko te państwa, w których przez pierwsze 9 miesięcy tego roku opublikowano co najmniej 2000 artykułów. W 2022 r. ta oficyna wydawnicza największe sukcesy odnosi w Rumunii, w Polsce i na Litwie. Na Rysunku 1a przedstawiamy 15 krajów, w których udział procentowy publikacji MDPI w całej populacji artykułów naukowych jest największy. Oprócz trójki liderów mamy jeszcze sześć innych krajów z dawnego bloku tzw. demoludów lub krajów powstałych w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego i Jugosławii. Pozostałe to kraje o średnim poziomie rozwoju naukowego (Grecja, Portugalia i Arabia Saudyjska) oraz takie, w których rozwój nauki uważa się za znaczący (Włochy, Tajwan i Korea Południowa). Chociaż MDPI jest produktem chińskim, to jednak naukowcy tego kraju wyraźnie stronią od tej oficyny wydawniczej, publikując w niej zaledwie 9,4% swoich publikacji, czyli cztery razy mniej niż liderzy z Rumuni i mniej więcej tyle samo co Francuzi.

Są jednak państwa, które jeszcze bardziej wystrzegają się publikowania w MDPI niż Chińczycy. Rysunek 1b przedstawia 15 państw najrzadziej publikujących w oficynie MDPI. Można je podzielić z grubsza na trzy grupy. Grupa pierwsza to kraje ubogie (Etiopia, Gruzja, Ghana), dla których opłata



Rysunek 1. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie MDPI w całkowitej populacji artykułów opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r. Statystyka dotyczy 75 krajów, które opublikowały w w/w okresie co najmniej 2000 artykułów naukowych zarejestrowanych w bazie Web of Science: (a) 15 krajów o największym udziale artykułów zamieszczonych w czasopiśmie MDPI i (b) 15 krajów o najmniejszym udziale artykułów zamieszczonych w czasopiśmie MDPI.

wymagana przez MDPI jest po prostu zbyt duża. Indie też są krajem ubogim, ale posiadają elitarne uczelnie (np. Indian Institute of Science w Bangalore), gdzie funduszy na naukę nie brakuje. Naukowcy tych elitarnych uczelni nie publikują w czasopiśmie MDPI, a pracowników naukowych „szeregowych” ubogich uniwersytetów po prostu na to nie stać. Pewną rolę odgrywać jeszcze może historyczna niechęć Indii do chińskiej dominacji i ekspansji. Drugą grupę stanowią kraje o bardzo rozwiniętym potencjale badawczym (Stany Zjednoczone,

Singapur, Wielka Brytania, Dania, Niemcy, Kanada, Australia, Irlandia), w których publikowanie w czasopiśmie MDPI nie może stanowić powodu do chwały. Mała liczba publikacji MDPI w Argentynie, Turcji i Iranie nie wynika z przyczyn ekonomicznych, a raczej z polityki naukowej prowadzonej w tych krajach, która chyba nie sprzyja publikowaniu w periodykach tej oficyny. Potwierdzeniem tego wniosku jest duży udział publikacji zamieszczonych w czasopiśmie Elseviera, który w przypadku Iranu wynosi ponad 23%, a Argentyny ponad 20%. Oficyna Elseviera jest bowiem często traktowana jako alternatywa dla MDPI.

Tabela 1. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanym przez MDPI w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	MDPI
Politechnika Krakowska	49,36%
Politechnika Łódzka	47,00%
Polytechnic University of Bucharest	46,48%
Politechnika Lubelska	45,37%
Kaunas University of Technology	44,75%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	43,77%
Politechnika Śląska	41,76%
Politechnika Poznańska	41,75%
Politechnika Warszawska	36,81%
Akademia Górniczo-Hutnicza	31,96%
Politechnika Wrocławska	28,25%
Politechnika Gdańska	26,70%
Slovak University of Technology Bratislava	26,20%
National Technical University of Athens	23,27%
Universidad Politecnica de Madrid	22,32%
Huazhong University of Science Technology Wuhan	6,35%
Istanbul Technical University	6,03%
Pohang University of Science Technology	5,39%
Yildiz Technical University Istanbul	4,50%
Ecole Polytechnique Federale De Lausanne	4,45%
Eth Zurich	4,36%
Institut Polytechnique de Paris	3,63%
California Institute of Technology	2,65%
Massachusetts Institute of Technology	2,49%
Indian Institute of Technology System (IIT System)	2,43%

Tabela 2. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanym przez Nature Portfolio w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	Nature Portfolio
Polytechnic University of Turin	17,54%
Eindhoven University of Technology	13,71%
Royal Institute of Technology Stockholm	12,88%
Delft University of Technology	12,65%
Polytechnic University of Milan	12,18%
Universitat Politecnica de Catalunya	11,84%
Institut National Polytechnique de Grenoble	11,80%
Institut Polytechnique de Paris	11,33%
Technische Universitat Wien	10,95%
ETH Zurich	7,30%
Politechnika Gdańska	7,15%
Politechnika Warszawska	6,15%
Massachusetts Institute of Technology	6,04%
Norwegian University of Science Technology	5,95%
Polytechnic University of Bucharest	4,80%
Politechnika Łódzka	4,74%
California Institute of Technology	4,70%
Politechnika Poznańska	4,64%
Akademia Górniczo-Hutnicza	4,27%
Politechnika Wrocławska	3,55%
Technical University of Berlin	2,99%
Politechnika Śląska	2,14%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	2,03%
Politechnika Lubelska	1,60%
Politechnika Krakowska	0,91%

Tabela 3. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanych przez *IEEE* w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	IEEE
Massachusetts Institute of Technology	10,20%
Technical University of Berlin	9,21%
Ecole Polytechnique Federale de Lausanne	6,96%
ETH Zurich	6,38%
California Institute of Technology	6,04%
Pohang University of Science Technology	5,87%
Technische Universität Dresden	5,61%
Tokyo Institute of Technology	4,87%
Technical University of Denmark	3,93%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	3,48%
Technische Universität Wien	3,31%
Politechnika Wrocławska	3,22%
Institut Polytechnique de Paris	3,10%
Delft University of Technology	2,86%
Politechnika Gdańska	2,62%
Politechnika Śląska	2,46%
Technical University + Chemistry Technology Prague	2,17%
Politechnika Warszawska	1,96%
Politechnika Poznańska	1,72%
Politechnika Łódzka	1,67%
Polytechnic University of Turin	1,49%
Akademia Górniczo-Hutnicza	1,27%
Polytechnic University of Bucharest	1,01%
Politechnika Krakowska	0,68%
Politechnika Lubelska	0,00%

Bezprzymiotnikowe są powściągliwe

Które uczelnie spowodowały, iż Polska stała się wiceliderem światowym w publikowaniu artykułów naukowych w oficynie MDPI? Nie są to czołowe uniwersytety, gdyż zarówno Uniwersytet Warszawski, jak i Uniwersytet Jagielloński (bez Collegium Medicum) umieszczają zaledwie 14% publikacji w czasopiśmie MDPI. Ogólnie uniwersytety „bezprzymiotnikowe” są dość powściągliwe wobec nachalności naganiaczy z MDPI. Wyjątki stanowią Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie (35%) i Uniwersytet Rzeszowski (47%). Głównymi dostawcami artykułów dla MDPI są jednak uniwersytety medyczne. Wśród nich tylko trzy umieszczają mniej niż 40% artykułów w czasopiśmie MDPI: Collegium Medicum UJ (36%), Uniwersytet Medyczny w Poznaniu (39%) i Gdański Uniwersytet Medyczny (39%). W przypadku aż czterech uniwersytetów medycznych udział publikacji MDPI przekracza 50%. Rekordzistą jest Uniwersytet Medyczny w Lublinie (59%).

Politechniki plasują się pomiędzy uniwersytetami i uniwersytetami medycznymi. We wszystkich polskich uczelniach politechnicznych artykuły opublikowane w oficynie MDPI stanowią największy odsetek wszystkich publikacji, co jest ewenementem na skalę światową. Jest to wniosek na wskroś pesymistyczny. Dalszych powodów do pesymizmu dostarcza analiza porównawcza profili publikacyjnych polskich politechnik i wybranych zagranicznych uczelni technicznych. Jak już wspomnieliśmy, w przypadku 95% uczelni politechnicznych Elsevier jest oficyną wydawniczą najczęstszego wyboru. Udział publikacji „elsevierowskich” waha się od 18% do 24%. Jedynie w przypadku najbardziej prestiżowych politechnik (ETH, MIT, Institut Poly-

Tabela 4. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanych przez *ACS* w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	Amer Chemical Soc
Pohang University of Science Technology	11,19%
Tokyo Institute of Technology	9,34%
Korea University of Science Technology (Ust)	6,47%
Eindhoven University of Technology	6,02%
Massachusetts Institute of Technology	5,80%
Technical University of Denmark	5,66%
California Institute of Technology	5,14%
ETH Zurich	4,87%
Politechnika Wrocławska	4,51%
Institut National Polytechnique de Grenoble	4,36%
Politechnika Gdańska	4,05%
Technical University of Berlin	3,99%
Institut Polytechnique de Paris	2,89%
Politechnika Warszawska	2,67%
Polytechnic University of Milan	2,57%
Politechnika Łódzka	2,09%
Polytechnic University of Turin	1,99%
Politechnika Śląska	1,82%
Politechnika Poznańska	1,55%
National Technical University of Athens	1,47%
Akademia Górniczo-Hutnicza	1,27%
Politechnika Krakowska	1,14%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	1,06%
Polytechnic University of Bucharest	0,21%
Politechnika Lubelska	0,00%

technique de Paris) odsetek ten jest mniejszy, ale nadal Elsevier jest oficyną o największym udziale. Udział artykułów opublikowanych w czasopiśmie wydawnictwa Springer-Nature jest znacząco mniejszy, a w przypadku najbardziej prestiżowych uczelni technicznych dodatkowo spada, podobnie jak udział publikacji elsevierowskich. Udział publikacji zamieszczonych w czasopiśmie oficyny Wiley jest zbliżony dla większości politechnik, przy czym naukowcy z prestiżowych uczelni publikują na ogół w czasopiśmie o najlepszej reputacji („Angewandte Chemie Int. Ed.”, „Advanced Materials”), a badacze z mniej znanych politechnik głównie w periodykach o mniejszej renomie („Chemistry Select”, „Journal of Applied Polymer Science”).

Przeprowadziliśmy szczegółową analizę preferencji publikacyjnych 10 polskich politechnik i 35 zagranicznych uczelni technicznych z krajów o różnym potencjale gospodarczym i różnym poziomie aktywności naukowej. W Tabelach 1-6 podajemy dane dotyczące wyboru oficyn wydawniczych wszystkich badanych polskich politechnik oraz 15 reprezentatywnych politechnik zagranicznych. Dokładną statystykę obejmującą 45 uczelni znaleźć można w internetowej wersji „Forum Akademickiego”.

Tabela 1 przedstawia porównanie udziału publikacji zamieszczonych w czasopiśmie MDPI w całkowitej populacji artykułów opublikowanych przez naukowców danej uczelni. W przypadku polskich uczelni tabela ta przypomina listę miast europejskich o największym zanieczyszczeniu powietrza, gdzie na czele zazwyczaj znajdują się miasta z Polski południowej. Wśród uczelni o największym udziale publikacji MDPI wszystkie polskie politechniki znajdują się na czołowych miejscach, przedzielone jedynie politechnikami bukareszteńską i kowieńską. Jak należało się spodzie-

Tabela 5. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanych przez RSC w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	Royal Soc Chemistry
Pohang University of Science Technology	4,48%
Tokyo Institute of Technology	4,42%
Indian Institute of Technology System lit System	3,78%
University of Science Technology Beijing	2,82%
Politechnika Wrocławska	2,79%
Politechnika Śląska	2,78%
Ecole Polytechnique Federale de Lausanne	2,68%
Technical University of Denmark	2,64%
ETH Zurich	2,62%
Eindhoven University of Technology	1,91%
Politechnika Warszawska	1,87%
Budapest University of Technology Economics	1,71%
Massachusetts Institute of Technology	1,55%
Politechnika Krakowska	1,53%
Delft University of Technology	1,35%
Institut Polytechnique de Paris	1,23%
Politechnika Poznańska	1,03%
Polytechnic University of Turin	0,99%
Politechnika Łódzka	0,98%
Politechnika Gdańska	0,95%
Universitat Politècnica de Catalunya	0,92%
Akademia Górniczo-Hutnicza	0,82%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	0,80%
California Institute Of Technology	0,74%
Politechnika Lubelska	0,00%

wać, na samym końcu tabeli znajdują się najbardziej elitarne uczelnie techniczne: Caltech, MIT, Institut Polytechnique de Paris, ETH. Politechniki węgierskie i czeskie także publikują w oficynie MDPI znacznie powściągliwiej niż polskie. W przypadku dwóch praskich uczelni technicznych dokonaliśmy pewnego zabiegu, który w naszym przekonaniu bardziej je upodabnia do typowych polskich politechnik. Potraktowaliśmy łącznie Czech Technical University i University of Chemistry Technology, gdyż ten pierwszy nie prowadzi badań w zakresie chemii, technologii i inżynierii chemicznej, ten drugi stanowi więc jego konieczne dopełnienie.

W takich wydawnictwach jak Nature Portfolio, IEEE, ACS, RSC oraz APS polskie politechniki publikują zaskakująco mało artykułów. Szkoda, bo te cennie oficyny wydają szereg prestiżowych periodyków, chociaż niektóre tytuły, takie jak „RSC Advances” (RSC), „ACS Omega” (ACS) czy „Scientific Reports” (Nature Portfolio) trzeba uznać za co najwyżej średnie.

Jak publikują politechniki?

W Tabeli 2 prezentujemy udziały publikacji zamieszczonych w czasopiśmie wydawanych przez Nature Portfolio wyznaczone dla poszczególnych uczelni. Jak należało się spodziewać, cztery polskie politechniki (PŚ, ZUT, PL i PK) znajdują się na końcu klasyfikacji. Pewnym zaskoczeniem może być wyższa pozycja politechnik Gdańskiej i Warszawskiej na tej liście w porównaniu z elitarnymi MIT czy Caltech. Optymizm ten zaraz gaśnie, gdy przyjrzymy się, w których czasopiśmie tej oficyny publikują naukowcy z PG i PW, a w których badacze z MIT czy Caltech. Otóż 85% publikacji PW w czasopiśmie wydawa-

Tabela 6. Udział artykułów zamieszczonych w czasopiśmie wydawanych przez APS w całkowitej populacji artykułów danej uczelni opublikowanych w okresie pierwszych 9 miesięcy 2022 r.

Uczelnia	Amer Physical Soc
Institut Polytechnique de Paris	11,54%
California Institute of Technology	6,19%
Institut National Polytechnique De Grenoble	6,01%
Technische Universität Wien	5,81%
Tokyo Institute of Technology	5,56%
Ecole Polytechnique Federale de Lausanne	5,11%
Akademia Górniczo-Hutnicza	5,02%
Massachusetts Institute of Technology	4,55%
ETH Zurich	4,32%
Politechnika Warszawska	2,59%
Politechnika Wrocławska	2,58%
Indian Institute of Technology System lit System	2,28%
Technical University of Berlin	2,23%
Politechnika Gdańska	1,07%
Huazhong University of Science Technology Wuhan	0,94%
Polytechnic University of Milan	0,82%
Politechnika Poznańska	0,30%
Hong Kong Polytechnic University	0,29%
Politechnika Łódzka	0,25%
Politechnika Krakowska	0,23%
Kaunas University of Technology	0,20%
Politechnika Śląska	0,09%
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny	0,00%
Yildiz Technical University Istanbul	0,00%
Politechnika Lubelska	0,00%

nych przez Nature Portfolio to artykuły zamieszczone w „Scientific Reports”, periodyku nienadmiernie ekscytującym środowisko naukowe (vide supra), a tylko 15% w mutacjach „Nature”. W przypadku PG artykuły w „Scientific Reports” to 92% wszystkich zamieszczonych w periodykach Nature Portfolio. Odmienne obraz otrzymujemy dla Caltechu, gdzie w „Scientific Reports” zamieszczono 9% artykułów, w „Nature” 20%, a pozostałe 71% w mutacjach „Nature”. Dla MIT liczby te wynoszą odpowiednio 9%, 14% i 77%. Lepiej niż PG i PW wypada również wspomniana już „hybryda” dwóch praskich uczelni technicznych (29% „Scientific Reports”, 10% „Nature”, 61% mutacje „Nature”). Na pocieszenie należy stwierdzić, że PW wypada lepiej niż Politechnika Bukareszteńska (Polytechnic University of Bucarest), która nie umieściła ani jednej publikacji w „Nature” i jej mutacjach.

Dla elektroników, elektrotechników i informatyków ważną oficyną wydawniczą jest IEEE. Jak już wspomnieliśmy, spora część periodyków wydawanych przez IEEE ma doskonałą opinię w środowisku, co wiąże się m.in. z bardzo wysokimi współczynnikami wpływu tych czasopism, często najwyższymi dla periodyków poświęconych poszczególnym dziedzinom elektroniki czy informatyki. Tabela 3 przedstawia udziały publikacji zamieszczonych w periodykach wydawanych przez IEEE. Na czele klasyfikacji znajdują się najbardziej cenione uczelnie techniczne ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Szwajcarii, Korei i Japonii, co świadczy nie tylko o prestiżu czasopism IEEE, ale również o znaczeniu nauk elektronicznych i informatycznych w tych uczelniach. Polskie politechniki wypadają w tym zestawieniu średnio lub źle.

W przypadku chemików, zarówno uniwersyteckich, jak i politechnicznych, warunkiem zaistnienia w środowisku międzyna-

rodowym jest publikowanie w czasopismach ACS i RSC. Tabela 4 przedstawia udziały publikacji zamieszczonych w oficynie ACS w całkowitej populacji artykułów pochodzących z danej uczelni. Na czele listy są znowu prestiżowe uczelnie politechniczne z Korei, Japonii, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Niderlandów i Danii. Niestety polskie uczelnie politechniczne publikują w tej oficynie wydawniczej niewiele artykułów.

W Stanach Zjednoczonych nie ma tradycji publikowania w czasopismach oficyny RSC. Jak już wspomnieliśmy, wynika to z faktu, iż wiele czasopism RSC jest konkurencyjnych w stosunku do tych wydawanych przez ACS. Dla większości naukowców amerykańskich to właśnie periodyki ACS stanowią więc pierwszy wybór. Dlatego w czołówce listy przedstawiającej udziały publikacji RSC (Tabela 5) nie ma uczelni amerykańskich. Zwracamy uwagę na bardzo wysoką pozycję Politechniki Wrocławskiej i Politechniki Śląskiej. W obu przypadkach te wysokie miejsca są w pełni zasłużone, bowiem naukowcy z tych uczelni zamieszczali głównie prace w najbardziej renomowanych periodykach tej oficyny, a nie w najpopularniejszym, ale najmniej cenionym „RSC Advances”.

Udział fizyków w pracach badawczych polskich uczelni politechnicznych jest w większości przypadków niewielki lub wręcz nieistniejący. Wyjątkiem jest AGH oraz do pewnego stopnia Politechnika Wroclawska i Politechnika Warszawska, co widać wyraźnie w Tabeli 6, przedstawiającym udział publikacji zamieszczonych w czasopismach APS w całkowitej populacji artykułów pochodzących z danej uczelni. Kilka polskich uczelni politechnicznych wypada w tym zestawieniu wręcz tragicznie, plasując się na 1, 2, 4, 6, 7 i 9 miejscu od końca.

Otwarte marnowanie pieniędzy

Przewodnicząc licznym komisjom habilitacyjnym, a także recenzując dorobek habilitacyjny, często zadajemy habilitantom pytanie: dlaczego swoje prace opublikowali prawie wyłącznie w oficynie MDPI? Standardowa odpowiedź brzmi: „Zależało mi na tym, aby do moich publikacji był otwarty dostęp”.

Jest to w naszym przekonaniu czyste bajdurzenie, połączone w dodatku z marnowaniem publicznych pieniędzy. W Polsce istnieje świetny program darmowego publikowania otwartego (open access) w ramach licencji Wirtualnej Biblioteki Nauki. Oto odpowiedni link: <https://wbn.icm.edu.pl/publikowanie-otwarte/>. Często publikujemy w czasopismach ACS. Po przyjęciu artykułu do publikacji za każdym razem dostajemy list od p. Barbary Klejny z ICM UW, która koordynuje ten program, z uprzejmym pytaniem, czy jesteśmy zainteresowani opublikowaniem artykułu w formule otwartej i za każdym razem odpowiadamy, że tak. Wniosek jest taki: nie należy marnować publicznych pieniędzy na publikowanie w najgorszej oficynie wydawniczej MDPI, lecz skorzystać raczej z darmowego dla wielu polskich uczelni programu publikowania otwartego w ramach licencji Wirtualnej Biblioteki Nauki.

Nadmierne publikowanie prac w oficynie MDPI wynika po części z faktu, iż ministerstwo co najmniej tak hojnie obdarowało czasopisma wydawane przez to wydawnictwo swoimi punktami jak Ludwik XV markizę de Pompadour, swoją maitresse-en-titre, klejnotami. Spowodowało to pewne pomieszanie w umysłach wielu polskich naukowców. Żądza zdobycia punktów ministerialnych powoduje, że nawet rozsądni badacze, publikujący na ogół rzetelne wyniki doświadczeń lub obliczeń, umieszczają prace w periodykach MDPI, w których duża część artykułów zawiera poważne błędy językowe, redakcyjne oraz merytoryczne. Taka polityka publikacyjna jest de facto samobójcza dla uczelni hurtowo dostarczających artykuły dla czasopism MDPI, gdyż w oczach rzeczywistej elity naukowej degraduje je do poziomu instytucji naukowych o znikomym znaczeniu.

Prof. dr hab. inż. Adam Proń, chemia i inżynieria materiałów oraz chemia polimerów, pracownik Katedry Chemii i Technologii Polimerów Politechniki Warszawskiej

Prof. dr hab. inż. Halina Szatyłowicz, chemia fizyczna, pracownik Zakładu Chemii Fizycznej PW

24 listopada 2022 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne 61 nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: Adam Ryszard Fitas (KUL), Edward Jakiel (UG), Robert Paweł Kotowski (UW), Krzysztof Marek Marchlewicz (UAM)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: Tomasz Piotr Czakiert (PCz), Adam Szczepan Grajcar (PŚ), Stanisław Mroziński (UTP Bydgoszcz), Tadeusz Andrzej Przylibski (PWr), Katarzyna Ewa Zarębska (AGH)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: Paweł Krzysztof Burduk (UMK), Katarzyna Derwich (UMP), Anna Doboszyńska (UWM), Tomasz Maurycy Francuz (SUM), Joanna Gotlib (WUM), Maria Kłopotcka (UMK), Maria Janina Kózka (UJ), Małgorzata Elżbieta Krajnik (UMK), Aldona Bernadeta Kubica (UMK), Artur Ludwin (UJ), Joanna Urszula Majerczak (AWF Poznań), Katarzyna Pawlak-Osińska (UMK), Błażej Rubiś (UMP), Agnieszka Renata Szadkowska (UMŁ), Anna Barbara Szaflarska-Popławska (UMK)

NAUKI ROLNICZE: Monika Barbara Bronkowska (UPWr), Robert Jacek Kupczyński (UPWr), Andrzej Sławomir Pomianowski (UWM), Piotr Siwek (URK), Cezary Andrzej Tkaczuk (UPH Siedlce)

Nowi profesorowie

NAUKI SPOŁECZNE: Agnieszka Anna Bitkowska (PW), Jolanta Maria Chluska (PCz), Ewa Maria Frąckiewicz (USz), Robert Kmiecik (UAM), Tadeusz Jerzy Koniuk (UW), Wojciech Adam Piątek (UAM), Marzena Remlein (UEP), Mirosław Sadowski (UWr)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: Artur Bednarkiewicz (INTiBS PAN Wrocław), Łukasz Paweł Berlicki (PWr), Gabriela Helena Bugla-Płoskońska (UWr), Krystyna Dąbrowska (IIiTD PAN Wrocław), Kinga Elżbieta Góra-Marek (UJ), Jacek Jemielity (UW), Andrzej Zbigniew Macias (UAM), Rajmund Michalski (IPIŚ PAN Zabrze), Magdalena Parlińska-Wojtan (IFJ PAN Kraków), Dariusz Michał Plewczyński (UW), Tomasz Łukasz Ruman (PRz), Sławomira Wiesława Skrzypek (UŁ), Artur Ryszard Stefankiewicz (UAM), Aleksandra Barbara Szydłowska-Czeraniak (UMK), Joanna Helena Śliwowska (UPP), Józef Robert Twardosz (UJ), Marta Tyran-Kamińska (UŚ), Rafał Jakub Wigiłusz (INTiBS PAN Wrocław), Marcin Ziółek (UAM)

NAUKI TEOLOGICZNE: ks. Dariusz Gardocki (AKW)
SZTUKI: Hanna Antonina Jelonek (ASP Warszawa), Dorota Olwen Kołodyńska (ASP Warszawa), Katarzyna Anna Oleś-Błacha (AMuz Kraków), Adam Zdunikowski (AMuz Bydgoszcz)

Marek Wroński

Kolejny plagiat na UŁ

Należy stanowczo zaprotestować przeciwko dobrotliwej ocenie plagiatowania prac dyplomowych przez promotorów i łagodnej polityce karalności prowadzonej przez rzeczników dyscyplinarnych.

Półtora roku temu, w końcu czerwca 2021 r., do dr. hab. Ryszarda Machnikowskiego, dziekana Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ, wpłynął list podpisany przez 16 samodzielnych pracowników naukowych tej jednostki. Z przykrością zawiadamiano, że dwóch profesorów wydziału, kopiując obszerne fragmenty prac dyplomowych swoich studentów, dokonało rażącego naruszenia zasad uczciwości akademickiej oraz rzetelności naukowej. Pierwszym wspomnianym był dr hab. Robert Łoś, prof. UŁ, który do swojej książki pt. *Konflikty w Sudanie*, wydanej przez PWN w 2013 r., przepisał tekst z pracy magisterskiej Roberta Makowskiego pt. *Dwudziestowieczny konflikt w Sudanie*, obronionej na WSMiP w 2009 r. W książce zabrakło podania źródła dokonanego zapożyczenia, mimo że łączna długość przejętego tekstu to ok. 24 strony.

Kiedy porównałem dokładnie oba teksty, stwierdziłem, że wykorzystano ok. 65% tekstu powyższej „magisterki”. Niedawno (*Jak profesor splotował doktoranta*, FA 9/2022) opisałem inny plagiat prof. Łośa. Polegał on na licznych przejściach do jego książki profesorskiej z 2017 r. *Soft power we współczesnych stosunkach międzynarodowych* m.in. fragmentów doktoratu Michała Rulskiego, którego był promotorem.

Z kolei drugim profesorem, o którym wspominało pismo, był dr hab. Jacek Reginia-Zacharski, prof. UŁ. Przepisał on do swojej książki *Rwanda. Wojna i ludobójstwo*, wydanej przez PWN w 2012 r., 53-stronicowy tekst z pracy magisterskiej Marty Kozakiewicz pt. *Organizacja Narodów Zjednoczonych wobec ludobójstwa w Rwandzie w 1994 roku*, obronionej na WSMiP w 2009 r., której był promotorem. Przejęte prawie dosłownie treści stanowiły ponad 35% objętości książki, gdyż zasadniczy jej tekst (bez aneksów), liczył ok. 146 stron. Listowi profesorów towarzyszyła szczegółowa dokumentacja.

Sprawa nowych, dobrze udokumentowanych zarzutów wobec obydwu profesorów stała na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Wydziału na początku lipca 2021 r. Przegłosowano na nim wniosek o wystąpienie do rektor UŁ, prof. Elżbiety Żądzińskiej, o odwołanie dr. hab. Jacka Regini-Zacharskiego z funkcji kierownika Katedry Teorii Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa UŁ. Ten, zabierając głos, stwierdził, że „ze zrozumieniem” przyjął ten wniosek dziekana o swoją dymisję i fakt utraty zaufania w kierownictwie wydziału i wśród kolegów. Robert Łoś był nieobecny. W tajnym głosowaniu 37 członków RW oddało głos „za” odwołaniem, a trzech było przeciwko. Warto wiedzieć, że prof. Reginia-Zacharski był na tym stanowisku następcą prof. R. Łośa, który ustąpił z niego w marcu 2020 r. po wywołanym przez siebie skandalu plagiatowym. Obaj profesorowie od lat

pracowali w tej samej katedrze i byli bliskimi kolegami. Prof. Reginia-Zacharski, podobnie jak prof. Łoś, jest z wykształcenia historykiem, doktoryzował się w grudniu 2000 r. na podstawie dysertacji *Sprawa ukraińska w polityce Wielkiej Brytanii w latach 1917-1923*. Habilitował się zaś na UMCS w Lublinie na podstawie dorobku i monografii pt. *Wojna w świecie współczesnym. Uczestnicy – cele – modele – teorie*. Pełnił na swoim wydziale funkcję prodziekana ds. nauczania.

Kroki dyscyplinarne

W połowie lipca 2021 r. dziekan Machnikowski poprosił rektor Żądzińską o wszczęcie kroków dyscyplinarnych, a z początkiem roku akademickiego J. Reginia-Zacharski przestał być kierownikiem katedry. Rzecznikiem dyscyplinarnym został dr hab. Józef Jagieła, prof. UŁ, z II Katedry Postępowania Cywilnego. Wszczął on postępowanie wyjaśniające wobec Jacka Regini-Zacharskiego w sierpniu 2021 roku, zaś 24 stycznia 2022 r. złożył wniosek dyscyplinarny do UKD o ukaranie naganą i obniżeniem uposażenia o 25% na okres dwóch lat. Zarzuty przejścia kilkudziesięciu stron prawie in extenso z pracy magisterskiej M. Kozakiewicz (na stronach 26–32, 34–40, 54–82) zostały potwierdzone. Obwiniony nie przyznał się jednak do winy i wyjaśnił, że fragmenty z pracy magisterskiej przy przesyłaniu jej przez magistrantkę emailom musiały mu „się zaplątać” między jego własne materiały i „nieświadomie” wkomponował je w książkę. Rzecznik odrzucił takie wyjaśnienie, gdyż teksty mają ślady poprawek i wtrąceń, a mimo że odpowiednie zapisy bibliograficzne zostały sprytnie poprawione, to przywoływane pozycje są takie same, jak w pracy magisterskiej. Przejęte do książki fragmenty mają długość od kilku zdań do wielu stron. Rzecznik prof. Jagieła uznał, że kara nagany dla prof. Regini-Zacharskiego „jest adekwatna”.

Nie zgadzam się z tą oceną, bowiem dotyczy ona jaskrawego przypadku profesorskiej kradzieży intelektualnej z dorobku magistrantki. Należy stanowczo zaprotestować przeciwko takiej „dobrotliwej” ocenie plagiatowania prac dyplomowych przez promotorów i łagodnej polityce karalności, prowadzonej przez rzeczników dyscyplinarnych. Uderza to w poczucie sprawiedliwości akademickiej i nie odstrasza kolejnych naśladowców przed okradaniem magistrantów i doktorantów, powodując korupcję naukową kadry akademickiej. Szczególnie negatywnie takie sytuacje wpływają na morale młodych naukowców zaczynających karierę.

Szkokującym dla wielu pracowników UŁ był fakt, że już po dwóch miesiącach od wykrycia i upublicznienia plagiatu

na wydziale i wobec władz rektorskich dr hab. Jacek Reginia-Zacharski z początkiem września 2021 r. został powołany na stanowisko dyrektora Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej MSZ. Co więcej, dalsze dwa miesiące później minister spraw zagranicznych Zbigniew Rau, wieloletni profesor UŁ, delegował J. Reginię-Zacharskiego do Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej (NAWA). Rada, której przewodniczącym jest prof. Tomasz Pietrzykowski, prorektor Uniwersytetu Śląskiego, przydziela granty zarówno zagranicznym profesorom na przyjazdy na pobyty naukowe do Polski, jak również finansuje wyjazdy zagraniczne polskich naukowców na pobyty i staże naukowe w najlepszych uniwersytetach w Europie i Ameryce. Jest to jedna z ważnych wizytówek naukowych naszego kraju. Obecność plagiatorów w Radzie NAWA nie dodaje prestiżu tej instytucji i naszemu krajowi, a w oczach zachodnich naukowców zapewne ją kompromituje. Władze rektorskie UŁ nie poinformowały o fakcie plagiatu ministra Zbigniewa Raua.

Rozprawa dyscyplinarna

Pierwsza rozprawa dyscyplinarna dr hab. Jacka Reginia-Zacharskiego odbyła się dopiero 13 lipca 2022 r. Przewodniczył jej dr hab. Dariusz Strzelec, prof. UŁ, z Katedry Prawa Podatkowego, obecny przewodniczący Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej (UKD). W skład Zespołu Orzekającego weszli jeszcze: prof. dr hab. Jerzy Bańbura z Katedry Zoologii Doświadczalnej i Biologii Ewolucyjnej oraz student ostatniego roku geografii Kamil Dobrowolski. Na kolejnej rozprawie, która odbyła się 20 października 2022 r., zeznawała była magistrantka Marta Kozakiewicz, która apelowała, aby jej byłego promotora surowo nie karać, gdyż przyznał się jej i przeprosił. Oświadczyła też, że pracę pisała samodzielnie, a w początkowej fazie opracowania tematu opierała się na źródłach francuskich, których w końcowej bibliografii było tylko kilka. Sama zebrała całą bibliografię, którą z angielskiego tłumaczyła samodzielnie. Stwierdziła, że skopiowano 70% jej pracy magisterskiej i ten plagiat przypadkowo odkrył dr hab. Maciej Potz z WSMiP UŁ. W czasie rozprawy prof. Reginia-Zacharski otwarcie insynuował, że przedstawiony jako „dowód” tekst pracy magisterskiej został podstawiony i nie jest oryginalnym tekstem M. Kozakiewicz, czego nie kwestionował w czasie postępowania wyjaśniającego. W odpowiedzi Komisja Dyscyplinarna podkreśliła, że w aktach sprawy jest oryginalny egzemplarz pracy z odręcznym podpisem promotora. Obwiniony został ukarany naganą i dwuletnim obniżeniem uposażenia o 25%. Orzeczenie nie jest prawomocne.

Kolejna dyscyplinarka dr. hab. R. Łosia

Drugie naruszenie prawa autorskiego przez Roberta Łosia wyszło na jaw w czerwcu 2021 r., o czym wspominałem na początku artykułu. Rozpoczęte postępowanie wyjaśniające zostało zawieszono przez rzecznika dyscyplinarnego prof. Józefa Jagiełłę 17 stycznia 2022 r. Powodem było to, iż Robert Łoś od 1 października 2021 r. poszedł na roczny urlop zdrowotny. Moim zdaniem zawieszenie postępowania było niepotrzebne i niewskazane, gdyż urlop zdrowotny nie jest równoznaczny ze zwolnieniem lekarskim, ale jest czasem wolnym od pracy zawodowej, przeznaczonym na podreperowanie zdrowia i ucieczkę od codziennego stresu zajęć. Nie ma formalnych przeszkód, aby w tym okresie zakończyć postępowanie, które było już trzecim na skutek zarzutów plagiatu w publikacjach prof. Łosia. W interesie uczelni jest prowadzenie takich spraw rzetelnie, sprawnie i bez przeciągania w czasie. Z początkiem roku akademickiego 2022/2023 Robert Łoś powrócił do pracy na uczelni. Kroki dyscyplinarne zostały wznowione i zapewne dwie niezakończone sprawy zostaną połączone.

Sprawa karna prof. Łosia

Wypełniając obowiązek ustawowy i prawny, ówczesny rektor UŁ prof. Antoni Różalski powiadomił Prokuraturę Rejonową Łódź-Śródmieście o podejrzeniu przestępstwa plagiatu w książce profesorskiej Roberta Łosia, w której autor przejął liczne fragmenty z doktoratu Michała Rulskiego oraz innych autorów. Prokuratura wszczęła śledztwo.

O ile mi wiadomo, żadna z osób poszkodowanych przez R. Łosia nie została przez prokuraturę powiadomiona o zakończeniu postępowania. Wniosek prokuratora z 29 września 2020 r. o warunkowe umorzenie sprawy wpłynął do VI Wydziału Karnego (przewodniczący SSR Jacek Golmont) Sądu Rejonowego Łódź-Śródmieście i otrzymał sygnaturę VI K 852/20. Wbrew obowiązującemu prawu Sekretariat VI Wydziału Karnego nie powiadomił o terminie rozprawy siedmiu poszkodowanych osób, mieszkających w różnych miastach Polski. Natomiast 7 stycznia 2021 r. w Internecie ukazało się ogłoszenie sądowe o treści „Sąd Rejonowy dla Łodzi-Śródmieścia w Łodzi VI Wydział Karny zawiadamia: Agatę Włodkowską-Bagan, Agatę Ziętek, Dorotę Miłoszewską, Roberta Potockiego, Michała Rulskiego, Marcina Klenowskiego i Kamila Glinka jako pokrzywdzonych, że posiedzenie w przedmiocie warunkowego umorzenia postępowania w sprawie przeciwko: oskarżonemu Robertowi Łoś, oskarżonego o czyn z: art. 115 ust. 1 Autorskie prawo, odbędzie się dnia 9 marca 2021 r. o godz. 11.15 w Sądzie Rejonowym dla Łodzi-Śródmieścia w Łodzi przy al. Kościuszki 107/109 w sali nr 421”. Takich ogłoszeń sądowych przecież się nie śledzi,



stąd nikt z pokrzywdzonych nie zgłosił się na rozprawę i nie zakwestionował wniosku prokuratury o umorzenie. Faktycznie zatem sąd i prowadzący rozprawę sędzia Andrzej Klimczak spowodowali, że pokrzywdzeni, nie wiedząc o rozprawie, nie mogli brać w niej udziału i zostać oskarżycielami posiłkowymi oraz mieć możliwość zaskarżenia wyroku.

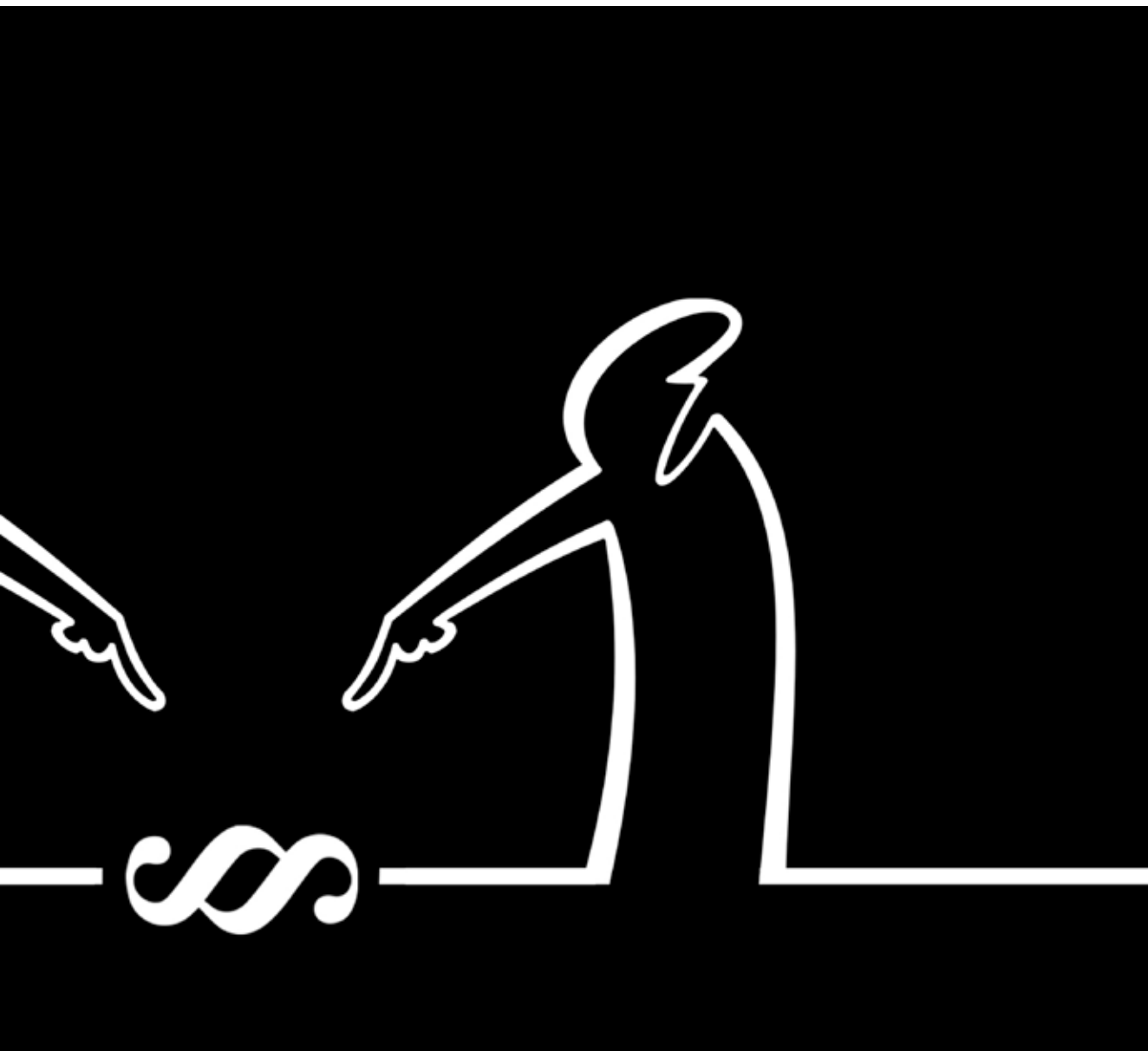
Jak mnie poinformował mecenas dr Jakub Żurek z Wrocławia, możliwość takiego ogłoszenia przewiduje wprawdzie art. 131 par. 2 kpk, ale jest to wyjątek, więc powinien być zastosowany wyłącznie w nadzwyczajnych okolicznościach. W komentarzu prawniczym do tego artykułu napisano: „Trudno przyjąć, aby poważne trudności sprawiało zawiadomienie kilkuset czy nawet kilkudziesięciu pokrzywdzonych. Pamiętać przy tym należy, iż przepis wprowadza wyjątek od zasady doręczenia każdemu z pokrzywdzonych zawiadomienia w sposób indywidualny, a tym samym nie powinien być wykładany rozszerzająco. Kryterium oceny w tym zakresie są nie tyle trudności, co poważne trudności w prowadzeniu postępowania. Znaczenie ma przy tym wyłącznie liczba ustalonych pokrzywdzonych, a nie inne okoliczności, jak np. pochodzenie ich z zagranicy. Kryterium liczby ujawnionych pokrzywdzonych należy oceniać w odniesieniu do konkretnego postępowania, ale przyjmując, iż liczba tych osób powinna przynajmniej przekroczyć 100, aby zasadne było stwierdzenie poważnego utrudnienia w indywidualnym zawiadomieniu. Komentowany przepis ma przy tym zastosowanie zarówno w postępowaniu przygotowawczym, jak i sądowym” (Dr Dariusz Drajewicz (red.),

Kodeks postępowania karnego. Tom I. Komentarz. Art. 1-424, Warszawa 2020).

Do chwili obecnej, żadna z osób pokrzywdzonych nie poznała wyroku. Natomiast wszyscy otrzymali przekaz od R. Łosia na sumę 200 zł jako nawiązkę zasądzoną przez sąd. Z informacji otrzymanej od rzeczownika prasowego SO w Łodzi wynika, że sędzia Klimczak warunkowo umorzył postępowanie karne wobec oskarżonego na okres jednego roku próby. Na podstawie art. 67 § 3 kodeksu karnego sąd orzekł od oskarżonego Roberta Łosia nawiązki na rzecz pokrzywdzonych oraz obciążył go kosztami postępowania. Wyrok jest prawomocny.

Z kolei postępowanie karne prowadzone przez Prokuraturę Rejonową Łódź-Śródmieście w związku z zarzutem naruszenia przez prof. Roberta Łosia praw autorskich jego magistranta z 2009 r., mgr Roberta Makowskiego (praca dyplomowa *Dwudziestowieczny konflikt w Sudanie*) w wydanej w roku 2013 przez PWN książce *Konflikty w Sudanie* zostało umorzone z mocy prawa z powodu 5-letniego okresu przedawnienia. Stało się tak, mimo że aż 67% tekstu pracy magisterskiej zostało przepisane do książki bez żadnego odniesienia. Powstała w ten sposób główna część książki, a przejęte fragmenty pokrywają strony od 37 do 142, czyli rozdziały 2, 3 oraz 4. Książka powinna być formalnie retraktowana (unieważniona) przez wydawnictwo, zaś uzyskanie tego jest obowiązkiem władz uczelni.

Robert Łoś, proszony o komentarz, odpisał m.in.: „Lepiej nie wyrokować jednostronnie, nie znając całokształtu sprawy, również związanej z działalnością WSMiP. W sprawie jest tyle



niejasności, że jedyne co uzyskałem w obu sprawach w sądzie i prokuraturze to umorzenie sprawy”.

Nie dziwi mnie to wszystko, bo dla wielu prokuratorów plagiat naukowy to przestępstwo o niskiej szkodliwości społecznej. Ściganie karne naruszenia praw autorskich z urzędu przedawnia się po 5 latach od popełnienia, czyli praktycznie od wydrukowania splotowanego tekstu. Stąd postępowania prokuratorskie dotyczące wszelkich starszych niż 5 lat naruszeń prawa autorskiego są umarzane automatycznie z mocy prawa. Dotyczy to zarówno kolejnego plagiatu prof. Roberta Łosia, jak również plagiatu książki prof. Jacka Regini-Zacharskiego. Dlatego taka ważna jest rola „akademickiej Temidy”, którą nowe przepisy prawa o szkolnictwie wyższym z 2018 r. bardzo spowolniły i praktycznie wyjęły spod kontroli społecznej. Większość akademickich rzeczników dyscyplinarnych ma „gołębie serca” i uważa, że już „pogroźenie palcem”, jakim jest nagana, to wystarczająca kara dla plagiatora.

Plagiat adiunkta

Dość często nadmierna ambicja nie jest powiązana z pracowitością i kroczy przed upadkiem. Maciej Paszyn od 2018 r. jest adiunktem Katedry Teorii Historii i Stosunków Międzynarodowych UŁ (kierownik: Radosław Bania, prof. UŁ). Z wykształcenia historyk (magisterium na UŁ w 1995 r.), doktorat na temat *Reformy józefińskie w świetle relacji prasy polskiej okresu stanisławowskiego* (promotor: prof. Jerzy Grobis) obronił w 2001 r. W 2016 r. Wydawnictwo UŁ wydało jego doktorat drukiem. Od 2005 r. przez 13 lat pracował w Katedrze Badań Niemcoznawczych (kierownik: prof. Krzysztof A. Kuczyński), która została rozwiązana w wyniku wejścia przepisów antynepotycznych (z powodu zatrudniania ojca jako kierownika, syna i synowej jako podwładnych!).

W gorących dniach końca kwietnia 2019 r., kiedy wygasaly dotychczasowe przepisy awansowe i złożono ponad 5 tysięcy wniosków habilitacyjnych, także dr M. Paszyn złożył swój do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Przedstawił tam jako główne osiągnięcie naukowe monografią *OPEC – Organizacja Państw Eksporterów Ropy Naftowej – znaczący gracz globalny czy regionalny monopolista*, którą jakoby wydało Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego. Książki nie ma do dzisiaj, a samo wydawnictwo na początku września 2019 r. energicznie zaprzeczyło, aby przyjmowało taki maszynopis do druku. Po wyjściu tego na jaw wniosek habilitacyjny został cofnięty.

Kiedy pod koniec lata 2019 r. jeden z profesorów uczelnianych wydziału, dr hab. Grzegorz Bywalec, zaczął przeglądać dorobek dr. Paszyna i kilka jego publikacji na chybił trafił sprawdził systemem antyplagiatowym, okazało się, że wszystkie są „trafione”. Każda z czterech prac zawierała liczne przejęcia. Sprawa stanęła we wrześniu na posiedzeniu wydziałowej Komisji Nauki i w rezultacie ówczesny prodziekan ds. nauki R. Machnikowski powiadomił o plagiatach ówczesnego dziekana dr. hab. Radosława Banię, prof. UŁ. Ten dwa dni później, 20 września 2019 r., przekazał komplet dokumentów dotyczący zarzutu przywłaszczenia autorstwa w czterech publikacjach rektorowi Różalskiemu. Rektor po pięciu dniach polecił rzecznikowi dyscyplinarnemu dr. hab. Jackowi Izydorczykowi, prof. UŁ, z Zakładu Postępowania Karnego wszczęcie postępowania wyjaśniającego. Rzecznik po otrzymaniu dodatkowych, szczegółowych dokumentów, formalnie wszczął postępowanie 11 grudnia 2019 r. Maciej Paszyn był przesłuchiwany w końcu stycznia 2020 r. i przyznał się do naruszenia praw autorskich w artykule dostępnym w Internecie pt. *Państwa OPEC w regionie Zatoki Perskiej wobec problemu zbrojeń i bezpieczeństwa regionalnego – wybrane aspekty, wydrukowanym w czasopiśmie „Studia Bezpieczeństwa Narodowego”, 2013, 4, (1), str. 301–318.*

Wniosek o sprawiedliwą karę za plagiat

Prof. Jacek Izydorczyk 9 czerwca 2020 r. złożył do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego (RGNiSW) w Warszawie wniosek dyscyplinarny o ukaranie dr. M. Paszyna. Zażądał kary wydalenia z pracy na uczelni, uzasadniając, że jest to kara adekwatna, sprawiedliwa i wręcz najłagodniejsza z katalogu kar, które można zastosować wobec nauczyciela akademickiego popełniającego plagiat. Podkreślił, że jest to czyn bezprawny, zawiniony i jawnie karygodny. Stwierdził, że aczkolwiek dr Maciej Paszyn przyznał się i wyraził żal, to trzeba brać pod uwagę okoliczności, które towarzyszą popełnieniu plagiatu, czyli nasilenie złej woli sprawcy, uporczywość jego zachowania i fakt, że jest to kwalifikowana postać oszustwa. Jest to także najpoważniejszy delikt dyscyplinarny, jakiego może się dopuścić nauczyciel akademicki.

Jednak moim zdaniem, błędem rzecznika było to, że we wniosku dyscyplinarnym zarzucił dr. Paszynowi tylko jeden plagiat, zamiast opisać wszystkie odkryte naruszenia praw autorskich w czterech jego artykułach. Pokazały to Komisji Dyscyplinarnej, że to nie jest pojedyncza aberracja, ale swoista „technika pracy naukowej”.

Musiały upłynąć ponad dwa lata od złożenia wniosku, żeby w Warszawie tamtejsza Komisja Dyscyplinarna przy RGNiSW wydała orzeczenie dyscyplinarne. W międzyczasie, w semestrze letnim roku akademickiego 2021/2022, dr Paszyn nie przeszedł pozytywnej oceny pracowniczej na wydziale i w czerwcu 2022 r. rektor Elżbieta Żądzińska podpisała zwolnienie go z pracy. Niestety Dział Spraw Pracowniczych (dyrektor: mgr Małgorzata Wróblewska) wysłał wypowiedzenie listownie, zamiast przekazać je dziekanowi wydziału w celu osobistego wręczenia wieloletniemu pracownikowi uniwersytetu. Nawet w takich przykrych wypadkach powinny zostać zachowane zasady kurtuazji akademickiej. Dr Paszyn nie odebrał listu poleconego, co spowodowało, że decyzja rektora o wypowiedzeniu umowy o pracę nie została skutecznie doręczona z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Z tego powodu, zgodnie z prawem, następny dzień wypowiedzenia przypada na koniec semestru zimowego, czyli 28 lutego 2023 r. Do tego dnia dr Paszyn ma pracę. W październiku 2022 r. dziekan Machnikowski w końcu osobiście wręczył wypowiedzenie. Jednak nie jest to pożądana sytuacja, kiedy uczelnia uważa, że nic się nie stało, zaś plagiator nadal będzie prowadził zajęcia ze studentami. Czy ma to być przykład do naśladowania?

Rozprawa dyscyplinarna odbyła się pod koniec października br. Zespołowi Orzekającemu Komisji Dyscyplinarnej RGNiSW przewodniczyła prof. dr hab. n. med. Agnieszka Ziółkowska z Katedry Anatomii i Histologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Orzeczeniem z 16 listopada 2022 r. dr. Macieja Paszyna ukarano naganą z 15% obniżeniem uposażenia na rok. Zadziwiła mnie ta łagodna kara. Redakcja nie otrzymała jeszcze uzasadnienia, dlatego skomentujemy tę sprawę w jednym z następnych odcinków „Archiwum Nieuczciwości Naukowej”.

Profesorowi Jackowi Izydorczykowi chciałbym podziękować publicznie za pryncypialną postawę i obronę rzetelności naukowej na Uniwersytecie Łódzkim. I nie tylko.

Komentarz

Czy naprawdę żyjemy w czasach, kiedy plagiaty nie hańbią? Czy mamy takie braki kadrowe, że należy powoływać plagiatorów na wysokie stanowiska państwowe? Czy środowisko akademickie i rektorzy są „ślepi i głusi” na drastyczne nadużycia etyczne? Przecież one nie tylko naruszają wizerunek i prestiż samego uniwersytetu, ale szkodzą też Rzeczypospolitej.

Marekwo@gmail.com

Zbigniew Drozdowicz

Akademickie pomaganie

Interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat wspierania przez uczniów swoich mistrzów może być kreowanie przez nich pozytywnych wizerunków tych, którym coś zawdzięczają.

Tradycje akademickiego pomagania sięgają czasów starożytnych i łączą się z pojawieniem się szkół filozoficznych. Powstanie pierwszych uniwersytetów oznaczało nie tylko zmianę jego form, ale także generalnego celu – z doczesnego na nadprzyrodzony, bowiem uczelnie te miały charakter wyznaniowy i zachowywały go do połowy XIX w. Na fali ówczesnego antyklerykalizmu pojawiły się próby całkowitego oddzielenia naukowości od wyznaniowości oraz związanych z tym form pomagania.

Mistrzowie pomagają uczniom

Pomaganie uczniom (studentom) przez akademickich mistrzów (nauczycieli) na przestrzeni wieków przybierało różne formy. Jednak dwie z nich zyskały stosunkowo najszerze uznanie i zastosowanie. Pierwszą jest forma dialogiczna lub też – co na to samo wychodzi – sokratyczna. W czasach starożytnych jednym z jej największych mistrzów był Sokrates. Polegała ona na stawianiu uczniom takich pytań, aby odpowiedzi krok po kroku doprowadziły ich do prawdy znanej mistrzowi. Próbowali ją stosować niektórzy teolodzy chrześcijańscy. Jednak poważne utrudnienie stanowiło zarówno to, że liczniejsze niż w czasach Sokratesa stało się grono uczniów, jak i to, że nauczanie odbywało się po łacinie, a biegłe opanowanie tego języka było udziałem wielu mistrzów, ale stosunkowo niewielu uczniów. W efekcie metoda dialogiczna niejednokrotnie przegrywała konkurencję z metodą, którą w uproszczeniu można nazwać „ambonałną”. Charakteryzuje się ona tym, że mistrzowie mówią, a uczniowie z pokorą wysłuchują ich mowy, a w każdym razie nie stawiają pytań, na które trudno byłoby im znaleźć odpowiedź.

Jednym uczniom to odpowiadało, natomiast inni zgłaszali różnego rodzaju obiekcje, a im większe były ich wiedza i umiejętności, tym łatwiej im przychodziło dostrzeganie słabych stron zarówno metody „ambonałnej”, jak i stosujących ją mistrzów. Przewodziło to niejednokrotnie do „iskrzenia” na liniach mistrz – uczeń i mistrz – mistrz. Znalazło to wyraz m.in. w *Pochwale głupoty* Erazma z Rotterdamu. Jej autor bardzo surowo ocenia m.in. akademickich mistrzów scholastyki i ten sposób nauczania. Natomiast w czasach nam bliższych wyrazem „iskrzenia” były m.in. spory Thomasa H. Huxleya (nazywanego „buldogiem Darwina”) z akademickimi obrońcami poglądu, że człowiek pochodzi nie od małpy, lecz jest dziełem Boga. To, że miały one tak różny finał, pokazuje, jak bardzo zmieniły się realia akademickiego życia.

Nie oznacza to, że dzisiaj nie ma już miejsca w życiu akademickim dla „ambonałnego” sposobu pomagania. Jednak w większym stopniu niż w przeszłości oczekuje się od studentów nie tylko samokrytycyzmu, który pozwoli im dostrzec braki w wie-

dzy i umiejętnościach, ale także krytycyzmu, który pomoże znaleźć niedoskonałości w tym, czego i w jaki sposób są nauczani. O to jednak studentom niełatwo. Stanowią oni bowiem dzisiaj grupę mocno zróżnicowaną zarówno pod względem posiadanych kwalifikacji, jak i filozofii akademickiego życia i współżycia z innymi. Są w tym gronie osoby o dosyć przeciętnych uzdolnieniach, skłonne wyznawać zasadę: im większą pokorę okazuje się wobec mistrzów, tym większa szansa dotrwania do szczęśliwego finału, jakim jest ukończenie studiów i otrzymanie statusu dyplomowanego specjalisty. Są w tym gronie również studenci o ponadprzeciętnych uzdolnieniach, którzy jednak oportunistycznie uważają, że „nie warto się kopać z koniem”. Warto natomiast robić swoje, dzięki czemu prędzej lub później wyjdzie się na swoje. Czy mają prawo tak myśleć? To zależy od wielu towarzyszących studiowaniu okoliczności, w tym takich, na które nie mają większego wpływu. Zapewne na niejednym spotkaniu koleżeńskim absolwentów wspomina się z rozręzieniem akademickich nauczycieli, którzy na egzaminach rozpaczliwie poszukiwali pytań, na które student byłby w stanie udzielić w miarę poprawnej odpowiedzi. Natomiast ze zgrozą mówi się o tych nie aż tak wspaniałomyślnych, którzy uważali, że uczelnia to jednak nie instytucja charytatywna, lekką ręką rozdająca dyplomy.

Przez wiele lat akademickiego kształcenia należałem do wymagających nauczycieli. Jednak w miarę upływu czasu coraz bardziej traciłem wiarę w to, że przy masowym kształceniu można wymagać od każdego studenta poważnego traktowania studiów, a przynajmniej niekompromitowania się na egzaminach swoją niewiedzą.

Uczniowie pomagają mistrzom

Tradycje tego pomagania również sięgają czasów pierwszych starożytnych szkół filozoficznych. Jedną z nich była szkoła sofistyczna. W młodości pobierał tam nauki m.in. Sokrates, jednak rozstał się z jej nauczycielami, bowiem wymagali od uczniów opłat za świadczone usługi edukacyjne. Później zresztą wystawili sobie również nie najlepsze świadectwo, przekształcając sofistykę w erystykę, tj. sztukę nadawania fałszom pozorów prawdy. Dzisiaj ta sztuka cieszy się sporym wzięciem nie tyle nawet u akademickich mistrzów, co u „mistrzów” polityki informacyjnej, która opiera się na założeniu, że „naród głupi wszystko kupi”. Jednak gdzieś tego musieli się nauczyć. Sporą historyczną karierę zrobiło również pomaganie akademickim mistrzom poprzez opłacanie ich edukacyjnych usług. Rzecz jasna ono również przybierało różne formy, w tym takie, które dzisiaj mogą wywoływać zdziwienie lub rozbawienie. Jacques Le Goff w *Inteligencji w wie-*

kach średnich przypomina, że w XIII wieku „dążeniem profesorów jest żyć z pieniędzy wpłacanych przez studentów. (...) Sprzedają wiedzę i nauczanie, jak rzemieślnicy sprzedają swe wyroby”. Powołuje się przy tym na dokument uniwersytetu w Padwie z 1382 r., w którym znajduje się zapis, że „doktor, który w imieniu kolegium podczas przyjmowania studenta wygłosi mowę stanowiącą odpowiedź, otrzyma od tego studenta w zamian za swoją pracę cztery funty tkaniny i cztery flaszki wina albo jednego dukata”. Od tamtego czasu zmieniały się wprawdzie stawki za akademickie usługi edukacyjne, jednak można mieć wątpliwości, czy stały się one dużo korzystniejsze dla studentów. Gdyby tak było, skąd wzięło by się tak wielkie zadłużenie studentów amerykańskich uczelni, że jednym z pierwszych kroków Joego Bidena po objęciu prezydenckiego urzędu było wydanie rozporządzenia o jego częściowym umorzeniu? Nawet w krajach, gdzie formalnie kształcenie w uczelniach publicznych jest bezpłatne, oczekuje się od studentów dużo więcej niż „zaszczytowania” od czasu do czasu akademickich nauczycieli obecnością na wykładach i pokrycia kosztów ich bytowania (niejednokrotnie z kieszeni rodziców).

Interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat wspierania mistrzów przez uczniów może być kreowanie przez nich pozytywnych wizerunków tych, którym coś zawdzięczają. Dobrym przykładem jest Platon. W licznych pismach przedstawiał on Sokratesa jako filozofa, który powinien być uznany za mistrza dla wszystkich innych mistrzów sztuki filozoficznego myślenia, mówienia i uczenia. Pod takim obrazem trudno było się podpisać nie tylko tym, którzy mieli odmienne zdanie na temat osiągnięć Sokratesa i jego bezpośredniego ucznia Platona, ale także tym, którzy wprawdzie obu wysoko oceniali, jednak nie na tyle, aby nie zgłaszać żadnych zastrzeżeń i nie proponować własnych rozwiązań filozoficznych problemów. Przykładem może być tutaj Georg W.F. Hegel. W *Wykładach z historii filozofii*, wygłaszanych na uniwersytecie berlińskim w pierwszych latach XIX w., przedstawiał Sokratesa jako „postać posagową”, łączącą w sobie – niczym „w jednej bryle” – takie cnoty, jak „mądrość, skromność, wstrzemięźliwość, umiar, sprawiedliwość, dzielność, niezłomność i niezmienną prawość”. Miały one mu zapewnić miejsce w gronie wielkich mistrzów sztuki filozoficznego myślenia i mówienia. Jednak miano największego z nich zarezerwował Hegel dla siebie. Trzeba przy tym powiedzieć, że nie tylko sam uznawał się za największego mistrza filozoficznego fachu, uznawali go za takiego również ci, którzy licznie przychodzili na jego berlińskie wykłady (mimo że był raczej marnym mówcą). Później okazało się, że jednak różnie interpretowali jego wypowiedzi i w swoim filozofowaniu poszli istotnie różniącymi się drogami.

Przypominam o tym nie po to, aby uzalać się nad losem wielkiego formatu akademickich mistrzów, lecz po to, aby zachęcić do bardziej krytycznego myślenia tych, którzy z uporem trzymają się wskazań swoich mistrzów i z oburzeniem reagują na jakiegokolwiek próby kwestionowania ich wielkości. Zapewne nie tylko ja spotkałem się w swoim akademickim życiu z mało krytycznymi uczniami. O niejednym z nich mogę z dużym przekonaniem powiedzieć, że wykazywali się wprawdzie sporym zaangażowaniem w obronę tzw. dobrego imienia swojego mistrza, jednak ich własne osiągnięcia badawcze były raczej przeciętne. Nie wystawia to dobrego świadectwa nie tylko im, ale także ich mistrzom, którzy nie potrafili nauczyć samodzielnego myślenia. Odpowiedź na pytanie, dlaczego otaczają się takimi przeciętniakami i pochlebami, nie może być jednoznaczna. Można jednak powiedzieć, że nawet najwięksi mistrzowie akademicy niejednokrotnie źle znoszą krytykę swoich osiągnięć i wolą mieć uczniów, którzy im przytakują, niż takich, którzy kwestionują zasadność tego, co mówią i robią w akademickim życiu. Jest to rzecz ludzka. Jednak bardziej szkodząca niż pomagająca w dochodzeniu do samodzielnego myślenia i osiągania znaczących wyników badawczych.

Mistrzowie pomagają mistrzom

Być może na taką pomoc stosunkowo najtrudniej się zdobyć różnego formatu akademickim mistrzom. W każdym razie można znaleźć przykłady raczej utrudniania niż ułatwiania życia jednym mistrzom przez innych. Niektóre z nich przeszły zresztą do historii. Jednym z najgłośniejszych była „sprawa kopernikańska” i zderzenie się w niej stanowisk Galileusza, matematyka i astronoma, zwolennika teorii kopernikańskiej, oraz jej przeciwnika, kardynała i astronoma Roberta Bellarmina (od 1930 r. katolicki święty). Wiadomo jak się ona zakończyła w 1633 r. To, że w 1939 r. papież Pius XII nazwał Galileusza „jednym z najodważniejszych bohaterów badań”, a jego rodzima uczelnia (Uniwersytet w Padwie) wystawiła mu na dziedzińcu pamiątkową tablicę, nie zmienia faktu, że wielkim mistrzom łatwiej przychodzi utrudnianie niż ułatwianie życia innym mistrzom. W każdym przypadku takie konfrontacje przebiegały jednak nieco inaczej i miały różne finały. W starciu dwóch wielkich fizyków XVII w., Izaaka Newtona i Roberta Hooke’a, szala zwycięstwa przechylała się najpierw na stronę tego drugiego. Jednak z czasem zaczęła się przechylać na stronę Newtona, a w momencie, gdy stał się on decydem w Royal Society, doprowadził do wyzerowania pozycji oponenta w tym prestiżowym towarzystwie naukowym. Frank E. Manuel w biografii Newtona podsumował finał tej konfrontacji stwierdzeniem: „niczym w stadzie zwierząt, tylko jeden z nich mógł być przywódcą”. Brzmi to nieco w stylu orwellowskim.

Skłonnny jestem zaryzykować twierdzenie, że na przestrzeni wieków życie akademickie zmieniło się na tyle, że rzadko już przypomina „folwark zwierzęcy”. Nie można jednak powiedzieć, że obecnie naukowci mistrzowie nie potrafią niemal wyzerować osiągnięć konkurenta. Zdarza się to być może rzadziej niż w przeszłości, a już na pewno częściej to zerowanie dokonuje się w tzw. białych rękawiczkach. Dobrym przykładem może być polemika między dwoma laureatami Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, Albertem Einsteinem i Maxem Bornem. Ten pierwszy miał zresztą znacznie liczniejsze grono krytyków i źle znosił krytyki, zwłaszcza w okresie, w którym – jak napisali jego biografowie Roger Highfield i Paul Carter – niczym „kapłan w świątyni” rozdzielał wyrazy uznania oraz jego braku. Z tego okresu pochodzi jego list do bliskiego współpracownika Leopolda Infelda, w którym stwierdził, że ówczesni fizycy uważali go za starego durnia. Dodał jednak przy tym, że „w przyszłości fizyka nie będzie rozwijać się tą drogą, co obecnie”.

Miał sporo racji, bowiem dzisiaj nie tylko fizyka, ale także inne nauki przyrodnicze w większym stopniu niż w przeszłości bazują na pracy zespołowej niż indywidualnej. Zespoły składają się niejednokrotnie nie tylko z wysokiej klasy specjalistów w swojej dyscyplinie, ale także z osobowości, którym niełatwo ze sobą współpracować. Jeśli jednak chcą osiągnąć autentyczny sukces w pracy badawczej, to muszą nie tylko jakoś uporać się ze swoim wybujałym *ego*, ale także nie za bardzo przejmować się cechami naukowych kooperantów, które sprawiają, że trudno ich polubić, a czasami nawet utrzymywać z nimi w miarę poprawne stosunki towarzyskie. Spotkałem się z tezą, że najtrudniejsze do pokonania linie podziału między naukowymi mistrzami wyznaczają różnice pokoleniowe. Zapewne coś w tym jest. Można znaleźć niejednego przykład sytuacji, w której stary mistrz z obawą spogląda na wspinanie się po szczeblach akademickiej kariery młodego mistrza, a ten z niecierpliwością czeka na zwolnienie mu miejsca w akademickiej hierarchii przez starego. Można jednak również znaleźć przykłady zantagonizowanych mistrzów w podobnym wieku, którzy o oponente nie chcą lub nie potrafią powiedzieć niczego dobrego, ale wiele złego już tak i to chętnie.

Czytelnia czasopism

Wykorzystana szansa

Nie od dziś wiadomo, że w grupie jest siła. Praktyczne potwierdzenie tego powiedzenia znaleźć można w Poznaniu. Tamtejszy Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, miał bowiem udział w powołaniu do życia, wraz z uczelniami z innych krajów: Niemiec, Holandii, Grecji, Austrii, Danii i Francji, konsorcjum EPICUR (European Partnership for an Innovative Campus Unifying Regions). Ideą przyświecającą wszystkim jego założycielom było stworzenia miejsca, gdzie każdy, czy to student, doktorant, czy pracownik naukowy będzie mógł poszerzać swoją wiedzę oraz umiejętności niezależnie od „narodowości, języka ojczystego, pochodzenia kulturowego lub społeczno-ekonomicznego”, bez przeszkód związanych z obszarem mobilności. W ramach przedsięwzięcia zainicjowało działalność sześć grup zadaniowych, które objęły swoim zasięgiem takie obszary, jak zarządzanie projektem, promowanie wielojęzyczności, nowoczesne metody kształcenia, jak też określanie



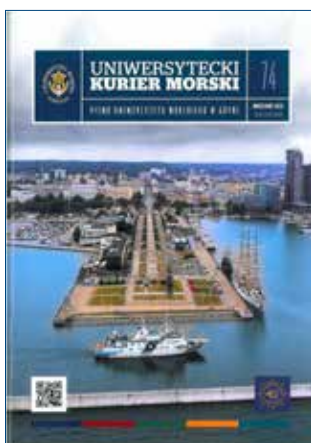
wytycznych niezbędnych do powstania kampusu międzyuniwersyteckiego, czy wreszcie zintensyfikowanie współpracy międzyregionalnej oraz popularyzacja rezultatów projektu.

Obok EPICUR-a, jak czytamy w „Życiu Uniwersyteckim” (nr 11/2022), na UAM działa także EPIDI (European Partnership for Innovation in Distant Internships), a na początku ubiegłego roku ruszył EPICUR Research, którego celem jest opracowanie wspólnego programu badawczego dla każdej z uczelni partnerskich. Program pomóc może młodym naukowcom w tworzeniu własnych zespołów badawczych, finalnie zaś prowadzić ma do otwarcia uczelni na społeczeństwo.

Obok EPICUR-a, jak czytamy w „Życiu Uniwersyteckim” (nr 11/2022), na UAM działa także EPIDI (European Partnership for Innovation in Distant Internships), a na początku ubiegłego roku ruszył EPICUR Research, którego celem jest opracowanie wspólnego programu badawczego dla każdej z uczelni partnerskich. Program pomóc może młodym naukowcom w tworzeniu własnych zespołów badawczych, finalnie zaś prowadzić ma do otwarcia uczelni na społeczeństwo.

Sukces ma kolor niebieski

Połowa kadencji to dobry moment, by dokonać podsumowań, mówi „Uniwersyteckiemu Kurierowi Morskiemu” (nr 9/2022) prof. dr hab. inż. kpt. ż.w. Adam Weintrit, rektor Uniwersytetu Morskiego w Gdyni. Można wówczas sprawdzić, ile z założonych celów udało się osiągnąć, a ile jeszcze pozostało do zrealizowania. Można także przeżyć pozytywne zaskoczenie, otrzymując w wyniku ewaluacji działalności naukowej cztery wysokie kategorie B+, co stało się właśnie udziałem gdyńskiej uczelni.

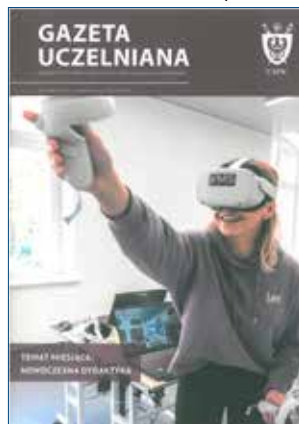


Wśród wielu poruszonych w rozmowie wątków sporo miejsca zajęły kwestie związane ze sprawami szeroko pojętej dydaktyki, rozwoju potencjału naukowego i organizacyjnego. Dowiadujemy się m.in. o tym, że UMG chce zostać liderem projektów

dotyczących budowy farm wiatrowych na Bałtyku, a Konsorcjum UMG-Mewo SA już podpisało trzyletni kontrakt z PGE Baltica 1 zakładający udział uczelni w przeprowadzaniu badań środowiskowych związanych z przedsięwzięciem stawiania na Morzu Bałtyckim elektrowni wiatrowej Baltica 1. Wiadomo, że w związku z zachodzącymi zmianami klimatycznymi i obecną sytuacją polityczną w Europie wszystkie państwa zostały postawione przed koniecznością dywersyfikacji wykorzystywanych źródeł energii. To oznacza wzrastające zapotrzebowanie na fachowców związanych z sektorem OZE, w tym morskiej energetyki wiatrowej. UMG odpowiada na to już dzisiaj, tworząc bogatą ofertę edukacyjną, obejmującą m.in. pierwsze w Polsce studia Executive MBA prowadzone w języku angielskim i realizowane we współpracy z niemieckim University of Applied Sciences Bremerhaven oraz duńską Business Academy South-West, podmiotami specjalizującymi się w programach menedżerskich i specjalistycznych dla sektora Offshore Wind Energy.

Prawdziwy świat w wirtualnym wydaniu

Współczesny nauczyciel akademicki ma do dyspozycji znacznie więcej narzędzi dydaktycznych niż jego poprzednik. Dziś w jego rękach są nowoczesne urządzenia, które pozwalają przenosić się do cyfrowej rzeczywistości po to, by w warunkach pozorowanych ćwiczyć przypadki, z którymi można się potem zetknąć w prawdziwym życiu. W Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, gdzie funkcjonuje Centrum Symulacji Medycznej UMW, w ramach którego działa Pracownia Innowacyjnej Edukacji Medycznej, kształcą się studenci, wykorzystując do tego programy medycznej symulacji komputerowej, interaktywne stoły anatomiczne czy okulary VR. Nauka w takich okolicznościach przypomina praktykę znaną i używaną od lat w sektorze lotniczym. Różnica w tym przypadku polega na



tym, że student, który siada przed ekranem, nie znajduje się w kokpicie samolotu, ale w ambulansie albo w szpitalu, w zależności od tego, w jakich uczestniczy zajęciach. Nowoczesne oprogramowanie pozwala przećwiczyć w bezpiecznych warunkach różne scenariusze, nawet te najbardziej niespodziewane. Dzięki innowacyjnym systemom przyszli medycy mogą więc przetestować diagnostykę

rzadkich chorób zakaźnych albo triage pacjentów podczas katastrofy. Ten sposób przygotowania pozwala zneutralizować element zaskoczenia w sytuacji wystąpienia realnego zagrożenia, przekonuje „Gazeta Uczelniana” (nr 4/2022).

Do palety nowoczesnych rozwiązań wrocławska uczelnia planuje dodać w przyszłości kolejny element, czyli tzw. pacjenta standaryzowanego. Będzie to osoba odgrywająca, według wcześniej przygotowanego scenariusza, jakiś rodzaj dolegliwości. Na niej studenci będą mogli poćwiczyć metody postępowania z chorymi, zanim przejdą do pracy z ludźmi prawdziwie cierpiącymi.

Aneta Zawadzka

Na szybkiej ścieżce

Najmłodszy w Polsce profesor otrzymał nominację kilkanaście tygodni przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Najmłodszy doktor obronił dysertację w wieku 23 lat. Takich jak on jest więcej.

Nie każdy jeszcze przed zakończeniem studiów może się pochwalić stopniem doktora. Tomasz Grzywa należy do grona czterech takich osób w Polsce. W czerwcu, mając przed sobą jeszcze rok kształcenia na kierunku lekarskim, obronił z wyróżnieniem rozprawę na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. W wieku 23 lat stał się w ten sposób najmłodszym doktorem w naszym kraju.

– Wszystkie wyniki do mojej dysertacji miałem już gotowe, więc nie miałem na co czekać – przyznaje.

Zakończenie przewodu jeszcze na studiach planował już wcześniej. To jeden z celów, które chciał osiągnąć. Ale to nie zdobywanie w jak najszybszym tempie kolejnych szczebli akademickiej kariery jest dla niego najważniejsze. Za priorytet stawia sobie prowadzenie wysokiej jakości badań. Dlatego procedurę związaną z finalizacją doktoratu wszczął dopiero, gdy uzyskał pewność, że jest on przygotowany w sposób rzetelny i potwierdza założenia, które chciał w nim przedstawić. Jak mówi, jedyne obawy wynikały z dopięcia wszystkich kwestii formalno-administracyjnych. Wcześniej na WUM nikt nie decydował się na szybszą ścieżkę, więc dla wszystkich było to pewne novum.

Taką możliwość dopuściła Ustawa 2.0. Przewidziano w niej nadawanie stopnia doktora także osobom bez tytułu zawodowego magistra, magistra inżyniera albo równorzędnego. Zastrzeżono, że muszą jednak być absolwentami studiów I stopnia lub ukończyć trzeci rok jednolitych studiów magisterskich. Te wyjątkowe przypadki obwarowano jeszcze jednym kryterium – najwyższą jakością osiągnięć naukowych. Zdaniem Grzywy to bardzo enigmatyczne sformułowanie, które może prowadzić do masowej produkcji i niskiej jakości doktoratów. Aby przeciwdziałać nadużyciom, należałoby jasno określić np. wymaganą liczbę publikacji naukowych, w tym pierwszego autorstwa, bądź konkretną liczbę cytowań, która świadczy o jakości dorobku naukowego.

– Zauważyłem, że doktoraty broniące przed ukończeniem studiów często są lepszej jakości niż te realizowane w standardowym trybie. Po prostu ci, którzy chcą to zrobić wcześniej, są przygotowani na odpiertanie zarzutów

o wartość ich prac. W przypadku zwykłych doktoratów te pytania pojawiają się rzadziej – uważa młody naukowiec z WUM.

Również dla Karola Steckiewicza z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego samo zdobycie stopnia nie było głównym celem, a jedynie konsekwencją prowadzonych przez niego badań. Już na I roku studiów dołączył do zespołu badawczego, realizował kolejne projekty, zyskiwał coraz większą samodzielność w laboratorium, rozwijał umiejętności i w ten sposób zebrał materiał do doktoratu. Można więc powiedzieć, że robił go tak długo, jak inni, tyle że... wcześniej zaczął.

– To dobre rozwiązanie, o ile ktoś jest w stanie szybciej zgromadzić wymagany dorobek i rozwiązywać złożone problemy badawcze. Jeśli chodzi o stopnie, pod uwagę powinny być brane osiągnięcia naukowe i wpływ prowadzonych badań na rozwój danej dyscypliny – przekonuje.

Dodaje, że jego tok studiów na dobrą sprawę nie różnił się od typowego na medycynie. Uczęszczał na zajęcia, zdawał egzaminy podobnie jak jego rówieśnicy. Tyle że w wolnym czasie angażował się w pracę naukową. Swojej kariery nie postrzega jednak w kategorii wyścigu. Szybsze zdobycie stopnia doktora wynikało z prowadzonej działalności: publikowania artykułów, zdobywania grantów, wyjazdów na konferencje i staże. Dokonał tego, mimo kontrowersji, jakie u wielu to wzbudzało.

Wie coś o tym Mateusz Hołda. To on przecierał szlaki. W 2017 roku miał 24 lata i jako pierwszy w Polsce, jeszcze w ramach ministerialnego programu „Diamentowy Grant”, skorzystał z szybkiej ścieżki. Negatywnych komentarzy nie brakowało. Mówiono, że nie godzi się dawać studentowi stopnia doktora. Inni szli jeszcze dalej, nazywając to hańbą dla polskiej nauki.

– Moja dalsza kariera, wbrew obawom niektórych, pokazała, że szybki doktorat wcale nie oznacza równie szybkiego zakończenia przygody z nauką – zauważa z przekąsem, wspominając, że habilitacji towarzyszyło jeszcze więcej uszczypliwości. Ale wytrwał.

Dziś jest szefem (i współzałożycielem) interdyscyplinarnego zespołu HEART w Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. W swojej pracy skupia się na morfologii układu sercowo-naczyniowego (od poziomu organu do poziomu molekularnego) oraz technikach obrazowania architektury mięśnia sercowego. Tworzone przez jego zespół – na bazie danych obrazowych z tomografii komputerowej – modele 3D tego narządu wykorzystywane są nie tylko do celów naukowych, ale także przez klinicystów w trakcie procesu diagnostycznego i leczniczego konkretnego pacjenta.



dr Tomasz Grzywa

Student czy doktorant?

Znamienne, że wszyscy doktorzy z „szybkiej ścieżki” (również Agata Gabryelska, która doktoryzowała się w 2019 r. na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi) wywodzą się z uczelni o profilu medycznym. Czy to możliwe, że studia uważane powszechnie za wyjątkowo wymagające, zarówno pod kątem merytorycznym, jak i czasowym, paradoksalnie sprzyjają łączeniu ich z doktoratem?

– One dają przede wszystkim możliwość pracy naukowej już od pierwszych lat – wskazuje Hołda. – Publikacje, w tym pierwszoautorskie, składające się na wymagany dorobek, są realną tego konsekwencją. Na innych kierunkach jest o to trudno.

Jak zauważa, w medycynie doktoraty opierają się głównie na cyklu powiązanych ze sobą artykułów. On sam w momencie rozpoczęcia procedury miał już na koncie ponad dwadzieścia, głównie z pierwszym lub wiodącym autorstwem, wszystkie w renomowanych czasopismach. Stwierdził więc, czemu nie? Co ciekawe, nie wszyscy na uczelni wiedzieli, że jest studentem – traktowali go jak zwykłego doktoranta. Niektórzy, gdy się orientowali, byli zdziwieni, że to połączenie jest możliwe. Eksperyment na żywym organizmie zakończył się powodzeniem.

Inni moi rozmówcy podpowiadają, że przewaga medyków nad innymi kierunkami tkwi w... egzaminie dyplomowym. Chodzi o to, że nie trzeba przygotowywać pracy licencjackiej czy inżynierskiej, a potem magisterskiej, dzięki czemu wyniki naukowe zbiera się od razu do doktoratu. T. Grzywa zwraca jednak uwagę, że o ile na biologii czy biotechnologii doświadczenia prowadzone są w ramach programu, o tyle na medycynie wszystkie aktywności naukowe mogą być wykonywane jedynie „po godzinach” normalnych studiów.

– Mnie udało się to pogodzić, dzięki pasji i dlatego, że robiłem coś, co naprawdę mnie interesuje i sprawia mi przyjemność. W takich warunkach jesteśmy bardziej skłonni do większych wyrzeczeń i poświęceń na rzecz swojego rozwoju – przekonuje laureat ostatniego konkursu „Pro Juvenes” w kategorii Student-naukowiec.

Swoje projekty zaczął realizować już w liceum, w ramach wakacyjnego stażu na WUM. Dziś należy do zespołu, który jako jeden z niewielu na świecie zajmuje się tzw. niedojrzałymi erytrocytami. Komórki te wykazują istotne działanie immunomodulujące, przy czym dotąd uważano, że tylko w określonych sytuacjach są one w stanie regulować odpowiedź układu odpornościowego. W swoim doktoracie udowodnił natomiast, że ta reakcja jest uniwersalna, a więc niezależna od wieku pacjenta i warunków fizjologicznych w jego organizmie. Kontynuując badania, szuka teraz takiego mechanizmu, za pomocą którego można te komórki pobudzić lub zahamować. Wiadomo, że wykazują one osłabione działanie w przypadku chorób zapalnych, gdy układ immunologiczny jest nadzwyczaj aktywny, zaś nasilone – przy nowotworach, gdzie prowadzi to do progresji choroby. Zmiana funkcji tych komórek mogłaby przynieść pożądaną efekt terapeutyczny.

Otwarte drzwi

O gotowości do poświęceń, samozaparcia i uzbrojeniu się w wytrwałość jako warunkach niezbędnych przy „szybszym” doktoracie mówi Karol Steckiewicz, którego domeną są nanocząstki. I u niego aspekt aplikacyjny też nie jest bez znaczenia. Poszukiwał czynników modyfikujących działanie nanocząstek metali. Używa się ich jako katalizatorów czy do oczyszczania środowiska, a on spróbował w medycynie. Interesowało go, czy kształt nanocząstek wpływa na ich właściwości przeciwnowotworowe i cytotoksyczne oraz w jaki sposób determinuje je zmiana właściwości powierzchni.

– Jako pierwsi pokazaliśmy wpływ kształtu nanocząstek złota na cytotoksyczność względem komórek kostniako-mięsaka. Opisaliśmy nowe połączenia nanocząstek z chemioterapeutykami. Szczególnie bliski jest mi artykuł na temat właściwości biologicznych mikrocząstek ortofosforanu srebra w badaniach in vitro – raportuje.

W swoich badaniach dowodzi, że odpowiednio zaprojektowane nanocząstki mogą być dobrymi nośnikami leków do miejsc zmienionych chorobowo. Zmniejszyłoby to działania niepożądane obecnie stosowanych farmaceutyków, a także umożliwiło ich transport do określonych miejsc, w tym takich, gdzie występuje problem z wnikiem substancji leczniczych. Obecnie pracuje nad wykorzystaniem nanocząstek jako platform-nośników leków w schorzeniach przewodu pokarmowego, zarówno w chorobach zapalnych jelit, jak i w zapaleniach przyzębia.

– Moja kariera rozwija się w podobnym tempie, co przed doktoratem. Natomiast uzyskanie stopnia doktora otworzyło kolejne drzwi, np. przy ubieganiu się o granty. Nie żałuję, że moja kariera potoczyła się w taki, a nie inny sposób – twierdzi i zaznacza, że procedurę habilitacyjną zacznie dopiero wtedy, gdy zgromadzi wystarczający dorobek naukowy i dojrzeje do tego, aby zostać samodzielnym pracownikiem naukowym.

Mateusz Hołda ma to już dawno za sobą. Co więcej, kilka miesięcy temu, jako najmłodszy w historii (jeszcze przed trzydziestką), otrzymał nominację profesorską. Gdyby mógł, bez wahania zdecydowałby się powtórzyć swoją drogę i zachęca do tego innych. Zastrzega jednak, że to nie opcja dla wszystkich. W jego ocenie warunkiem wejścia na szybszą ścieżkę powinno być kilkanaście artykułów w dorobku, doświadczenie w prowadzeniu grantów i przynajmniej zaczątek własnego zespołu. Bez tego w świecie nauki można sobie później nie poradzić.

– Miałem najtrudniej, bo byłem pierwszy i skupiłem na sobie całą uwagę. Media, władze uczelni – dla młodego człowieka to było coś zupełnie nieznanego. Dziś nie dziwi już, gdy ktoś z wybitnym dorobkiem chce wcześniej otworzyć doktorat – mówi.

Rozpoznawalność to na pewno coś, co zyskał dzięki szybkiemu awansowi, choć sam stopnie i tytuły traktuje bardziej jako... przeszkody na drodze naukowego spełnienia. Tomasz Grzywa dodaje do atutów swojego doktoratu zmianę sytuacji zawodowej, choćby pod kątem finansowym. Z tej perspektywy sytuacja postdoków wydaje się nieco lepsza od sytuacji doktorantów. Ale jest coś ważniejszego.

– Obrona doktoratu w przypadku pracownika naukowego wiąże się z zamknięciem pewnego etapu kariery. Tak właśnie się czuję: zakończyłem i podsumowałem pewien okres, teraz mogę planować co dalej. Mój rozwój w tym momencie dzieli się na dwie ścieżki: kontynuacja badań prowadzonych w ramach doktoratu i immunoterapia nowotworów w Instytucie Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN – wskazuje.



prof. Mateusz Hołda

Fot. archiwum prywatne



dr Karol Steckiewicz

Fot. GUMed

Algorytmy pomogą wejść na szczyt

Najpierw urodziła się Aleksandra. Dwie minuty później przyszła na świat Natalia. Dzisiaj rywalizacja bliźniaczek toczy się już w setnych, a nawet tysięcznych częściach sekundy.

Sześć sekund i pięćdziesiąt trzy setne – od maja tego roku wiadomo, że tyle czasu wystarczy do pokonania 15-metrowej ściany ustawionej pod kątem 95 stopni. Jeszcze do niedawna wydawało się, że zejście poniżej siedmiu sekund jest niewykonalne. Skoro jednak granicę przełamano, to nic nie stoi na przeszkodzie, by i ten rekord świata poprawić. Aleksandra i Natalia Kałuckie powoli się do niego zbliżają. Pierwszej brakuje tylko 0,11 sekundy, „życiówka” drugiej jest gorsza o 0,35 sek. Tajną bronią siostr w osiągnięciu tego celu ma być współpraca z informatykami z ich macierzystej uczelni – Akademii Nauk Stosowanych w Tarnowie.

Który „patent” najlepszy?

Z uwagi na dynamikę i nieprzewidywalność wspinaczka należy do sportów wyjątkowo widowiskowych, a przy tym bardzo wymagających zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wszystko decyduje się, i to dosłownie, w ułamkach sekund. Sztaby trenerskie poszukują więc ciągle nowych rozwiązań i metod umożliwiających doskonalenie „patentów na standardzie”, czyli sposobów pokonania drogi na szczyt ściany. W Tarnowie sięgnięto po technologie informatyczne, za pomocą których powstaje unikatowy na skalę światową system wizyjny monitorujący ruchy wspinacza oraz jego parametry. Pomysł podrzucił dr inż. Adam Pieprzycki, po godzinach wspinacz z bogatym dorobkiem w skałach i górach wysokich, ratownik TOPR i przewodnik górski. Chodzi o wsparcie treningu, na którym nie wszystko da się dojrzeć „gołym okiem” i niekiedy trzeba zdać się na intuicję. A ta bywa zawodna.

System składa się z szybkiej 100-klatkowej kamery i dziewięcioosiowych czujników ruchu. W każdy z nich wbudowany jest trójosiowy akcelerometr, trójosiowy żyroskop i trójosiowy magnetometr. Takie sensory nie są żadną nowością, każdy ma je choćby w swoim smartfonie, ale informatycy z ANS nie dość, że stworzyli swoje autorskie, które komunikują się z aplikacją poprzez bluetooth, to jeszcze zwiększyli ich precyzję. Są wielkości zegarka i umieszcza się je na elastycznych opaskach zakładanych w pasie, na rękach i nogach. Były obawy, że mogą przeszkadzać, być niewygodne i opóźniać pokonanie ściany. Po próbach przebiegach zawodnicy stwierdzili, że nawet ich nie czują.

Na podstawie nagrania wideo algorytmy uczenia maszynowego estymują ruch wspinacza i „przekładają” go na wykresy. Dane, których nie da się wywnioskować z obrazu wideo, jak np. prędkość kątowna czy liniowa, pochodzą właśnie z czujników.

– Po każdym biegu jesteśmy w stanie zebrać sporo informacji, które w postaci wykresów funkcji czasu pokazujemy trenerowi. On widzi, czy obrana przez niego strategia się sprawdza, czy nie, w którym momencie zawodnik porusza się szybciej, a kiedy obiera optymalną trajektorię ruchu. Widać to czarno na białym – tłumaczy dr inż. Daniel Król, kierownik Katedry Informatyki ANS.

Naukowcy przymierzają się także do „oczujnikowania” uchwytów na ścianie tzw. belkami tensometrycznymi. Dzięki temu będzie można w przestrzeni 3D sprawdzić np. siłę nacisku na taki uchwyt i poprawiać także i ten parametr w czasie treningu. Za kilka miesięcy dołożą również sensory, które analizują elektromiogramy z poszczególnych partii mięśni.

– Jestem wielką entuzjastką nauki. Bardzo mnie cieszą takie nowinki w naszym sporcie. Wspieram tego typu inicjatywy i liczę, że wniosą one dużo dobrego do mojego treningu – podkreśla Aleksandra Kałucka, która w ANS studiuje matematykę, a w dalszej przyszłości marzy, by zając się właśnie badaniami naukowymi.

Jej siostra Natalia wybrała wychowanie fizyczne. Teraz wszyscy ją pytają, czy będzie wuefistką. Być może, ale bardziej skłania się ku pracy jako instruktor sportu. Niewykluczone jednak, że po licencjacie zmieni kierunek – na wydziale otwarto właśnie psychologię sportu. Również ciekawi ją wprowadzenie technologii do treningu.

– Ten system pokaże, które fragmenty są słabsze w naszym wykonaniu i co należy zmienić. To z pewnością przyczyni się do szybszego pokonywania „standardu” – nie pozostawia wątpliwości.

Raj dla wspinaczy

Tarnów od lat jest polską stolicą wspinaczki na czas. Śmieją się, że gdzie nie rzucić kamieniem, tam trafi na mistrza. Sekcję w uczelnianym klubie AZS założono w roku 2008, a bezpośrednim impulsem stało się zdobycie złotego medalu Mistrzostw



Aleksandra i Natalia Kałuckie podczas rywalizacji na Europejskich Igrzyskach Akademickich w Łodzi

Fot. EUIG

Polski Szkół Wyższych przez Jędrzeja Komosińskiego. Mniej więcej w tamtym okresie treningi rozpoczęły też siostry Kałuckie. – Ja dwa dni później niż Ola – śmieje się „młodsza” bliźniaczka. Obie rywalizują od urodzenia. Przyszły na świat w odstępie dwóch minut. Dziś ścigają się na setne, ba, tysięczne części sekundy. Mijający rok należał zdecydowanie do Aleksandry, która wygrała Puchar Świata, była najlepsza w Europejskich Igrzyskach Akademickich i Akademickich Mistrzostwach Świata oraz sięgnęła po srebro w mistrzostwach Europy. Ale i Natalia z tego sezonu jest zadowolona.

– Moim zadaniem było poradzić sobie z presją i oczekiwaniami, jakie wiązano z moimi występami po tym, gdy w ubiegłym roku zostałam mistrzynią świata. Udało się, przełamalam klątwę „następnego sezonu” – zauważa.

W ostatnich miesiącach zdobyła srebro w The World Games i w Europejskich Igrzyskach Akademickich, brąz na mistrzostwach Europy, dwukrotnie stawała na najniższym stopniu podium Akademickich Mistrzostw Świata, a do tego dołożyła

trzecie miejsce w Pucharze Świata. We wrześniu, na zawodach PŚ w Edynburgu, doszło po raz pierwszy do siostrzanego finału.

– Niektórzy się dziwią, ale to było nasze największe marzenie. Popłakałyśmy się przed tym biegiem, trochę poniosły nas emocje, ale to była bardzo wzruszająca i piękna chwila – wspomina Aleksandra, która wówczas wygrała.

Obie podkreślają, że ich współzawodnictwo oparte jest na zdrowych zasadach. Na treningach zakładają się, która zrobi tego wieczoru kolację. Przyznają, że to działa, motywacja jest wtedy większa. – Uważam, że gdyby nie siostra, nie byłoby mnie tu, gdzie dzisiaj jestem – z przekonaniem twierdzi Natalia.

Wspinaczka była dla bliźniaczek naturalnym wyborem. Od zawsze były ruchliwe – w dzieciństwie wdrapywały się na drzewa, wskakiwały na meble, wisiały na trzepaku. W dodatku nieopodal ich domu była ścianka, na którą pewnego dnia zabrał je brat. Nie przeszkadzało im nawet to, że od urodzenia obie nie widzą na jedno oko. Poza tym są jak ogień i woda. Ola bardziej energiczna, żywiołowa, Natalia to z kolei siła spokoju.

Dr hab. Małgorzata Kołpa, rektor Akademii Nauk Stosowanych w Tarnowie:



Nasi sportowcy dostarczają nam wielu powodów do radości od wielu lat. Punktem zwrotnym było oddanie do użytku nowoczesnego kompleksu Wydziału Ochrony Zdrowia w 2013 roku, w skład którego wchodzi nie tylko sale wykładowe, ćwiczeniowe i laboratoria, ale także pełnowymiarowa hala sportowa z jedną z najlepszych w Polsce ścian wspinaczkowych, kryta pływalnia, siłownia, sale do gimnastyki sportowej, sztuk walki czy sala ergometryczna. Takie zaplecze, praca sportowców oraz profesjonalne wsparcie ze strony kadry trenerskiej przekładają się na spektakularne sukcesy z tytułami i medalami igrzysk paraolimpijskich, mistrzostw świata, Europy i kraju. Dość powiedzieć, że od kilku lat nasz AZS wygrywa klasyfikację generalną Akademickich Mistrzostw Polski wśród publicznych uczelni zawodowych. Władze uczelni starają się pomagać sportowcom, którzy mogą liczyć na wsparcie finansowe w postaci stypendiów czy nagród rektorskich. Cieszy mnie także ich współpraca z naukowcami, której efekty stają się ważnym elementem w drodze do sukcesu.



Siostry Kałuckie z trenerem Tomaszem Mazurem

Jedna prawo-, druga leworęczna. Ale to akurat przy wspinaniu nie ma znaczenia. Od ubiegłego roku dzielą czas między sport i studia. Nie jest to łatwe.

– Zdarzają się treningi, po których jestem tak zmęczona, że nie mam ochoty siadać do książek, ale wtedy zaciskam zęby i nie ma przepros – mówi Natalia.

– Najtrudniej bywa w trakcie sesji, gdy trzeba pogodzić zgrupowania, wyjazdy i naukę. Na szczęście mamy indywidualny tok studiów. Jest dzięki temu łatwiej, wykładowcy są wyrozumiali, choć nikt prezentów nam nie daje – zastrzega Aleksandra.

Obie są też w Narodowej Reprezentacji Akademickiej – programie, który wspiera kształcenie sportowców-studentów, pozwalając im na jednoczesne kontynuowanie kariery. Jeszcze do niedawna startowały we wspinaczkowym trójboju, na który składają się: prowadzenie, speed i bouldering. Teraz skupiają się już tylko na konkurencji szybkościowej, w której powalczą o kwalifikację olimpijską. Liczą, że pomoże im w tym informatyka.

Wojciech Nowak, prezes KU AZS ANS Tarnów:

Często jesteśmy pytani o tajemnicę naszych sukcesów. Żartobliwie odpowiadamy, że wyjaśnienie jest proste: trzeba mieć najlepsze obiekty, najlepszych trenerów i najlepszych zawodników. W roku 2013, wraz z oddaniem do użytku kompleksu Wydziału Ochrony Zdrowia, zysaliśmy ścianę z potężnym przewieszeniem do wspinaczki na prowadzenie oraz częścią do wspinaczki na czas, tzw. standardem. Był to drugi pełnowymiarowy „standard” w Polsce. Pierwszy wybudowano nieco wcześniej w... Tarnowie, w nieczynnej kotłowni i stanowił własność Polskiego Związku Alpinizmu. Warunki do treningu były jednak nieporównywalne. Jakość i możliwości naszych obiektów znalazły uznanie u organizatorów przyszłorocznych Igrzysk Europejskich. Zawody we wspinaczce sportowej odbędą się właśnie na kampusie ANS.

Współczesny sport nie może istnieć bez nauki, a my działamy przeciw w środowisku akademickim. Najpierw podjęliśmy współpracę z Katedrą Fizjoterapii w zakresie pracy terapeutycznej

z zawodnikami. Następnie podstawowe badania dotyczące parametrów istotnych dla wspinacza na czas zainicjowali pracownicy Katedry Wychowania Fizycznego. Ostatnie lata to projekt Katedry Informatyki, czyli budowa systemu wizyjnego monitorującego ruchy wspinacza i jego parametry. Ten system jest ewenementem na skalę światową. Sukcesywnie rozwijany, dostarcza trenerowi szczegółową, niezwykle cenną wiedzę.

Wychowankom tarnowskich klubów oferujemy model profesjonalnej kariery sportowej, w którym mogą łączyć obowiązki studenta i sportowca. Nasi zawodnicy korzystają z opieki tutorskiej w ramach Narodowej Reprezentacji Akademickiej. Trenują w nowoczesnym ośrodku sportowym, z dostępem do ściany wspinaczkowej, siłowni i krytej pływalni. Na pewno mamy też sporo szczęścia, trafiając na wyjątkowe talenty. Obecnie trzon kadry stanowią wielokrotni medaliści mistrzostw Polski, Europy czy świata: Marcin Dzieński, Mikołaj Wróblewski, Anna Brożek oraz siostry Ola i Natalia Kałuckie. Dodając do tego trenera kadry Tomasza Mazura, otrzymujemy wieloskładnikowy przepis na sukces...



Rozmowa z dr. Jarosławem Cymermanem, historykiem teatru z UMCS, autorem książki *Sezony pierwsze i ostatnie. Teatr Miejski w Lublinie w latach 1944-1949* (Wydawnictwo UMCS)

Podwaliny

Początkowo władza, owszem, formułowała pewne oczekiwania, publikowała listy preferowanych sztuk, ale nie była już konsekwentna w ich egzekwowaniu. W przypadku scen takich jak lubelska – w zasadzie niedotowanych przez władze centralne – miała dość ograniczone możliwości nacisku.

W połowie bieżącego roku nakładem Wydawnictwa UMCS ukazała się twoja książka *Sezony pierwsze i ostatnie. Teatr Miejski w Lublinie w latach 1944-1949*. To dysertacja, która stanie się podstawą przewodu naukowego. Co podyktowało wybór tego wycinka historii?

Zająłem się tym okresem, gdyż jestem przekonany, że lata tuż powojenne stanowią jeden z najbardziej interesujących, o ile nie najbardziej interesujący czas w dziejach lubelskiej sceny. Poza tym, to właśnie wtedy w gruncie rzeczy wykuwał się porządek organizacyjny i hierarchie artystyczne w polskim teatrze. Stąd pisząc o tych latach bardzo często miałem wrażenie, że otaczająca nas teatralna rzeczywistość ma korzenie właśnie w tamtym czasie.

Przejdźmy więc do kwerendy archiwalnej.

Rzeczywiście, moim podstawowym źródłem była ówczesna prasa i materiały archiwalne: *różnego rodzaju dokumenty dotyczące funkcjonowania teatru. I to jest punkt wyjścia. Jednocześnie jednak, gdy pisałem tę książkę, bardzo mi zależało na tym, by nie przytłoczyć potencjalnego czytelnika materiałem, ale przedstawić w sposób jak najbardziej rzetelny i pełny atrakcyjny obraz tego, co działo się w Teatrze Miejskim w Lublinie w burzliwym czasie zaraz po zakończeniu II wojny światowej.*

Odradzające się nad Bystrzycą życie teatralne oglądasz z obydwu stron rampy. Pозиcję widza dały ci opisy cudzych wrażeń. Czy tylko te (subiektywne, a więc często sprzeczne) przesłanki kazały uznać rangę przedstawienia?

Istotnym kryterium były dla mnie okoliczności realizacji spektaklu – to, że był on pierwszy, że inaugurował lub zamykał działalność sceny lub zespołu miało i ma wciąż przecież swoją wagę. Przede wszystkim starałem się jednak brać pod uwagę świadectwa ówczesnego odbioru sztuk – obok recenzji były to organizowane np. przez prasę ankiety, cytaty z opinii widzów, podsumowania sezonu, raporty kasowe. W ten sposób zwróciła moją uwagę na przykład *Nadzieja* holenderskiego autora Hermana Heijermansa w reżyserii Karola Borowskiego z 1946 roku, w której recenzenci chcieli zobaczyć przede wszystkim *dramat biednych rybaków wykorzystywanych przez chciwych armatorów i właścicieli ubezpieczalni. Jednak pomimo tej ideologicznej wykładni spektakl stał się jednym z przebojów*

*sezonu, a Juliusz Kleiner uznał go za jedno ze swoich najważniejszych przeżyć teatralnych tamtego czasu, gdyż dostrzegł w tej sztuce bliski tamtym czasom dramat ludzi, którzy w imię etosu podejmują się beznadziejnej misji. Podobnie trudno przejść obojętnie obok granych w sierpniu 1944 roku *Jeńców* Lucjana Rydla w reżyserii Ireny Ładosiówny, w której to sztuce dwie słowiańskie branki więzione przez Niemców wznecają pożar, by ułatwić zdobycie grodu słowiańskim wojom.*

W 1944 roku Lublin stał się PKWN-owską stolicą Polski. Po „wyzwoleniu” (w książce używasz tego cudzysłowu) tutejsze deski teatralne nagle stały się pierwszą sceną. Jak to ideologiczne wyniesienie odcisnęło się na kształcie życia teatralnego?

Trudno nazywać wyzwoleniem sytuację, gdy przedstawiciele legalnych, uznawanych niemal na całym świecie władz i podlegli im żołnierze zostają po kilku dniach od wspólnej walki z Niemcami aresztowani i osadzeni w tych samych miejscach, w których więzieni byli Polacy w czasie okupacji hitlerowskiej. Stąd ten cudzysłów. Wolałbym nie utrzymywać także w języku wizji tych wydarzeń, jaką narzucono nam w okresie PRL. Wracając jednak do teatru: w okresie PKWN Lublin stał się rzeczywiście najważniejszym ośrodkiem polskiego życia kulturalnego. Z przyczyn propagandowych można było tu sobie pozwolić na więcej niż w zajętych wcześniej miastach, takich jak Lwów czy Wilno, które decyzją Stalina miały zostać sowieckie. Zjeżdżali się więc do Lublina różni twórcy, także ci, którzy wcale nie przepadali za nową władzą, ale chcieli po prostu wrócić po koszmarze okupacji niemieckiej do w miarę normalnej pracy. Wszystko trwało do lutego-marca 1945 roku. Wraz z przeniesieniem się władz na zachód, do Warszawy i Łodzi, większość tych twórców wyjechała. Teatr Wojska Polskiego zabrał z Lublina wszystko, co udało się tu z niemałym trudem zgromadzić, *łącznie z *pieniężkami z kasy. Antoni Różycki i Karol Borowski, którzy zaczęli robić później „normalny” teatr, już nie cieszyli się takimi względami komunistycznych władz, jak Władysław Krasnowiecki czy Jacek Woszczerowicz.* Pomimo tego w kolejnych sezonach nieśli aktorzy i reżyserzy (notabene w sporej części warszawscy) robili teatr na dobrym poziomie, widownia tłumnie zapełniała salę, lokalni recenzenci chwalili, ganili, spierali się, a prasa warszawska, łódzka czy krakowska milczała. Nie wiem, czy było to celowe przemilczanie, wynikające choćby z faktu, że chciano,*

Kowalski Edward
DuńskiŁadosiówna Irena
Pani DuńskaWielicz Mieczysław
Zbyszek Duński

by Lublin – także ten teatralny – kojarzył się przede wszystkim z „heroicznym” okresem PKWN, czy może po prostu wygodnie było po „stołecznym” epizodzie wrócić w kraju do myślenia o Lublinie jako swego rodzaju wręcz modelowym przykładzie miasta prowincjonalnego. Niemniej jednak, skutkiem tego jest zastanawiająca nieobecność dokonania lubelskiego Teatru Miejskiego w syntetycznych ujęciach dziejów teatru w Polsce. Tak jakby w pamięci pozostać miały tylko pionierskie *Śluby pańskie* i *Wesele* Teatru Wojska Polskiego.

No właśnie, okładkę Sezonów... (wg projektu Krzysztofa Trojanara) zdobi kadr z lubelskiego *Wesela* w reżyserii Jacka Woszczerowicza, w którym rolę Panny Młodej grała Ryszarda Hanin, a Pana Młodego Jan Świdorski. Jednak ich krótkotrwała obecność ma wiele powodów.

Był to w ogóle, nie tylko w teatrze, czas wielkiej wędrówki ludów. Szkoda, że rozproszeni po wojnie twórcy teatralni, tacy jak Juliusz Osterwa, Leon Schiller, Edmund Wierciński czy

Wilam Horzyca, ominęli w tym czasie lubelską scenę. Grali za to na niej twórcy, którzy przed 1939 rokiem mieli status wielkich gwiazd, jak Irena Malkiewicz, Jerzy Pichelski czy Antoni Fertner. Niestety ciągnęła się za nimi częstokroć niezasłużona infamia związana z występowaniem na scenach jawnych w okupowanej przez Niemców Warszawie, co notabene Malkiewicz i Pichelski *łączyli z zaangażowaniem w działalność w ruchu oporu, do tego po niewłaściwej, z punktu widzenia nowej władzy, stronie*. Siłą rzeczy zatem spektakle z ich udziałem nie interesowały zbyt recenzentów z bliskich komunistom gazet i czasopism.

Linia repertuarowa sceny odzwierciedla zarówno przyjętą wizję rzeczywistości, jak i troskę o pozyskanie widowni, za którą idzie zasobność teatralnej kasy. Jakie koncepcje wówczas się ścierały?

Wbrew deklaracjom prasowym dyrekcji sceny przy ulicy Narutowicza dominował repertuar rozrywkowy. Wydaje się, że ówczesny Teatr Miejski przede wszystkim skupiał się na odbiorcach lokalnych, tych najbliższych, dla których był on podstawowym i często jedynym miejscem kontaktu ze sztuką sceniczną. Występy gościnne, a dziś festiwale, to święto, na co dzień chodziło się i wciąż się chodzi do „swojego teatru”. Tak to się ukształtowało w XIX wieku, kiedy to posiadanie teatru – przynajmniej w Europie – stało się jednym z kluczowych wyznaczników wysokiego statusu miasta. I tak, mam wrażenie, było do całkiem niedawna. Dziś nie jest już to aż tak oczywiste, ale to temat na inną rozmowę.

Jednak władza zaczęła wprzęgać sztukę w swoje cele polityczne.

W okresie tuż powojennym robiono to jeszcze dość subtelnie i widzimy te zabiegi raczej w opisach czy recenzjach niż w samych inscenizacjach. Podkreślano na przykład związki Szekspira z tradycją plebejską, wskazywano na pacyfistyczną wymowę *Szklanki wody* Eugène Scribe’a czy antyniemieckość wspomnianych *Jeńców*. Jeśli się w tego rodzaju interpretacjach zapędzano, to krytyka potrafiła wówczas jeszcze zareagować kpinią, jak wtedy gdy Maria Bechcysz-Rudnicka w programie do *Pana Jowialskiego* stwierdziła, że sztuka Fredry jest dziś ważna przede wszystkim ze względu na zawartą w niej „mądrość ludową”. Początkowo władza, owszem, formułowała pewne oczekiwania, publikowała listy preferowanych sztuk, ale



Wanda Wasilewska i Stefan Jaracz w Lublinie

Fot. A. Forbert

nie była już konsekwentna w ich egzekwowaniu. W przypadku scen takich jak lubelska – w zasadzie niedotowanych przez władze centralne – miała dość ograniczone możliwości nacisku. Niemniej jednak w miarę upływu czasu presja rosła. Stopniowo zniknęły z afisza sztuki angielskie, francuskie czy amerykańskie, coraz rzadziej grano także przedwojenne polskie teksty. Z czasem zastępowały je coraz mocniej rozpychające się tytuły rosyjskie. Lubelski teatr opierał się dość długo. Jeszcze latem 1949 roku przy ulicy Narutowicza grano komedię amerykańską.

Pięć sezonów, którym poświęcasz uwagę, to czas przed upaństwowieniem Teatru Miejskiego, lata działalności bez stałej subwencji i etatów. Brak bezpieczeństwa ekonomicznego mogło rekompensować samodzielnie zrzeszającym się aktorom i reżyserom współtworzenie oryginalnej idei artystycznej. Czy w Teatrze Miejskim było na nią miejsce?

Z nowatorstwem w Lublinie było dość trudno i jeśli już gdzieś go szukać, to w wyborach repertuarowych, zwłaszcza w pierwszym okresie. Lubelski Teatr Miejski w 1944 roku w pewnym sensie wyznaczał trendy. *Mówiąc półzartem, półserio, był wówczas „ogólnopolskim kontekstem”*. Później się to oczywiście zmieniło i to lubelski teatr „gonił” resztę kraju. *Wiosną 1945 zaryzykowano prapremierową inscenizację Drogi do źródeł Tadeusza Perkitnego, znanego podróżnika i dendrologa. Lubelski teatr bywał niepokorny. Dość wspomnieć o Weryfikacji Ireny Ładosiówny, która jesienią 1946 roku przedstawiła na scenie zagmatwane losy polskich kobiet w czasie niedawnej okupacji niemieckiej (ze skandalizującym wątkiem domniemanego romansu bohaterki z oficerem Gestapo), czy o sztuce Kazimierza Barnasia o polskich lotnikach walczących w bitwie*

o Anglię. Wywołały one wyraźny sprzeciw władz (*Weryfikację nawet zdjęto*), ale nie spotkały za nie aktorów i samego teatru jako instytucji większe represje. Przyszły one dopiero później, w czasach stalinowskich, i miały niekiedy dość brutalny charakter.

Na koniec intymne wyznanie czytelniczki Sezonów... Twoją książkę odebrałam bardzo emocjonalnie, a to za sprawą małych wtrętów, które rozmieszczasz w dowcipnie zatytułowanych rozdziałach. Dzięki nim praca naukowa obrasta w przesłanki psychologiczne. Motyw próżności, zawiści, koniunkturalizmu, konfliktu ról, zestawiony z czystym marzeniem o wielkości dzieła, czynią tę opowieść bardziej plastyczną. Jesteś akademickim teatrologiem, urzędnikiem w kierownictwie Instytutu Teatralnego im. Z. Raszewskiego, inicjatorem wielu przedsięwzięć scenicznych, recenzentem i publicystą kulturalnym, więc znasz ten świat na wskroś. Wycucie jego tkanki towarzyszyło mi podczas lektury. Wiesz, o czym mówię?

Bardzo się cieszę, że zwróciłaś na to uwagę. Zależało mi na tym, by narracja o teatrze sprzed niemal 80 lat była jak najbardziej wielowymiarowa. Teatr od zawsze jest przecież miejscem pełnym sprzecznych emocji i ambicji, często to z nich tkana jest materia spektakli, to one są ich siłą napędową. Ich źródła biją oczywiście po obu stronach rampy i czasami znajdują odbicie w relacjach prasowych. W tych barwnych określeniach, zwrotach czy komentarzach odnaleźć można jakąś prawdę o tym wszystkim, co kłębiło się wówczas wokół lubelskiego teatru.

Rozmawiała Magdalena Jankowska

TEATR MIEJSKI W LUBLINIE

POWTÓRZENIE

Poniedziałek	21 sierpnia o g. 18 wiecz. po raz 0
Wtorek	22 " " 18 wiecz. po raz 10
Środa	23 " " 18 wiecz. po raz 11

GABRYELA ZAPOLSKA

**MORALNOŚĆ
PANI DULSKIEJ**

KOMEDIA W 3-CH AKTACH

UDZIAŁ BIORĄ: Irena Bielenin, Halina Buyno, Maria Górecka, Irena Ładosiówna, Maria Nochowicz, Irena Starkówna, Maria Zielińska, Edward Kowalczyk, Mieczysław Wielicz

Kierownik zespołu Józef Klejfer
Reżyseria Irena Ładosiówna
Dekoracje Jurek Łukowski
Sekretariat Mik Samochocki

CENY BILETÓW od 7 zł. do 30 zł. wzniesień do aukcji w kasie Teatru
PRZEDSPRZEDAŻ sezonu od 10-15 i godzinę przed przedstawieniem

W PRZYGOTOWANIU MUZYKA NA ULICY

TEATR



na „Przepióreczce” Żeromskiego

Rozmowa z dr. Ryszardem Kupidurą z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskich Wydziału Neofilologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Wieża Babel ze Wschodu

Językiem polskim operować będzie drugie pokolenie Ukraińców, czyli osoby, które są w tej chwili w wieku szkolnym. I to będzie niezwykle ciekawe, jak one będą patrzeć na swój związek z Polską.

Projekt „Oswajanie europejskiej przestrzeni kulturowej: Niemcy, Polska i Ukraina we współczesnym migracyjnym dyskursie literackim”, realizowany wspólnie z Uniwersytetem Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, stanowił, jak mówią jego twórcy, odpowiedź na aktualne wyzwania Europy związane z masową migracją. Jakim, pana zdaniem, obrazem tego zjawiska dziś dysponujemy?

Trzeba zacząć od tego, że przygotowaliśmy ten projekt w zupełnie innej rzeczywistości. Chodziło nam o badanie migracji w związku z przemieszczaniem się ludzi w celach zarobkowych, z poszukiwaniem przez nich lepszych warunków do życia. W najczarniejszych snach nie myśleliśmy o tym, że w trakcie trwania projektu migracja w jakiejś części znacząco zmieni swój charakter i będzie związana z uchodźstwem.

Rozumiem, że ma pan na myśli napaść Rosji na Ukrainę.

Tak. Nie da się ukryć, że 24 lutego 2022 r. wprowadził nas w zupełnie nowy etap i dzisiaj o migracji bez uwzględnienia okoliczności wojennych nie da się absolutnie mówić.

A co z kategorią osvajania?

W tym przypadku chodziło o kontekst zapoznawania się, czyli czynienia otoczenia bliższym sobie i bezpieczniejszym dla siebie. Ja akurat zajmowałem się częścią dotyczącą ukraińskiej migracji do Polski. Z badania wynika, że kulturowa przestrzeń europejska, w tym jej fragmente, którym jest Polska, przynosiła Ukraińcom różnego rodzaju nieprzewidziane sytuacje, których oni zupełnie się nie spodziewali.

Wydaje się, że to musi być jednak dość trudne, zaczynać swój pobyt na zupełnie nowym terytorium od gwałtownego zaskoczenia.

Też mi się tak wydaje. Największą niespodzianką kulturową, z którą od razu Ukraińcy się stykali, były polskie narracje historyczne związane np. z rzezią wołyńską. W naszym kraju jest to temat, o którym każdy coś słyszał. Myślę, że szczególnie po filmie Wojciecha Smarzowskiego poziom wiedzy społecznej jest naprawdę wysoki. Natomiast Ukraińcy przyjeżdżający do Polski często po prostu nie dysponowali żadnymi informacjami. Trzeba pamiętać, że z ich perspektywy tragedia mająca miejsce na Wołyniu miała znaczenie lokalne, co znaczy, że na przykład ludzie pochodzący z Centralnej czy Wschodniej Ukrainy nie czuli z tą historią styczności. I nagle w Polsce, kraju, do

którego przyjechali, żeby pracować, zetknęli się z koniecznością zbiorowej odpowiedzialności za wydarzenie z przeszłości. Spostrzegli, że mogą zostać o nie zapytani w każdym miejscu, w sali wykładowej, w pracy czy w taksówce.

Wywołani do tablicy, musieli, jak miemam, dość szybko przygotować się do udzielania odpowiedzi?

Tak. To zmusiło ich do przygotowania się na tyle, na ile każdemu starczało wiedzy, emocji i chęci do rozpoczęcia rozmowy. W jednym z opowiadań, które nadeszło na konkurs literacki będący częścią naszego projektu, pewna dziewczyna pisze o tym, że nawet uczestnicząc w spotkaniach towarzyskich, czekała na moment, kiedy padnie pytanie o Wołyń. Dochodziło do tego, że tak bardzo się tego obawiała, iż sama zaczynała prowokować dyskusję, żeby tylko mieć ją już za sobą. Myślę, że to właśnie była najważniejsza bariera do osvajania polskich przestrzeni przez Ukraińców.

Masowa migracja Ukraińców do Polski rozpoczęła się w 2014 roku. Czy od razu towarzyszyło jej założenie, że nasz kraj będzie miejscem docelowym, w którym spędzi się kolejne lata życia, czy może Polska była traktowana jedynie jako przystanek z napisem „praca”?

Kluczową sprawą było to, czy migranci sprowadzali dzieci. Jeśli tak, to momentalnie zmieniały się ich potrzeby i sposób patrzenia na przyszłość. Posłanie dzieci do polskich szkół oznaczało, że perspektywa dalszego życia będzie związana z Polską. Wynikało to również z tego, że dzieci, otrzymując wykształcenie w Polsce, w pewien sposób traciły możliwość powrotu tam, skąd przybyły. Inny przypadek stanowili ludzie, których rodziny pozostały w Ukrainie. Oni przebywali w Polsce aż do momentu poprawy sytuacji gospodarczej w ich kraju. Kiedy to nastąpiło, oczywiście mówimy tu o okresie sprzed wojny, wracali i dochodziło do końca historii migracyjnej.

A co z tymi, którzy zostali, co z ich tożsamością? Czy nosi ona znamiona jakiegś podwójności?

To jest dobre pytanie o interkulturowość, czyli łączenie w sobie tożsamości polskiej i ukraińskiej. Takim wyrazistym przypadkiem tożsamościowym jest Walery Butewicz. Ten urodzony w Czerkasach w Centralnej Ukrainie, pisarz, badacz i historyk literatury, który zajmuje się polskim romantyzmem, na tyle opanował kompetencje w zakresie języka polskiego, że jest w stanie nie tylko tworzyć w tym języku, ale także wygrywać konkursy literackie z polskimi

autorami. On właśnie według mnie pokazuje, jakie ożywcze może być dla polskiej literatury spojrzenie niby już ze środka, ale ciągle jeszcze z boku. Butewicz, trochę w stylu Leca, bawi się aforyzmami i przygląda się językowi polskiemu, pokazując, że bywa on czasami trochę nielogiczny. Mówi na przykład, że jest to najbardziej nihilistyczny język, bo w słowie istnienie zawiera podwójne zaprzeczenie. Jestem bardzo szczęśliwy, że Butewicz wziął udział w konkursie literackim w naszym projekcie, dodam, że wygrał go w cudglach. Napisał znakomite opowiadanie o sytuacji ukraińskiego migranta, który pojawia się w Polsce wewnętrznie podzielonej na dwa obozy, umownie nazwijmy je narodowo-katolickim i liberalno-lewicowym, i mimo, iż próbuje, na zasadzie mimikry, dopasować się do każdego z nich, to z jego usilnych starań nic ostatecznie nie wychodzi. Myślę, że w ogóle w najbliższym czasie czeka nas wysyp tekstów interkulturowych. Na początku nie będzie to pewnie literatura sensu stricto. Na nią, jak sądzę, przyjdzie nam poczekać najdłużej. Wynika to z faktu, że praca z nowym językiem jest dla każdego piszącego niewątpliwie sporym wyzwaniem. Ale, jak to już widzimy na przykładzie prozy niemieckojęzycznej pisanej przez potomków polskiej emigracji do Niemiec z lat 80., przynosi bardzo udane rezultaty. Dobrym przykładem sprawnej internalizacji językowej jest znakomita książka Emilii Smechowski *My, superimigranci*, ukazująca doświadczenie córki polskich migrantów, którzy w pierwszym pokoleniu robili wszystko, żeby się zasymilować z nowym otoczeniem. Można powiedzieć, że intencjonalnie dążyli do tego, aby rozplątać się w niemieckiej rzeczywistości, żeby zgubić akcent i nie dać po sobie poznać, że są z Polski, że mają inne tło kulturowe. Świadcstwo kolejnej generacji wygląda jednak zupełnie inaczej. To już są ludzie, którzy mają potrzebę odkrywania swoich korzeni, którzy zadają pytania, dlaczego właściwie mieliby się wstydić swojego pochodzenia. Myślę, że pewnie spośród tych czterystu tysięcy ukraińskich dzieci, które w tym roku poszły razem z polskimi uczniami do polskich szkół i będą polskojęzyczne, pozostając przy okazji ukraińsko- lub rosyjskojęzyczne, znajdują się osoby, które stworzą podobne teksty jak Smechowski.



Fot. Weronika Loba

I jaka to będzie literatura?

Trudno będzie o niej powiedzieć, że będzie jednoznacznie polska w takim sensie, jak myślimy o polskiej literaturze, ale też nie będzie jednoznacznie ukraińska. W tej chwili mamy już do czynienia z podobnym typem pisarstwa. Myślę tu o twórczości Żanny Słoniowskiej. Jej uhonorowany Nagrodą Conrada i nominowany do Nagrody Nike *Dom z witrażem* jest książką napisaną przez lwowiankę, czyli osobę mówiącą po polsku. Z jednej strony jest to więc literatura polskojęzyczna, z drugiej zaś, zawiera wiele elementów mocno zaznaczonego ukraińskiego tła. W tym kontekście zresztą ciekawie brzmi świadectwo Słoniowskiej, która zawsze, jak mówi, myślała o sobie, że jest Polką, aż nagle, zaraz po przyjeździe do naszego kraju, poczuła, że jest jakiś problem z jej dotychczasową polsnością. Wynikało to z faktu, że nagle znalazła się w centrum ogromnego zainteresowania z uwagi na swój wschodni akcent.

To mi przypomina sytuację, której niedawno doświadczyłam. Spotkałam mianowicie w autobusie Ukrainkę, która jechała zapisać dziecko do szkoły i powiedziała mi, że córka nie chce chodzić do polskiej placówki właśnie z uwagi na słabą znajomość naszego języka i wybrzmiewający w jej wypowiedziach obcy akcent. Ta pani miała żal do Polaków, że wymagają od przyjezdnych, aby bardzo szybko nauczyli się mówić bezbłęd-

nie. Wygląda to trochę tak, jakbyśmy dopuszczali do naszego społeczeństwa tylko ludzi mówiących idealnie po polsku.

Myślę, że są to konsekwencje funkcjonowania w homogenicznym społeczeństwie przez wiele dekad. Dzisiaj nie mamy po prostu niezbędnych narzędzi do pracy z wielokulturowością. Radzimy więc sobie na tyle, na ile pozwalała nam dotychczasowa wiedza, empatia, przyzwoitość i chęć zmniejszenia tego potencjału konfliktogennego. I rzeczywiście Polacy, jak chociażby pokazuje wspomniany przykład Słoniowskiej, której wschodni akcent budził na każdym kroku nadmierne zainteresowanie, jakoś inercyjnie dążą do tego, żeby kompetencje językowe Ukraińców w zakresie języka polskiego były nienaganne. Jakbyśmy chcieli, żeby ta grupa ludzi przestała się odróżniać językowo od reszty społeczeństwa.

A może chcielibyśmy, żeby już teraz dla Ukraińców pozostających w Polsce to właśnie nasz kraj był nazywany drugą ojczyzną?

Myślę, że na to jest jeszcze za wcześnie. Językiem polskim operować będzie drugie pokolenie, czyli osoby, które są w tej chwili w wieku szkolnym. I to będzie niezwykle ciekawe, jak one będą patrzeć na swój związek z Polską. Niewątpliwie powinniśmy przyzwyczajać się do tego, że będziemy mieli bardzo silną nową ukraińską mniejszość narodową i ona będzie się różniła od tej dotychczasowej. Myślę, że o jej ostatecznym kształcie zdecyduje wynik tej wojny. W naszym Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnym Polska-Ukraina mamy na przykład grono osób, które nazywamy grupą dwóch tygodni. To są ludzie, którzy swoje plany określają z czternastodniowym wyprzedzeniem, a potem pojawia się w ich świadomości mgła. Oni ciągle myślą, że wrócą do Ukrainy, ale ten czas powrotu nieustannie ulega rozciągnięciu. Niedawno rozmawiałem z Marherytą Pronczenko, reżyserką z Charkowa, która przyjechała do Polski w pierwszych dniach marca. Dziewczyna, która na początku reprezentowała tzw. grupę dwóch tygodni, stopniowo zaczęła się integrować z polskim życiem kulturalnym i w tym momencie już zapowiedziała premierę swojego spektaklu w Teatrze Animacji w Poznaniu.

Wygląda to więc dosyć optymistycznie.

Tak, ale boję się, że jeśli wojna się przeciągnie i będziemy mieć do czynienia z zamrożonym konfliktem na naszej wschodniej granicy, spowoduje to cały szereg kryzysów społecznych. Cały czas nie wiemy przecież, czy dobre rzeczy, które dzieją się na naszych oczach, będą na tyle silne, że nadpiszą to, co było między nami do tej pory. Jeszcze nie umiemy odpowiedzieć na pytanie, czy dawne doświadczenia nie będą negatywnie wpływać na naszą codzienność i wzajemne stosunki.

Jednym słowem, chodzi o to, czy skomplikowana przeszłość nadal będzie definiowała polsko-ukraińską relację?

No właśnie. Dlatego myślę, że czeka nas jeszcze wiele pracy. Już dziś należałoby zastanowić się chociażby na sposobami prezentowania Ukrainy w przestrzeni publicznej. Musimy wziąć pod uwagę, że mamy coraz trudniejszą sytuację gospodarczą, a wokół nas nagle pojawiło się sporo języka ukraińskiego i bardzo dużo rosyjskiego. Tego rodzaju sytuacja może wśród Polaków powodować różnego rodzaju lęki społeczne. Chodzi o to, żeby o nich rozmawiać i ich nie lekceważyć, bo nie każdy z nich musi być równoznaczny z ksenofobią.

Rozmawiała Aneta Zawadzka

Jak zostać kryptologiem?

Od jesieni 1932 roku trójka matematyków codziennie głowiła się nad szyfrem, a dodatkowo po godzinach robił to jeszcze Rejewski. W tajemnicy przed kolegami dostawał dodatkowe materiały wywiadowcze z Francji.

O Marianie Rejewskim napisano wiele. Lubimy się szczerzyć sukcesami polskiego wywiadu. Ostatnio ukazała się książka Roberta Gawłowskiego na temat tej postaci (*Jestem tym, który rozszyfrował Enigmę. Nieznana historia Mariana Rejewskiego*, Wydawnictwo Episteme, Lublin 2022). Matematyk jest tu przedstawiony jako bydgoszczanin, syn, mąż i ojciec oraz szeregowy pracownik w Polsce Ludowej. Od większości ludzkich biografii odróżnia tę jednak pewien przeblask geniuszu, który przytrafił się temu człowiekowi w młodości. Sądzę, że za jego sukcesem – oprócz oczywiście naturalnych zdolności – stoi unikatowa ścieżka edukacyjna, która ściśle wiąże się z kwestią pogranicza.

Polak wśród Niemców

Marian Rejewski urodził się w Bydgoszczy 16 sierpnia 1905 roku. Jego ojciec Józef prowadził sklepy z wyrobami tytoniowymi. Matka, Matylda z domu Thoms, zajmowała się domem. Marian był siódmym i najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Miał trzy siostry i trzech braci, z których jeden zmarł niedługo po narodzeniu. Rodzina Rejewskich żyła w dobrych warunkach materialnych, co wcale nie było normą w zdominowanej przez Niemców Bydgoszczy. Matka Mariana pochodziła z rodziny browarniczej z Podgórza i wniosła do małżeństwa posag. Ojciec matematyka był sprawnym handlowcem i umiał zdobywać klientów. Żyli w modnej i rozbudowującej się dzielnicy elżbietańskiej (obecnie plac Piastowski). Ich mieszkanie znajdowało się w neorenesansowej kamienicy przy ul. Wileńskiej. Pierwsza szkoła, do której chodził młody Marian Rejewski, to Vorschule der Staedtichen Oberrealschule in Bromberg. Uczęszczał tam w latach 1912–1914. Warto wspomnieć, że uczono tam – jak i we wszystkich szkołach Księstwa Poznańskiego – wyłącznie w języku niemieckim. Stąd Rejewski, mimo że Polak, biegle znał język, co było przydatne w przyszłej karierze kryptologicznej.

Kolejnym szczeblem edukacji było Królewskie Gimnazjum im. Fryderyka Wilhelma (Königliches Friedrichs-Gymnasium), do którego uczęszczał od 1915 roku. Była to szkoła z tradycjami sięgającymi jeszcze XVII wieku i istniejącego tam kolegium jezuickiego. Placówka wyróżniała się kształceniem w zakresie przedmiotów klasycznych. Polskich uczniów było ok. 20%. Uczono tam greki, łaciny i języka francuskiego. Od 1908 roku języka polskiego nie można było także używać w przestrzeni publicznej, zatem w języku ojczystym Rejewscy rozmawiali jedynie w domu.

Wraz z końcem I wojny światowej w Bydgoszczy zapanowała niepewność. W 1918 roku nie stała się ona automatycznie polska. Po pierwsze, był to strategiczny dla Niemców węzeł komu-

nikacyjny między Poznaniem w Gdańskiem. Po drugie, 70% mieszkańców była pochodzenia niemieckiego. Sytuację zmieniło powstanie wielkopolskie i jego sukces. Bez niego Bydgoszcz została by zapewne integralną częścią Rzeszy. W biografii Rejewskiego widać tę niepewność. Na przykład świadectwo gimnazjalne z 1920 roku jest wystawione w dwóch językach – polskim i niemieckim. Nadal większość uczniów była Niemcami, a zaledwie 13% Polakami. Sytuacja zmieniła się dopiero po 1920 roku. Niemcy zaczęli się izolować od Polaków w prywatnym szkolnictwie. Proporcje Polaków i Niemców w mieście uległy odwróceniu. Na 89 tys. mieszkańców Bydgoszczy, 72% stanowili Polacy, a 27% Niemcy. O zmianie relacji przesądził napływ ludności z Galicji, o której rdzenni bydgoszczanie wypowiadali się raczej pogardliwie, nazywając ją „bosymi antkami” lub „Galicjokami”. Sami określali się jako „tutejsi” lub „Krzyżacy”. Ten antagonizm będzie widoczny w kolejnych latach.

W czerwcu 1921 roku zmarł na raka nestor rodu Józef Rejewski. Marian miał wtedy zaledwie 16 lat. Razem z 21-letnim bratem Janem pozostali jedynymi mężczyznami w rodzinie. Sam Rejewski nigdy tego specjalnie nie podkreślał, ale cechowała go odpowiedzialność i silne więzy rodzinne. Śmierć ojca była więc dla niego wydarzeniem, które w pewnym sensie przesądziło o dalszych losach. Matka Mariana zastąpiła zmarłego męża w sprawach bytowych, prowadząc sklep tytoniowy i kolekturę. Rejewski ukończył gimnazjum 12 czerwca 1923 roku. Zdawał maturę m.in. z byłymi obrońcami Warszawy. Do egzaminu mógł bowiem podejść każdy bez względu na wiek.

Pierwsze matematyczne kroki

Już w gimnazjum było widać, że Rejewski ma łatwość nauki języków. Poza tym wyraźnie interesowała go matematyka i fizyka. Ze względów rodzinnych studia w jakimś odległym miejscu nie wchodziły w grę. Poznań co prawda wymagał przeprowadzki, ale nie był tak odległy jak inne miasta. Poza tym studiowała tam już wcześniej jedna z siostr Rejewskiego – Aniela. Została absolwentką geografii, po czym wróciła do Bydgoszczy wykonywać zawód nauczycielki. Można więc powiedzieć, że było to miasto oswojone już przez rodzinę Rejewskich. Młody kryptolog studiował na Wydziale Filozoficznym, bo tam ówczesnie była zlokalizowana Katedra Matematyki. Do jego wykładowców należeli profesorowie Zdzisław Krygowski, Franciszek Włodarski, Kazimierz Abramowicz i doktor Władysław Ślebocki. Największy wpływ na Rejewskiego mieli Abramowicz i Krygowski, którzy przenieśli dorobek matematyczno-filozoficzny szkoły lwowsko-warszawskiej do Poznania.

Prof. Zdzisław Krygowski (1872-1955) pochodził ze Lwowa, natomiast wykształcił się w obszarze matematyki, fizyki i astronomii w Krakowie. Był kierownikiem Katedry Matematyki na Uniwersytecie Poznańskim. Interesował się m.in. teorią funkcji eliptycznych, czyli funkcji określonych na zbiorze liczb zespolonych, które są dwuokresowe, a więc periodyczne wzdłuż dwóch kierunków. Prof. Krygowski interesował się też sztuką, muzyką i grał na fortepianie. Młodszy o dekadę Kazimierz Abramowicz (1888-1936) był wykształcony w Kijowie i interesował się teorią funkcji analitycznych. Rejewski uczestniczył w jego licznych zajęciach. Jednak przede wszystkim to prof. Krygowski stał się mentorem Rejewskiego, a nawet towarzyszem wspólnych górskich wędrówek.

W okresie studiów Rejewskiego nie było egzaminów wstępnych, a jedynie spotkanie z dziekanem. Weryfikacja kandydata odbywała się w toku studiów. Trzeba było opłacić wpisowe, czesne i uiścić opłaty egzaminacyjne. Rok akademicki podzielony był na trymestry, a większość egzaminów miała formę ustną. W skład komisji wchodził przedstawiciel wszystkich przedmiotów, więc w zasadzie każdy egzamin był publiczny. Uniwersytet Poznański przyciągał głównie studentów z zachodniej Polski i Śląska. Byli to przedstawiciele rodzin rzemieślniczych, kupców, przemysłowców. Większość młodzieży mieszkała na stacjach, bo liczba miejsc w akademikach była niewielka. Największy wpływ wśród studentów miała Bratnia Pomoc i Młodzież Wszechpolska, co nie powinno dziwić świeżo po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i walce, jaką Wielkopolska musiała stoczyć, żeby częścią tej Polski się stać. Mariana jednak zbytnio nie interesowała polityka. Skupiał się na nauce. Studia ukończył w terminie – co wcale nie było ówczesnie normą – w związku z dużą liczbą egzaminów. Na nich uzyskiwał zazwyczaj oceny bardzo dobre, co świadczy o pilności i zaangażowaniu młodego kryptologa. Praca magisterska nosiła tytuł *Opracować teorię funkcji podwójnie periodycznych drugiego i trzeciego rodzaju oraz wykazać jej zastosowanie*. Za rozprawę otrzymał ocenę dobrą.

Podczas ostatniego roku studiów w 1929 roku prof. Krygowski zaprosił wybranych studentów na kurs kryptologiczny. Zadanie to zostało powierzone profesorowi przez kierownika Biura Szyfrów Maksymiliana Ciężkiego. Potrzebował on personelu do swojego biura i uznał, że matematycy sprawdzą się lepiej niż lingwiści (jak postępowano do tej pory). Kluczowe w rekrutacji były więc kompetencje matematyczne i znajomość języka niemieckiego. Rejewski był kandydatem idealnym. Wyróżnił się na kursie i dał się poznać jako znakomity matematyk-kryptolog. Obok niego osiągnięcia mieli także Jerzy Różycki (1909–1942) i Henryk Zygałski (1908–1978), którzy także później stali się pracownikami Biura Szyfrów. Marian Rejewski nie ukończył jednak kursu kryptologicznego, ponieważ zakończył 1 marca 1929 roku studia matematyczne w Poznaniu. Chciał kontynuować pracę na uczelni, ale nie było wtedy ku temu możliwości (brak wolnego etatu), więc rozpoczął studium z matematyki ubezpieczeniowej w Getyndze.

Nauka w Getyndze miała posłużyć Rejewskiemu do tego, żeby zostać aktuariuszem, czyli osobą, która wylicza wartość ryzyka i wartość projektów finansowych. W odbudowującej się Polsce branża ubezpieczeniowa dopiero się rozwijała, więc była możliwość zdobycia pracy i godnych zarobków. Uniwersytet w Getyndze miał ogromną tradycję i prestiż, jednak podjęcie na nim studiów okazało się dla młodego Rejewskiego rozczarowaniem. Po pierwsze, poziom nauczania był niższy niż się spodziewał. Dopadła go też jakaś przewlekła choroba, która utrudniała naukę. Po trzecie, nastroje na uniwersytecie się radykalizowały. Getynga była pod coraz większym wpływem nazistów, dlatego pobyt Rejewskiego w tym ośrodku akademickim nie trwał długo. Jesienią 1930 roku udało się matematykowi zostać



Marian Rejewski

Źródło: Wikipedia

asystentem na Uniwersytecie Poznańskim. Było to wówczas spełnienie marzeń.

Mimo że Rejewski nie ukończył kursu kryptologicznego, utrzymywał kontakt z Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygałskim. Ci, po ukończeniu kursu, zostali zaangażowani do zadań kryptologicznych w poznańskiej ekspozyturze Biura Szyfrów Wojska Polskiego. To oni dali znać kierownictwu (Franciszce Pokornemu, Maksymilianowi Ciężkiemu i Antoniemu Palluthowi), że Rejewski byłby zainteresowany pracą kryptologa. Początkowo zresztą Marian traktował to jako dodatkowe zajęcie, obok pracy na uczelni. Po latach wspominał, że to nie on wybrał kryptologię, tylko raczej kryptologia go wybrała. Trójka młodych matematyków regularnie dostarczała do Warszawy odkodowane depesze, które były zazwyczaj wykradane z niemieckich pociągów pocztowych.

Zawód: kryptolog

W 1932 roku Rejewski, Różycki i Zygałski zostali przeniesieni do Warszawy, co m.in. zakończyło krótką karierę Mariana Rejewskiego na uczelni, dało jednak lepsze warunki pracy wywiadowczej. Nowe miejsce było ulokowane w Pałacu Saskim, w Sztaby Generalnym Wojska Polskiego. Początkowo kryptolodzy sądzili, że będą robić to samo, co w Poznaniu – odkodowywać niemieckie depesze. Dostali jednak inne zadanie: zająć się nowym maszynowym kodem, który pojawił się niedawno w komunikacji niemieckiej. Chodziło oczywiście o Enigmę.

Zadanie przed matematykami było trudne i początkowo nie mieli punktu zaczepienia. Po pierwsze, kluczowa była rekonstrukcja maszyny szyfrującej. Po drugie, opracowanie metody, która w szybki sposób pozwalałaby na odtwarzanie kluczy dziennych. Enigma bowiem codziennie zmieniała sposób szyfrowania. Tu z pomocą przyszedł wywiad zachodni. Francuzom nie udało się nic zrobić z planami budowy Enigmy. Nie potrafili wykorzystać też przechwyconych kart do szyfrowania. Uznając materiał za bezwartościowy, przekazano go Pola-

kom. Biuro Szyfrów Wojska Polskiego bardzo dobrze spożytkowało te informacje.

Od jesieni 1932 roku trójka matematyków codziennie głośno się nad szyfrem, a dodatkowo po godzinach robił to jeszcze Rejewski. W tajemnicy przed kolegami (o co poprosili go przełożeni) dostawał dodatkowe materiały wywiadowcze z Francji. Ostatecznie po raz pierwszy to właśnie Marianowi Rejewskiemu udało się złamać szyfr pod koniec 1932 roku. Zrobił to w okresie teoretycznie wolnym od pracy, gdzieś między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Niedługo potem powstała kopia Enigmy wyprodukowana przez polską firmę AVA.

Rejewski i jego współpracownicy w swoich pracach opierali się na teoriach kombinatorycznych. Zauważyli, że permutacje układane przez maszynę mają strukturę cykliczną. Do odtwarzania cykli permutacji wirników Enigmy wykorzystywano zaprojektowany przez Rejewskiego cyklometr i karty charakterystyk. Dzięki tym narzędziom można było dekryptować dzienny kod w około 15 minut. Nieco później, bo w 1938 roku, powstało kolejne narzędzie zwane bombą kryptologiczną. Do tego celu wykorzystywano aż sześć Enigm sprzężonych razem. To umożliwiało odszyfrowywanie podwójnie zakodowanych kluczy dziennych. Taka bomba kryptologiczna ułatwiała i przyspieszała pracę. Z czasem wprowadzono także płachty perforowane wymyślone przez Zygałskiego. One umożliwiały z kolei odnalezienie właściwego położenia wirników Enigmy. W 1939 roku Niemcy znowu zmienili sposób szyfrowania. Od tej pory 6 bomb kryptologicznych to było za mało. Konieczność dalszego inwestowania w szyfry znacznie przekraczała możliwości polskiego wywiadu, dlatego 26 lipca 1939 roku doszło do tajnego spotkania w Pyrach. Tam polscy matematycy spotkali się z przedstawicielami brytyjskiego i francuskiego wywiadu.

Jak wspominał Rejewski, zwłaszcza Brytyjczycy szybko zrozumieli ścieżkę odszyfrowania Enigmy. Zrozumieli zasadę budowania płacht i bomb kryptologicznych. Zapowiedzieli, że stworzą analogiczne rozwiązania u siebie, co istotnie się stało w tajnym ośrodku w Bletchley Park. Każda delegacja otrzymała także replikę Enigmy zbudowaną przez Polaków. Natomiast nasz wywiad od sojuszników nie dowiedział się niczego. Ani Anglicy, ani Francuzi nie pokonali pierwszych trudności związanych z metodą połączeń bębneków w maszynie, wobec czego w istocie nie mieli nic istotnego do przekazania dla naszych służb. Było to niezwykle, jak bez większych nakładów i zasobów ludzkich udało się to akurat w Polsce, a nie bardziej zamożnym kraju Zachodu. Złamanie szyfrów Enigmy z pewnością zmieniło przebieg II wojny światowej.

Wojenna tułaczka

Wraz z atakiem Hitlera na Polskę kryptolodzy otrzymali nakaz ewakuacji. Pierwszym przystankiem była Rumunia, skąd matematycy próbowali dostać się do Francji. Umieszczono ich w Gertz niedaleko Paryża, gdzie opiekował się nimi major Gustave Bertrand (1896-1976), którego znali już ze spotkania w Pyrach. Jednak ich potencjał nie był w pełni wykorzystany, co wynikało z nieufności. Wszak polscy kryptolodzy byli członkami obcego wywiadu. W styczniu 1940 roku Polacy spotkali się z Alanem Turingiem (1912-1954), który tak jak wcześniej oni szukał metod odkodowywania depezy Enigmy. Przyjął on jednak inną logikę – chciał odkodować szyfr wychodząc od depezy, a nie od budowy maszyny, jak to robili wcześniej Polacy. Kryptolodzy wymienili się z nim informacjami, ale raczej postrzegali go jako młodszego kolegę, który nadal się uczy. Nie mogli przewidzieć przyszłych osiągnięć angielskiego matematyka i że stanie się on prekursorem nowej nauki – informatyki.

Polscy kryptolodzy chcieli opuścić Francję i znaleźć się w Wielkiej Brytanii, współpracować z tamtejszym wywiadem, gdyż ten był bardziej zaawansowany w pracach kryptologicz-

nych. Jednak z niewiadomych względów utrzymywano ich pod komendą francuskich służb. Na krótko musieli się ewakuować do Algieru, gdzie zginął w styczniu 1942 roku Jerzy Różycki. Potem pod przybranymi nazwiskami przebywali w różnych lokalizacjach we Francji, gdzie udało im się złamać dwa systemy szyfrów niemieckich wykorzystywane do tropienia ruchu oporu. W styczniu 1943 roku wywiad francuski postanowił przenieść Polaków do Hiszpanii, co skończyło się niezbyt szczęśliwie. Przewodnik porzucił i obrabował Rejewskiego i Zygałskiego. Podczas samodzielnego podróży zostali aresztowani przez żandarmów hiszpańskich i umieszczeni w więzieniu. Po paru miesiącach udało im się jednak dotrzeć do Wielkiej Brytanii. Ani Rejewski, ani Zygałski nie zostali jednak włączeni do grupy z Bletchley Park. Szkoda, bo zapewne wiele mogli jeszcze osiągnąć. Rejewski wstąpił do Wojska Polskiego na obczyźnie. Zajmował się tam podsłuchiwaniami informacji nadawanych przez wroga. W 1946 roku wrócił do Polski, ponieważ pozostawił tu swoją rodzinę, nie tylko żonę z dwójką dzieci, ale także siostry i matkę. Zygałski zdecydował się zostać na obczyźnie. Tak zakończyła się ich przygoda z szyframi.

Powojenna rutyna

Powrót Mariana Rejewskiego do Polski był trudną, ale zrozumiałą decyzją. Był to bowiem przede wszystkim człowiek rodzinny i odpowiedzialny. Nie mógł zostawić żony Ireny z domu Lewandowskiej, którą poślubił w 1934 roku i z którą miał dwójkę dzieci – Andrzeja i Janinę. Wojnę przeżyły także matka Rejewskiego oraz jego trzy siostry, z którymi był związany. Wracał więc do Polski ze świadomością, że jego przedwojenna oraz wojenna karta mogą być nie do zaakceptowania dla nowych władz ludowych. Nie chciał jednak rozpoczynać nowego życia na obczyźnie bez rodziny.

Tym, co ochroniło Rejewskiego przed wczesnymi szykanami organów bezpieczeństwa, był powojenny chaos migracyjny i fakt, że w Biurze Szyfrów Wojska Polskiego Rejewski był zatrudniony jako pracownik cywilny. W ten sposób mógł łatwo deprecjonować swój wkład w pracę wywiadowczą. Do domu – do Bydgoszczy, bo warszawskie mieszkanie zostało Rejewskim odebrane – kryptolog wrócił pod koniec 1946 roku. W lutym 1947 roku rozpoczął pracę w firmie Kabel Polski SA pod zarządem państwowym na stanowisku zwyczajnego pracownika umysłowego. W rzeczywistości oznaczało to pracę w dziale sprzedaży i finansów. Kolejna praca znalazła się w Państwowym Przedsiębiorstwie Mierniczym, a od 1951 roku w Związku Spółdzielni Rzemieślniczych. Od 1954 roku Rejewski pracował w Wojewódzkim Związku Spółdzielni Pracy. Do końca kariery zawodowej był skromnym urzędnikiem i nie wrócił do kryptologii. Podczas odwilży 1956 roku napisał do Ministerstwa Obrony Narodowej list wskazujący, kim jest i że jego wiedza mogłaby jeszcze być wykorzystywana przez polskie władze. Nie dostał odpowiedzi. Od początku był inwigilowany przez służby, ale nic obciążającego nie znaleziono.

Po przejściu na emeryturę w 1967 roku napisał *Wspomnienia z mej pracy w Biurze Szyfrów Oddziału II Sztabu Głównego w latach 1930-1945*, które wysłał do Wojskowego Instytutu Historycznego w Warszawie. Tekst leżał tam sobie w szufladzie, a Rejewski prowadził spokojne życie emeryta. W 1973 roku gen. Bertrand – ten, który uczestniczył w spotkaniu w Pyrach, a potem podczas wojny był przełożonym kryptologów – wydał swoje wspomnienia, w których opisał dokonania polskich matematyków. Takiej doskonałej sytuacji propagandowej Polska Ludowa nie mogła przegapić. Nagle życie Rejewskiego zmieniło się nie do poznania. Do skromnego mieszkania emeryta zawiąły setki reporterów. Nikt nie mógł uwierzyć, że szeregowy urzędnik przeżył pół życia skrywając tajemnicę Enigmy. To właśnie w tej postaci było niezwykle.

Piotr Hübner

Rozmowy z Bermanem

Spotkanie z Bermanem wiązało się z dylematem moralnym: czy należy rozmawiać z katem. Uważałem, że tego wymaga konieczność uzyskania wiadomości „u źródła”. Do tego dochodził paradoks: rozmawiałem z „szarą eminencją” ustroju.

W 1970 roku, po usunięciu Gomułki, stworzył się klimat otwarcia. Decydowały się wtedy losy mojego doktoratu. Kandydowałem na studia doktoranckie w Instytucie Historii PAN, jednak bezskutecznie, ponieważ nie miałem dorobku publikacyjnego. Prof. Leśnodorski obok historii ustroju uprawiał także historię nauki. Uzgodnił z prof. Bogdanem Suchodolskim, twórcą Zakładu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN, że mogę uzyskać tam stypendium doktorskie. Nie były to studia doktoranckie, lecz stypendium dla osób zatrudnionych poza nauką, wtedy pracowałem w szkole średniej. Była to jedyna szansa na wspieraną pracę naukową, bo na uniwersytecie obo wiązywał wobec mnie wilczy bilet.

Od czasu powstania Zakładu prof. Suchodolski redagował wielotomową *Historię nauki polskiej*. Praca utknęła na okresie międzywojennym. Czym innym były opracowania dotyczące poszczególnych dziedzin nauki, a czym innym temat „polityka naukowa”. To hasło było w odniesieniu do XX wieku całkowicie zasadne. Prof. Suchodolski zaangażował Bohdana Jaczewskiego, który był członkiem PZPR, co ułatwiało karierę. Jego habilitacja dotyczyła polityki naukowej II Rzeczypospolitej – oceniano, że była poprawioną wersją doktoratu o finansowaniu i organizacji nauki II RP. Jaczewski pisał faktograficznie, bez uwzględniania systemu wartości środowiska oraz idei nauki. Następnie przez długie lata prowadził Stację PAN w Paryżu, a po powrocie był w PAN zastępcą sekretarza w Wydziale Nauk Społecznych. Po paru latach został zamordowany. W notach dziennikarskich sugerowano jako przyczynę relacje homoseksualne bądź mafijne z wyścigów konnych.

Prof. Suchodolski był człowiekiem wysokiej klasy, zarówno zawodowo, jak i pod względem kultury osobistej. Podobnie było z prof. Leśnodorskim. Obaj znaleźli dla mnie temat „ryzykowny”. Ja się niczego nie obawiałem. Zaproponowano mi opracowanie polityki naukowej w Polsce Ludowej, w perspektywie do 1950 roku. Był to rok oficjalnego zamknięcia dostępu do archiwaliów. Zaczęłem od analizy roczników „Życia Nauki”. W Archiwum PZPR przedstawiłem świadomie, że nie interesują mnie personalia, a zajmuję się materiałami organizacyjnymi. Ukrywałem też zainteresowanie stalinizmem. Po rozmowie kwalifikacyjnej z dyrektorem Januszem Durko (nie pytano mnie o członkostwo PZPR, działała rekomendacja prof. Leśnodorskiego) otrzymałem całe teczki, bez selekcji. Wiedziałem, że po raz drugi mogę nie uzyskać dostępu do archiwaliów, notowałem więc w formie cytatów znaczące fragmenty dokumentów. Szeroką kwerendę prowadziłem też w Archiwum Akt Nowych, były to głównie dokumenty biurowe.

Dokumenty i wywiady

Prof. Leśnodorski zaproponował, żebym przeprowadził rozmowy z osobami, które były związane z tamtymi zdarzeniami. Odbylem szczególnie rozmowy z Tadeuszem Kotarbińskim i Marią Ossowską, osobami o znaczącym autorytecie moralnym. Przyjąłem, że nagrywanie rozmów byłoby ograniczeniem. Rozmowy prowadziłem zapraszany do mieszkań, w kameralnych warunkach. Po rozmowie, w domu, „na gorąco” robiłem notatki, które nie były poddawane autoryzacji. Zakładałem, że nie będę w pracy doktorskiej cytował wypowiedzi, ponieważ mówiły o epoce sprzed ćwierćwiecza.

W moim zainteresowaniu były też osoby związane z kręgiem polityki. Jedną z takich osób był teoretyk prawa Stanisław Ehrlich, były sekretarz PZPR na UW w okresie stalinowskim. Miałem z nim zajęcia na pierwszym roku, po pierwszym semestrze. Wykładał teorię państwa i prawa. Jego egzamin odebrałem jako tendencyjny. Irytowały go moje ciemne okulary, nie podobał mu się mój garnitur, bo preferował styl mniej formalny. Ostentacyjnie chodził tylko w marynarce w kratę. Profesor zadał mi pytanie, na które ówczesnie nie potrafiłem znaleźć dobrej odpowiedzi. Chodziło o różnicę między partią a stronnictwem politycznym. Podczas egzaminu w mojej obronie stanął dr Wiktor Suchecki, prowadzący ćwiczenia z tego przedmiotu. Uznał mnie za najlepszego studenta. Suchecki powiedział Ehrlichowi o moich referatach na ćwiczeniach. Z Ehrlichem zetknąłem się po raz drugi już po wydarzeniach marcowych, w zupełnie innej atmosferze, jako gość w jego mieszkaniu. Przedstawił się jako austromarksista. Ponieważ też był ofiarą wydarzeń marcowych, uznał, że zasługuję na zaufanie i poparcie. Przez wiele godzin wyjaśniał istotę partii komunistycznej i mechanizmy jej działań. Udostępnił dokumenty ukazujące rozgrywki personalne w stalinowskim Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Skierował mnie do Adama Schaffa, dyrektora tego – jak mawiali bolszewicy – „Instytutu Czerwonej Profesury”. Ten z kolei po długiej rozmowie zapytał, czy nie chciałbym porozmawiać z Jakubem Bermanem. Byłem zdumiony, bo nie wydawało mi się to możliwe. Zostałem polecony i dostałem numer telefonu. Jakub Berman mieszkał w Konstancinie, ale miał garsnierę w nowym budownictwie, obok Placu Grzybowskiego, na granicy dawnego getta. Zdziwiłem się, że jego nazwisko i inicjał imienia były umieszczone w spisie lokatorów, ponieważ musiał się bać, że któraś z ofiar go odszuka. Nie działał publicznie po 1956 roku, ukrywał się przed światem. Był poza kręgiem polityki, choć nie do końca. Grupa tzw. dobermanów (w nekro-

logach stosowali nazwę „grono towarzyszy”) nadal trzymała się razem. Byli w niej i Berman, i Schaff.

Uważałem ich za osoby wrogie i negatywne w polityce. Działali w sferze ideologii, unikali nawet roli „mordercy zza biurka”. Publikacje „nowej nauki” cechowała prymitywna ideologizacja. Stalina nazywano „geniuszem nauki”. Działania Bermana dotknęły moją rodzinę. W 1949 roku promował pokazowy proces aptekarzy. Postępowanie poprzedzało nacjonalizację aptek. Chodziło o wytworzenie publicznego przeświadczenia, że prywatni farmaceuci to ludzie źli. Głównym zarzutem było to, że sprowadzano ówczesne lekarstwa z Zachodu, a nie ze Związku Radzieckiego. Jednym z oskarżonych był Aleksander Hübner, mój stryj, kierownik największej apteki w Warszawie i hurtowni leków. W procesie skazano go na więzienie, które opuścił po upadku stalinizmu i niedługo potem zmarł. Nie zamierzałem jednak tego pokrewieństwa Bermanowi ujawniać. Kojarzył mnie raczej z Władysławem Hibnerem, komunistycznym agentem, pochodzącym z okolic Łodzi, więc możliwe, że byliśmy dalekimi krewnymi. Związany był z przemysłem sukienniczym, jak w *Ziemi obiecanej*. Rodzina Ojca miała w Turku manufakturę sukienniczą przez cały XIX wiek.

Uwolniono polską naukę od tej niewłaściwej

Spotkanie z Bermanem wiązało się z dylematem moralnym: czy należy rozmawiać z katem. Uważałem, że tego wymaga konieczność uzyskania wiadomości „u źródła”. Do tego dochodził paradoks: rozmawiałem z „szarą eminencją” ustroju. Berman był oficjalnie w czasach stalinowskich podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów, a w partii komunistycznej odpowiadał za politykę wobec inteligencji. Ja zaś byłem uformowany przez szefa kontrwywiadu AK, o czym oczywiście Berman nie wiedział. Prowadząc z nim rozmowę, wykonywałem intelektualny wyrok.

Berman przyjął mnie, mówiąc do mnie per „towarzyszu”, czego ja nie prostowałem, sam nie używałem tej formy. Korzystał też z formy „wy”, co było typowe dla języka partyjnego. Kiedy rozmawiałem z Bermanem, był już w wieku emerytalnym, ale bystrość umysłu miał w pełni zachowaną. Przedstawił wiele informacji o historii ruchu komunistycznego. Sprawy dotyczące nauki, o których mówił, miały ogólnikowy charakter. Możliwe, że Berman nie chciał wychodzić poza mój zasób wiadomości, jakie sondował. Kładł nacisk na brak represji wobec polskich uczonych (jednak, co ustaliłem, były). Mówił też o własnym strachu przed ‘beriowszczyzną’. Na podporządkowaniu miał przykład własnej dobroci – uratował przed aresztowaniem przez UB prof. Wiktora Kemulę. O tych uczonych, których pozbawiono wolności czy kontaktów ze studentami, nie mówił. Wyjawił, że przygotował tekst wystąpienia Bolesława Bieruta, wygłoszonego na publicznym posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności 19 czerwca 1946 roku. Polemizował z tezą o „czystej nauce”, jaką głosili uczeni. Opowiadał się – ustami Bieruta – za „naukową analizą istniejącej rzeczywistości”. PAU odrzuciła koncepcję modernizacji na wzór AN ZSRS. O taktycznych działaniach Bermana świadczyła też jego interwencja podczas Światowego Kongresu Intelktualistów, zorganizowanego we Wrocławiu w obronie pokoju (25 sierpnia 1948). Po radykalnym przemówieniu delegata radzieckiego Berman telefonował do Moskwy, prosząc o złagodzenie tonu. Kontakty telefoniczne miał najczęściej z Janem Dzierżyńskim, synem Feliksa, odpowiadającym w Kominformie za sprawy polskie. Problemem Bermana był powszechny opór uczonych wobec marksizmu, do wyjątków należeli w okresie okupacji Leon Chwistek oraz działający skrycie na zapleczu konspiracji Ludwik Sawicki. Po wojnie nie budził sympatii środowiska Stanisław Arnold, dotknięty chorobą alkoholową. Naturalnie Berman cały proces zniewalania



Jakub Berman

Zdjęcie: Wikipedia

polskiej nauki akademickiej przedstawiał pozytywnie: intencje były dobre, że uwolniono polską naukę od tej niewłaściwej, burżuazyjnej, zachodniej. Sięgał też po argument, który w Rosji Sowieckiej przedstawiano jako „car – batuszka, czynownicy płochiję”.

Po upadku komunizmu dałem do przeczytania Andrzejowi Zakrzewskiemu zapis rozmowy z Bermanem. Za najważniejsze uznał zanotowane słowa Bermana o 1945 roku: „gdy już opanowaliśmy Polskę”. Berman szybko się wtedy poprawił, bo wyczuł, że to nie najlepiej zabrzmiało. Chodziło oczywiście o kwestię wkroczenia z ZSRS armii i podstawionych osób, które w części tworzyły rząd polski i dominowały we władzach Polskiej Partii Robotniczej.

Podczas pierwszej rozmowy mówił, że udostępni mi różne materiały. Poprzestał na notatce – mam ją w całości przepisaną – o stanie szkolnictwa wyższego w Polsce Ludowej, sporządzoną przez pełniącą obowiązki pełnomocnika ds. szkolnictwa wyższego Zofię Zemenkową. Ta notatka to był dla mnie skarb. Mniejszą wagę przywiązywałem do relacji. Takie były moje doświadczenia ze zbierania materiałów. Relacje to stworzenie w pamięci pewnych treści, co może być tendencyjne. Materiał źródłowy to natomiast unikat. Mogę przypuszczać, że Berman miał wtedy tzw. szafę Bermana – tak się mówi o dokumentach przechowywanych prywatnie, które powinny trafić do archiwów. Nie wiem, czy ta notatka trafiła do jakiegoś archiwum po jego śmierci.

Tacy ludzie byli wtedy potrzebni władzy

Umówiłem się z nim na drugą rozmowę w kolejnym tygodniu. Nastąpiła wtedy całkowita zmiana sytuacji. Po pierwsze, dłuższą chwilę, zbyt długą – co było nienaturalne – spędził ze mną w przedpokoju. Po drugie, trzymał rękę w półotwartej szufladzie komody. Pewnie miał tam pistolet. Mógł przypuszczać, że jak przyszedłem za pierwszym razem, wyciągnąłem wszystkie potrzebne mi informacje. A za drugim razem wyciągnę (celowo tu używam tego języka partyjnego) – jak było z Lwem Trockim – toporek lub inne narzędzie i będę go próbował ukarać za wszystkie partyjne grzechy, które popełnił. Tym bardziej mógł tak myśleć, bo zapytałem go, dlaczego tolerowano

w kręgu partyjnym osoby, które jawnie występowały przeciw komunistom przed II wojną światową. Podaję przykład Piotra Lortscha, dyrektora departamentu w Ministerstwie Żeglugi przy Adamie Rapackim. Jednocześnie pracował razem z Kazimierzem Petruszewiczem, kierownikiem Wydziału Nauki KC, którego ojciec był jednym z organizatorów KPP. Piotr Lortsch w latach 20. był redaktorem „Tygodnika Faszystów”, co znalazłem w materiałach źródłowych. Innym przykładem był Władysław Kuczewski, rektor Politechniki Gliwickiej. Przed wojną też działacz prawniczy, a po wojnie prowokator wobec studenckich demonstracji 3 maja 1946 roku.

Berman nie chciał rozmawiać na takie tematy. Natomiast sens tego, co odpowiedział, można zredukować do twierdzenia, że tacy ludzie byli wtedy potrzebni władzy. Myślę, że chodziło o wykonywanie „czarnej roboty”. Dziś mówi się, że „miano na nich haka”. Wobec tego byli gotowi niejedno świństwo popełnić.

Różnica między tymi dwoma spotkaniami z Bermanem była taka, że przy pierwszym wziął mnie za gorliwego komunistę. Przed drugim spotkaniem musiał dokonać sprawdzenia, bo tak ci ludzie działają. Zadzwoił pewnie przede wszystkim do Adama Schaffa. Od niego się dowiedział, że nie jestem ani komunistą, ani dysydem. Po dłuższym wahaniu Berman zaprosił mnie do pokoju, w którym za pierwszym razem rozmawialiśmy. Tam, po paru zdaniach, powiedział, że nie ma już żadnych materiałów, że dokładnie sprawdził. Mogę go natomiast pytać. Zadałem mu więc kilka pytań. Powiedział mi też, że przygotował dla mnie wspomnienie o swoich początkach w ruchu komunistycznym. Z grzeczności wysłuchałem, chociaż nie było mi to potrzebne jako materiał. Na tym rozmowa się zakończyła.

Pointą niech będzie to, że minąłem go po paru miesiącach koło budynku SGPIS-u. Ukloniłem się jako człowiek dobrze wychowany, on natomiast mnie zignorował. Zauważyłem jak jakiś cień przebiegł mu po twarzy (strach?). Myślę, że zrobił to świadomie, ale nie próbowałem tego w żaden sposób weryfikować. Niech drugą pointą będzie to, że „dobermani” walczyli z tzw. odchyleniem prawniczo-nacjonalistycznym. Jak powiedział mi Władysław Bieńkowski, powojenny minister oświaty i najbliższy współpracownik Władysława Gomułki, w ludzi eksponowanych w stalinizmie (a Bieńkowski też się za takiego uważał) prędzej czy później uderza stworzony przez nich samych mechanizm represyjny. W skrócie: „rewolucja pożera własne dzieci”.

Bieńkowski opowiadał mi – w analogicznej rozmowie jaką przeprowadziłem z Bermanem – że gdy doszło do odsunięcia Gomułki w 1948 roku, on został przeniesiony z Ministerstwa Oświaty do Biblioteki Narodowej. Z przerażeniem odkrył, że jego bułgarski odpowiednik Traicho Kostov, zanim został osądzony i zgładzony, był na krótko także dyrektorem biblioteki narodowej. Z perspektywy czasu opowiadał to z humorem, choć to był raczej „czarny humor”.

Natomiast Berman skomentował, że jest w tym logika. Później dowiedziałem się, że zaczęło się to od procesu Rudolfa Slánský'ego w Czechosłowacji. Szczególnym aparatem, który podlegał represji w okresie tzw. beriowszczyzny, był aparat bezpieczeństwa. Berman – i to mi powiedział – obawiał się o własne życie. Bieńkowski komentował to tak, że Berman wykazał się pewną przebiegłością polityczną. Gdy fala represji stalinowskich uderzyła w sam aparat, Berman powstrzymywał te represje, na ile mógł, wobec elity partyjnej. Zdawał sobie sprawę, że na końcu tego łańcucha sam się znajdzie.

Książki nadesłane

Zbigniew ZDUNOWSKI, *Filozofia jest ciekawa. Z ćwiczeniami dla lubiących myśleć*, Wyd. von Borowiecky, Radzymin 2021.

Andrzej PIENKOS, *Rewolucja plenerowa XVIII wieku? Relacje z narodzin pejzażu nowoczesnego*, Wyd. UW, Warszawa 2021.

Helen SCALES, *Ryby mają głos. Przewodnik obserwatora światów podwodnych*, tłum. Magdalena Rabsztyń-Anioł, Wyd. UJ, Kraków 2022.

Szymon DROBNIĄK, *Czarne lato. Australia płonie*, Wyd. Czarne, Wołowiec 2021, seria: Reportaż.

Andrzej DĄBROWSKI, Magdalena HOŁY-ŁUCZAJ, Andrew SCHUMANN, Konrad SZOCIK, Jan WOLEŃSKI, *Leksykon logików polskich 1900–1939*, Copernicus Center Press, Kraków 2022.

Sylvia SOJDA, *Intensyfikacja i dezintensyfikacja w języku polskim i słowackim*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

An English-Polish Dictionary of Linguistic Terms, red. Piotr KAKIETEK, Anna DRZAZGA, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Dariusz ROLNIK, *Adam Chmara (1720-1805) – ostatni wojewoda miński w świecie polityki czasów stanisławowskich i jego archiwum*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Beata NOWACKA, *Glosy do „Szachinszacha” Ryszarda Kapuścińskiego*, konsultacja iranistyczna Mateusz M. Kłagisz, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Paulina KONCA, *Prawo interpretacyjne*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Teresa WILK, *Kultura w szkolnej i środowiskowej edukacji młodzieży poprzez sztukę. Edukacyjne doświadczenia z przeszłości, realia teraźniejszości, perspektywa przyszłości*, Wyd. UŚ, Katowice 2022.

Czterej pancerni i pies. Wokół fenomenu kulturowego, red. Marcin HLEBIONEK, Rafał MOCZKODAN, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022, seria: Wokół fenomenu kulturowego.

Paweł CIOMPA, *Drożyzna w Galicji i nędza urzędnicza*, edycja Sławomir Sojak, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2022, seria: Z antykwariatu ekonomicznego.

Łukasz KAMIENSKI, *Mimowolne cyborgi. Mózg i wojna przyszłości*, Wyd. Czarne, Wołowiec 2022.

Zdzisław SYBILSKI, *Psychoterapia. Lekarstwo bez skutków ubocznych*, Wyd. Novae Res, Gdynia 2022.

Maria KONOPNICKA, *Ta ziemia*, wyb. i oprac. Tadeusz BUDREWICZ, Muzeum Okręgowe, Suwałki 2022.

Tomasz BOCHENSKI, *Improwizacje w literaturze polskiej XX wieku*, Wyd. UŁ, Łódź 2022.

Kumiko MAKIHARA, *Szkoła po japońsku. Jak przetrwałam elitarną edukację mojego syna*, Wyd. UJ, Kraków 2022.

Magdalena WOŹNIEWSKA-DZIAŁAK, *W poszukiwaniu koncepcji narodu. Między historią idei a historią i antropologią kultury polskiej XIX wieku*, Wyd. Nauk. UKSW, Warszawa 2022.

Łukasz SUŁKOWSKI, *Zarządzanie uczelniami cyfrową. Między utopią wolności a dystopią władzy*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2022.

Quiet Quitting, czyli milczące zaniechanie

Angielski termin Quiet Quitting (milczące zaniechanie, cicha odmowa) oznacza zjawisko z lat 2020., zapoczątkowane w USA przez tak zwane pokolenie Z (urodzone w latach 1995-2012). Zawitał do Europy. W największym skrócie oznacza to, że ludzie mają wykonywać swoją pracę tylko w ilości, na którą była zgoda na wstępie, a więc nie maksymalnej ani minimalnej, a ponadto w zakresie i czasie wyznaczonym przez umowę, regulamin, przepis prawa albo typ zajęcia (np. portier nie sprząta, a księgowa nie drukuje formularzy). Swego rodzaju odpowiednikiem tego podejścia jest strajk włoski, który polega na niezwykle szczegółowym wykonywaniu obowiązków służbowych, co hamuje tempo działania firmy.

Jak można było się spodziewać, grabieżcza eksploatacja pracowników przez firmy i ich właścicieli musiała się wreszcie spotkać z protestem. Zjawisko nieprzestrzegania żadnych norm humanitarnych w zakładach pracy przez cały XX wiek narastało, aż przybrało formę niespotykanego wyzysku, który ongiś krytykował Marks jako cechę kapitalizmu obcą komunizmowi. Ideolog ten nie dopracował jednak swojej koncepcji i jak to on, imitując naukowość swych teorii, pominął przyczynowo-skutkową symetrię semantyki pojęcia praca. Dlatego nie mógł przewidzieć, że jego „nowy etos pracy” szybko stanie się jeszcze brutalniejszy właśnie w komunizmie, a po upadku tego systemu odżyje jako nowa zaraza, tym razem w ramach neokomunizmu wieku XXI w USA i Europie.

Już w latach 70. głośno mówiło się o japońskim karoshi, śmiertelnym wyczerpaniu pracą. Zwracano uwagę, że jest to zjawisko tyleż socjomedyczne, co psychologiczne. Polegało na wmówieniu w ludzi przekonania, że nic tak nie uzasadnia życia ani go nie uszlachetnia jak praca. Pracoholizm był powodem do dumy. W Europie z kolei przekręcano sens pochwały pracy zawartej w Katechizmie Kościoła Katolickiego, twierdząc, że religia ta „zagania nas do roboty”, gdy tymczasem według KKK „praca nie jest ciężarem, ale współpracą mężczyzny i kobiety z Bogiem w doskonaleniu stworzenia widzialnego, w granicach możliwości”. Chodzi o to, aby praca nie była ponad siły, ponad zdrowy rozum, ponad potrzeby danej osoby i jej otoczenia, choćby rodziny, także firmy. Zaczęto zauważać groźny psycho-społeczny skutek nadmiaru pracy – wypalenie zawodowe (ang. burn out), które stało się kolejnym źródłem cierpień pracowników, jak również obniżenia jakości produktów i usług.

Myślę, że niedopuszczalny stosunek przedsiębiorców do „zatrudnionych i sterroryzowanych poddanych” był, obok nieustających przejawów rasizmu, jedną z prawdziwych (niemedialnych) przyczyn amerykańskiego buntu spod znaku Black Lives Matter (Czarne życia się liczą), zainicjowanego w 2013, ale ostatecznie sprowokowanego przez policyjne zabójstwo czarnoskó-

rego George'a Floyda 25 maja 2020 r. Rozwścieczeni Afroamerykanie w tamtych chwilach zapomnieli, co ich naprawdę pcha do walki, nieraz niszczycielskiej. Dopiero kiedy przetrzymali natężenie nienawiści, dostrzegli nie tylko niesprawiedliwość rasistowską, ale jedną z nowych wad głównych kapitalizmu, rządzonego wedle zasad lewicowo-liberalnych. Ma ona swe źródło w doktrynach marksistów, którzy co prawda w latach 20. i 30. XX w. dostrzegli wady komunizmu leninowskiego (np. Antonio Gramsci, Szkoła Frankfurcka itp.) i negatywnie ocenili morderczą rewolucję październikową z późniejszym sowietyzmem, ale w zamian niestety zaproponowali walkę z religiami, rodziną i historią, a także nowe typy wyzysku, np. pracę zdalno-domową, która przekształca zajęcie w niemal całodobowe.

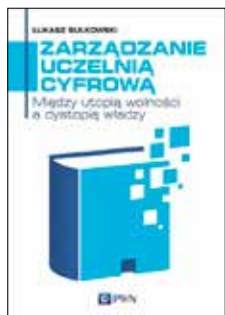
Protest przeciwko zastanym warunkom zatrudniania rozprzestrzenił się wśród młodych, i to bez względu na kolor skóry. Dziś stanowi sygnał o zagrożeniu dla ekonomii państwa. Wiadomo, że bez pracy nie ma życia, bo znikłyby środki utrzymania, ale z drugiej strony nie ma powodu, aby uzyskiwać je za wszelką cenę i walczyć o utrzymanie miejsca zatrudnienia, skoro i tak zawsze znajdują się ci, którzy dla swego zysku założą zakłady nowe. Tyle że to drastycznie zmniejszy obroty państwa. Konieczne może się okazać przewartościowanie mechanizmów gospodarki (kiedyś produkcję po prostu sprzedano Chinom, ale obecnie sposobów na wyjście z możliwego impasu nikt jeszcze nie widzi). Nowo kształtujący się układ nie pozwala na wspieranie dawnych ambicji, wynikających z etosu pracy, z osiągania sławy, uzyskiwania wysokiej pozycji społecznej, pochwał, nagród. Ma zapobiegać wypaleniu zawodowemu, zniechęceniu pracą, ale kosztem ilości i jakości pracy. Znane i dotychczas stosowane metody nakłaniania do zwiększenia wydajności teraz są sprzeczne z ambicjami pracowniczymi typu Quiet Quitting. Zachęty w rodzaju zajęć wspólnotowych (wspólne wyjazdy i integracja załogi) okazują się skuteczne tylko chwilowo, w czasie trwania, potem ich wpływ wygasa.

Nowe pokolenie pracowników obawia się przede wszystkim braku równowagi między życiem prywatnym a pracą. Pojawiają się silne i trudne do zanegowania argumenty, takie jak zaniebdywanie przez pracę rodziny, przymus rezygnowania z doskonalenia własnych talentów, zarzucanie wszelkiego rodzaju twórczości i upodobań, a także utrata poczucia przyjemności życia, z wycieńczenia popadanie w stany depresyjne lub paranoiczne oraz lęk przed utratą zdrowia ciała (choroby układu krążenia i układu ruchu, alergię, nowotwory, choroba otyłościowa).

Może za dużo mamy tej cyfryzacji i całej techniki, światła po nocach. Ludzie chyba już to czują – niczym cudzy oddech na karku.

e-mail: lpj@lpj.pl

Uczelnia jako las



Monografia *Zarządzanie uczelniami cyfrową. Między utopią wolności a dystopią władzy* autorstwa Łukasza Sułkowskiego, znanego uczonego, zajmującego się badaniami nad szkolnictwem wyższym, jest dziełem wybitnym i wyjątkowym. Wybitnym, gdyż nowatorskim, wybiegającym w przyszłość instytucji akademickich. Wyjątkowym, gdyż jej autor, korzystając z bogatej literatury przedmiotu i opowiadając o uczelniach, prowadzi rozważania konsekwentnie w myśl przesłania Politechniki Gdańskiej: „Historia mądrością. Przyszłość wyzwaniem”.

Co ważne, unika ocen zmian systemów szkolnictwa wyższego.

Sułkowski ciekawie opisuje ewolucję zarządzania uczelniami, ukazując i akcentując znaczenie ciągłości zmian od uniwersytetu średniowiecznego (I fali) do uniwersytetu cyfrowego (IV fali). Trafnie diagnozuje kierunki transformacji instytucji szkolnictwa wyższego, jakimi są: profesjonalizacja zarządzania, internacjonalizacja uczelni we wszystkich obszarach aktywności oraz dywersyfikacja misji uczelni i źródeł ich finansowania. Autor, przytaczając myśl Petera Druckera „Kultura zjada strategię na śniadanie”, podkreśla i docenia znaczenie ponadczasowych wartości akademickich i kultury organizacyjnej jako elementów tożsamości organizacyjnej uczelni oraz czynników stabilizujących nieuchronne zmiany zachodzące teraz i prawdopodobnie w przyszłości w instytucjach akademickich.

Monografia jest opracowaniem wyjątkowo bogatym pod względem podejmowanych aspektów funkcjonowania uczelni. Wyjątkową jej wartość upatruję również w tym, że autor, przedstawiając zagadnienia związane z przywództwem akademickim, systemami organizacji uczelni, poszczególnymi składowymi jej misji, zarządzaniem obszarami funkcjonalnymi uczelni oraz zarządzaniem zmianą, nie traktuje ich jak oddzielnych zagadnień, lecz jako ściśle ze sobą powiązaną całość. Parafrazując słowa Petera Senge z *Piątej dyscypliny*, Sułkowski postrzega uczelnię jako cały las, a nie zbiór pojedynczych drzew.

Podróż po problematyce dotyczącej zarządzania uczelniami autor kończy rozdziałem *Zarządzanie uniwersytetem przyszłości*, w którym na tle transformacji cyfrowej świata przedstawia transformację cyfrową uczelni. Szczególną wartość tej części monografii przypisuję analizie paradygmatów organizacyjnych uczelni i ukazaniu wieloparadygmatycznej perspektywy jej postrzegania.

Autor, nawiązując do tytułowej utopii wolności, odnosi ją do humboldtowskiego modelu autonomicznych uczelni, w którym istotne było pielęgnowanie akademickiego etosu i wolności nauki, pamięta także o rozliczalności uczelni z efektów. Utopii wolności Sułkowski przeciwstawia dystopię władzy i kontroli, której przyczyny, zdaniem autora monografii, leżą w komercjalizacji jednostek akademickich i czerpaniu przez uczelnie wzorców zgodnych z logiką New Public Management. Autor przestrzega przed takim podejściem.

Jak pisze, uczelnie powinny poszukiwać drogi pomiędzy utopią wolności a dystopią władzy, mierząc się z pytaniem, jaka uczelnia w przyszłości? Sułkowski, sięgając po bogatą literaturę światową, obejmującą wszystkie zagadnienia podejmowane w pracy, sprawił, że monografia jest także źródłem informacji o tym, nad czym pracują naukowcy zajmujący się badaniami szkolnictwa wyższego na świecie.

Monografia jest napisana klarownym językiem, a wywód autora jest spójny i logiczny, pozwalający na zrozumienie poruszanych zagadnień nie tylko osobom zajmującym się badaniami szkolnictwa wyższego.

Powinna trafić do bibliotek akademickich, a także na biurka decydujących o przyszłym kształcie szkolnictwa wyższego, zarówno na poziomie systemu, jak i instytucjonalnym. To wartościowa pozycja, która będzie z pewnością stanowić inspirację dla wielu badaczy szkolnictwa wyższego, a także osób właśnie wkraczających w ten obszar aktywności naukowej.

Krzysztof Leja

Anna Jawor

Łukasz SUŁKOWSKI, *Zarządzanie uczelniami cyfrową. Między utopią wolności a dystopią władzy*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022.

Co ma dron do tworzenia myśla?



„Spokojnie, będzie dobrze” – kończy książkę Łukasz Lamża. Technologie przyszłości, o których pisze, mogą bowiem fascynować, ale i przerażać zarazem. Cyborg art, drony zabójcy czy mięśnie z nanorurek to tylko niektóre z dziesiątek wynalazków, które już są dostępne albo niedługo będą, ponieważ wiadomo, jak tego dokonać. Jak? O tym również pisze Lamża w książce *Połącz kropki*.

Tytułowe kropki rozrzucone są po całym tekście w formie ramek z opisami takich technologii, jak druk 3D, architektury kognitywne, obrazowanie i pobudzanie mózgu czy kable podmorskie.

Autor zachęca do łączenia ich w dowolny sposób, wyobrażając sobie i kreując zarazem wizje przyszłości. Ramki dzielą się na dwie kategorie: IDEA oraz JEST i są przydzielone do pięciu wizji, stanowiących zarazem pięć zasadniczych rozdziałów książki.

Twój robot to marzenie o człowiekopodobnym robocie pomocniku, inteligentnym, wrażliwym i reagującym na każde nasze skinienie. *Twój świat* to wizja działających ściśle według naszych oczekiwań sprzętów, mebli, pokarmów, ale i wytworów kultury artystycznej powstających wyłącznie dla nas i według naszego gustu. *Twoje dane* obejmują całokształt danych, ale i metadanych na nasz temat, gromadzonych przez wielkie korporacje i analizowanych przez sztuczną inteligencję. *Twoje ciało* dotyczy medycyny jutra; to takie zagadnienia jak nanotechnologia, inżynieria tkankowa, edycja genomu, sprzyjające długowieczności, a może i wieczności życia. W końcu *Twój umysł*, czyli problematyka skalenia się naszych mózgów z komputerami.

Niektóre tematy budzą ogromne nadzieje, jak na przykład wyprodukowanie sztucznej nerki czy innych narządów, dzięki czemu można by uratować zdrowie i życie pacjentom niedoczekującym przeszczepu. Przed innymi ludzie się bronią. Na przykład wylogowują się ze wszystkich kont z nadzieją, że umkną korporacji Google, gromadzącej siłą rzeczy dane na nasz temat. Jak jednak uświadamia Lamża, macki Google’a są już zapuszczone w tylu miejscach, że praktycznie nie sposób stać się dla niego niewidzialnym. Ciekawe, że chronimy, również prawnie, nasze dane, np. wizerunek, dane osobowe, ale trudno jest osiągnąć i uregulować metadane, czyli dane o danych. One praktycznie w ogóle nie są chronione i stanowią coś w rodzaju szarej strefy.

Czy można by leczyć ludzi za pomocą roju nanorobotów medycznych pracujących w żyłach na kształt roju mrówek w swoich korytarzach? Czym jest sens w przypadku sztucznie generowanych treści? Na te i wiele innych pytań nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Lamża jednak sprawnie rysuje przed nami rozmaite perspektywy. Posiłkuje się przy tym ciekawymi statystykami i obrazowymi porównaniami. Dzięki temu praca, oprócz tego, że wzbogaca wiedzę, bardzo też poszerza wyobraźnię. Np. przywołując wyniki badań na temat ewentualnego wyprodukowania płuca, autor pisze, że jeśli naczynia krwionośne w płucu ludzkim mają objętość 2 litrów, to płuco ma powierzchnię ponad 40 metrów kwadratowych. „To tak, jak gdyby całą podłogę niewielkiego mieszkania upchnąć we wnętrzu dwulitrowej butelki wody”.

Książka jest świetnie, dynamicznie napisana, w amerykańskim stylu, tzn. autor cały czas pamięta, że pisze do czytelników, a nawet nawiązuje z nimi dialog, przeprowadzając płynnie przez kolejne zawieszki tematów. Te zawieszki muszą być integralną częścią książki o tak rozmaitych zagadnieniach, które w dodatku, choć niby tak odległe, jednak się ze sobą wiążą. Co zresztą mimochodem wychodzi na jaw, kiedy np. okazuje się, że nerw pośrodkowy biegnący przez środek naszej ręki to „kabelek”, a robot na nas „patrzy”, w dodatku „czule”. Daje temu autor również wyraz, kiedy przyznaje, że w rozdziale *Twoje ciało* pisał dużo o tkankach i organach ciała ludzkiego, jednak nie wspominał jeszcze o „organie, który cały ten tekst wygenerował”. Można by powiedzieć: kropki same się łączą.

Łukasz LAMŻA, *Połącz kropki. Nanoboty medyczne, drony zabójcy, odczytywanie myśli i inne technologie przyszłości*, Copernicus Center Press, Kraków 2021.

W technologicznym labiryncie



Miały wyposażać nas w komfort wolnego czasu, a zamiast tego zabierają nam go coraz więcej. Wiecznie zabiegani, ciągle się gdzieś spieszymy, nie nadążamy. Miały być też niewyczerpanym źródłem wiedzy, a skończyło się na tym, że z trudem odróżniamy prawdę od fałszu. Miały wreszcie ułatwiać kontakt z całym światem, a sprawiły, że staliśmy się jeszcze bardziej samotni. „Płaski, śliski, zimny telefon jest często bardziej atrakcyjny niż żywa osoba” – pisze Natalia Hatalaska, dowodząc za pomocą

także innych przykładów, w erze jakich paradoksów przyszło nam egzystować. Nowoczesne technologie tylko pozornie uczyniły życie łatwiejszym, w gruncie rzeczy stało się ono jeszcze bardziej skomplikowane. Skoro jednak wprowadziły tak radykalną odmianę, to czy są też w stanie nas ocalić?

To pytanie stawia już nie jako ich entuzjastka, którą – przynajmniej – była na początku, ani nawet „naiwna realistka”, którą z czasem się stała. Po tamtych etapach, wprawdzie minionych, ale mimo wszystko wartych przejścia, zyskała wiedzę, która pozwala jej dziś na spoglądanie z wielu perspektyw i dostrzeżenie również ciemnych stron zdobycy cywilizacji. Stawia więc niełatwe pytania, wzbudza wątpliwości, prowokuje do kwestionowania tego, co dzieje się wokół nas. Dla Hatalaskiej technologia w jakiegokolwiek postaci przestała być narzędziem takim jak inne – ewoluuje, a my wraz z nią, dostosowując się – czy tego chcemy, czy nie – do jej wymagań. „Im bardziej jest zaawansowana, tym mniej staje się widzialna, także w kontekście mechanizmów swojego działania” – pisze o technologii, ale w istocie – o paradoksie! – traktuje o człowieczeństwie.

W tym sensie to bardzo osobista, intymna wręcz lektura zogniskowana na tym, co w humanizmie najistotniejsze. Autorka identyfikuje i wydobywa na światło dzienne nieobecne wielu z nas emocje, lęki i obawy, pojawiające się choćby w zderzeniu z otaczającymi nas robotami czy towarzyszące doniesieniom o kierunkach rozwoju inżynierii genetycznej. „Nie, to nie fantastyka, tylko coś, co już się dzieje, albo za chwilę będzie się dziać” – przekonuje, a ta „chwila”, nawet jeśli ma się rozciągnąć na kolejne pokolenia, w żadnym razie nie działa uspokajająco. Wszystko to bowiem nie pozostanie bez wpływu zarówno na jednostki, jak i całe społeczeństwa.

Jako założycielka instytutu prognozującego przyszłe trendy, Hatalaska prezentuje wachlarz możliwych scenariuszy nadchodzących zdarzeń, z których każdy – o ile ma się świadomość, wybór i czas – można zmienić. Bez tych przymiotów, jej zdaniem, wszystkie starania skazane są na porażkę. Jednym słowem, skończymy w platońskiej jaskini. Tymczasem wychodząc z niej, moglibyśmy w porę zauważyć, że oto nadciąga świat lustrzany, w którym całe, podkreślmy, całe nasze życie, a nie tylko wybrane jego elementy, przybiera postać cyfrową. Przełączanie się z offline do online nie jest już więc konieczne. Pozostaje jeszcze tylko scyfrzować nasze zmysły... Przeróżające? Nieludzkie? A może po prostu rzeczywiście? Hatalaska nie chce straszyć, lecz uwrażliwia na próby manipulacji, jakim poddawani jesteśmy w Internecie. Nie zamierza epatować niebezpieczeństwem, ale otwiera oczy na to, jaki wpływ na nasze działania mają dziś algorytmy podpowiadające co czytać, oglądać, czego słuchać. Przestrzega też, by nie dać się zapędzić do klatki dającej iluzję posiadania kontroli nad swoim życiem, do czego nawiązują z kolei technologiczni giganci.

„To książka o jakości naszego życia (...), o wyborach, których powinniśmy dokonać, nawet jeśli wolelibyśmy tego nie robić, bo tak byłoby nam łatwiej” – przekonuje autorka i dodaje, że zmiany najlepiej zacząć od siebie. Ale przestrzega zarazem, że nie da się tego zrobić bez uzyskania świadomości, jak funkcjonuje świat poza nami i jakie mechanizmy nim rządzą. I to być może największy paradoks, z którym trzeba się mierzyć.

(karma)

Natalia HATALASKA, *Wiek paradoksów. Czy technologia nas ocali?*
Wydawnictwo Znak, Kraków 2021.

Autobiografia literaturoznawcy



Opracowania o polsko-niemieckich związkach literackich, historycznych i kulturowych Piotra Roguskiego, od jakiegoś czasu emerytowanego profesora w Instytucie Slawistyki Uniwersytetu Kolońskiego, są wolne od ciężkiego akademizmu. Jakkolwiek opierają się na wynikach żmudnych poszukiwań archiwalnych i analiz. W zbiorze opowiadań *Wiatr wieje tam, gdzie chce* literaturoznawca przedstawia się jako prozaik (wcześniej wydał pięć książek poetyckich). Autobiograficzne narracje uło-

żone są chronologicznie. Spina je los pewnego Polaka, a w niemalym stopniu jego pokolenia, któremu przyszło żyć od urodzenia w Polsce Ludowej.

Roguski jako autobiografista zrezygnował z nadmiernego epatowania swoim „ja”, niezwykłością osobistych doświadczeń, woli raczej opowiadać, snuć rozmyślenia, wtrącać wiersz o tym, jak toczyło się jego życie, jakie towarzyszyły mu ograniczenia, jak ludzie obok próbowali urządzić się w „socialistycznym” państwie, jak mu się poddawali i próbowali przeciwstawić się jego ponurym realiom.

Autor ze zmieniających się pod wpływem bagażu doświadczeń punktów widzenia opowiada nie tylko o sobie. Zarysowuje napięcie pomiędzy światem wewnętrznym narratora, poszukującego odpowiedzi na trudne pytania, a społeczno-państwowym otoczeniem „socialistycznego kraju”. Niedopasowanie do niego wciąż doskwierało autobiograficście w różnych sytuacjach. W powojennym oraz ideologicznym zamęciu jemu jako dziecku Józef Stalin mógł się pomylić ze św. Józefem. Bałagan, codzienna wrogość, partyjniactwo stawały się normą, do której trudno było przywyknąć.

Roguski zbeletryzował życiową wiedzę, którą zaczerpnął z autopsji lub z zasłyszanych przekazów o drogach, którymi podążyli rówieśnicy. W tekście Miłosz wcale nie chodzi o noblistę, lecz o rekonstrukcję procesu zniewalania, o opis werbowania osób do PZPR. Przynależność do niej obiecywała lepszą egzystencję. Ostatecznie czyniła ze swoich członków posłusznych pozorantów bez honoru i zasad. Narrator świadczy o epoce: „Partia, władająca naszym życiem, by przetrwać kryzys, musiała sięgnąć po wypróbowane metody i zrzuć dla pozorów starą skórę nazwisk. Przegrani odeszli do innych resortów lub w niebyt polityczny. Przychodzący zajęli opróżnione stanowiska”.

W zbeletryzowanych relacjach udokumentowane są zdarzenia przełomowe, zapowiadające upadek PRL-u. Jak pisze Roguski, przeżycie Solidarności z lat 1980–1981 było „doświadczeniem wyzwalającym”. Niebagatelną rolę w jego biografii odegrało chrześcijaństwo i Kościół katolicki. O swej wierze i religijności autobiografista mówi bez ostentacji.

W opowieści o tym, jak się żyło w PRL-u i później, Roguski odtworzył także prywatną historię zainteresowania Niemcami, która – nie mogło być inaczej – zaczęła się od wyjazdów do NRD. Udawano, że energowców i Polaków łączy „przyjaźń oparta na nowych zasadach. Kto żył w ustroju «sprawiedliwości społecznej» wie, że za fasadą kryły się stare uprzedzenia i nowe animozje i że językiem propagandy nie dało się pudrować rzeczywistości”. W tekście *Drezno* Roguski zapisał wiele obserwacji, które odkrywają to, co schowane było za wspomnianą fasadą. W mieście nad Łabą panowała się jeszcze „okupacyjna moralność”, a wyjazdy do NRD wiązały się ze swoistym przemytem.

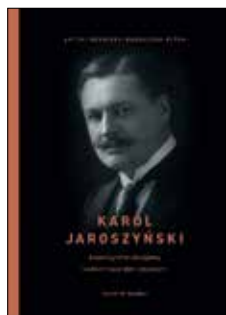
Spotkania z Zachodem, głównie Niemcami, przynosiły chwile porozumienia i niemalże rozczarowań. Niemieckie partie autobiografii to materiał do przemyślenia wciąż nie do końca wyjaśnionych i nie zawsze przyjaznych zaszłości pomiędzy Polską a Niemcami. Praca w Niemczech dała Roguskiemu asumpt do zastanowienia się nad zachowaniami naszych rodaków na obczyźnie. Autor zauważył, że z dala od kraju kompleksy nakazują rodakom izolację lub „agresję i grubiaństwo”. Konfrontacja z obcością prowadzi do bolesnych zderzeń z samym sobą.

Autobiografista dyskretnie opowiada o swej uniwersyteckiej karierze w Kolonii. Dzieje się tak, gdyż w doli literaturoznawcy liczy się ostatecznie zrozumienie czasu, który przeżył i wola jego opowiedzenia.

Zbigniew Chojnowski

Piotr ROGUSKI, *Wiatr wieje tam, gdzie chce*, Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2021.

Z Monte Carlo na KUL



Karol Jaroszyński (1877–1929), finansista i filantrop, jeden z najbogatszych Polaków przełomu XIX i XX w., współzałożyciel i dobrodziej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego to mało znana postać naszej historii, może dlatego, że większość życia spędził w Rosji. Książka Antoniego Dębińskiego i Magdaleny Pyter to piękna gawęda o tej zapomnianej postaci. Kiedy przystępował do interesów, posiadał rodzinny majątek Antopol oraz część akcji cukrowni Gniewań. Wyształcenia ekonomicznego nie miał. Jego edukacja to Kijowska Szkoła Męska Towarzystwa Popierania Szkoły Średniej oraz Pierwsze Gimnazjum Klasyczne, gdzie ukończył jedynie trzy klasy, a później jeszcze sześć w średniej szkole realnej w Moskwie. Od młodości pociągały go transakcje i biznes. W 21 roku życia musiał przeprowadzić podział majątku zostawionego po ojcu. Dwa lata później był już dyrektorem zarządzającym największej w Rosji cukrowni, której obroty sięgały kilkudziesięciu milionów rubli rocznie. Lubił ryzyko. Prowadził życie rozrutnego młodzieńca, a gry hazardowe w Monte Carlo stały się jego ulubionym zajęciem. Klęska przyszła szybko, przegrał wszystko, ale z pomocą przyszedł mu brat Józef, który uregulował długi. Jaroszyński w 1909 r. ponownie zjawia się w Monte Carlo, wygrywa olbrzymią jak na owe czasy sumę, ponad 2 miliony franków, i wychodzi z kasyna na zawsze.

Pomnażanie majątku rozpoczyna od cukrownictwa. Zaczął od zastawienia akcji w banku cukrownictwa w Kijowie, a za uzyskany kredyt nabył znaczny pakiet akcji tego banku. To pozwoliło mu na zdobycie w nim przewagi, a wtedy uzyskał kolejny kredyt, który przeznaczył na zakup akcji cukrowni. Nabyte przedsiębiorstwa zastawiał i ponownie otrzymywał kredyt. Następnie kupował duże pakiety akcji innych banków i na tej podstawie jako członek rad nadzorczych otrzymywał znaczne osobiste kredyty. W ten sposób w latach 1912–1913 kupił cukrownie w Kordelówce i Czarnominie w powiecie olhopolskim na Podolu.

Karol Jaroszyński przeszedł do historii jako dobroczyńca. W Petersburgu przełomu XIX i XX w. skupiły się intelektualne polskie elity, zarówno studenci, jak i kadry naukowe. O wyborze tego miejsca studiowania zaważyły stosunkowo małe koszty utrzymania, wysoki poziom uczelni, europejski format kadry profesorskiej a także liczne skupiska Polonii, a przede wszystkim represje popowstaniowe w kraju. Jaroszyński wspierał znacząco Rzymskokatolickie Towarzystwo Dobroczynności (1884–1919) działające przy kościele św. Katarzyny Aleksandryjskiej. A zwracały się doń o pomoc rzesze. Jaroszyński postanowił zorganizować centrum życia młodzieży studenckiej w Petersburgu. Rozpoczął w 1906 r. od wzorowanego na galicyjskim Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół Polski”. Był teatrzyk, jadalnia, a w końcu akademik – Dom Młodzieży Polskiej „Zgoda” (1917). Niestety był to rok katastrofy. Rewolucja bolszewicka zmiotła nie tylko fortunę Jaroszyńskiego, ale i dzieła dobroczynne.

Genialna intuicja księdza Idziego Radziszewskiego, najpierw studenta (1893–1897) Rzymskokatolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu, potem jej rektora (1914–1918), stała się przyczyną poszukiwań miejsca na założenie nowego polskiego uniwersytetu. Wrzenie rewolucyjne w stolicy Rosji przyspieszyło spotkanie z Jaroszyńskim. Wyrzucił on zgodę na finansowanie uczelni, gdyby powstała. Propozycje lokalizacji wysuwane przez Jaroszyńskiego obejmowały zasadniczo wschodnie tereny dawnej Rzeczypospolitej: Krzemieniec, Łuck, Żytomierz, Równe, Zamość. Radziszewski optował za Włocławkiem, Kaliszem, więc padło na Lublin.

Uniwersytet w Lublinie otwarty został 9 grudnia 1918 r. Jaroszyńskiego nie było na uroczystości otwarcia. Wspierał uczelnię, choć było to coraz trudniejsze. Majątek przepadał w Rosji i on sam musiał z niej uciekać. Kilkuletnia tułaczka po Europie kończy się w Warszawie. Umiera tu na dur brzuszny w 1929 r., samotny i prawie zapomniany.

Bogdan Bernat

Antoni DĘBIŃSKI, Magdalena PYTER, **Karol Jaroszyński. Atawistycznie obciążony wielkim hazardem życiowym**, Instytut De Republica, Warszawa 2022.

Birdwatching dla każdego



Mamy wielu popularyzatorów wiedzy przyrodniczej. Problem w tym, że to „popularyzowanie wiedzy” często opiera się na tekstach o „osobnikach juvenilnych żerujących w siedliskach ruderalnych”, jak ironicznie pisze Jacek Karczewski. Prace są pisane specjalistycznym językiem, opisuje się w nich odruchy, hormony, instynkty, żerowiska, siedliska, biomy, klimaksy, elementy abiotyczne... Na szczęście mamy też autorów, których przyjemnie się czyta, takich jak Adam Wajrak, Andrzej Kruszewicz, Adam Zbyryt, bracia Kłosowscy, nieżyjąca już Simona

Kossak i kilku innych, których Karczewski wymienia w swojej książce.

Karczewski to bajarz w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tak jak mówi podczas wypraw przyrodniczych i spotkań autorskich, tak samo gawędziarsko pisze w swoich książkach. A opisuje nie tylko wygląd i zwyczaje ptaków, lecz także odnosi się do pochodzenia ich nazw, związanych z nimi mitów i legend, podpowiada, gdzie patrzeć, czego wyglądać, czego nasłuchiwać i kiedy.

Książka składa się z czterech głównych działów: *W mieście*, *Nad wodą*, *Na wsi* i *W lesie*, w których opisane są konkretne gatunki, oraz z rozrzuconych pomiędzy tymi opisami rozdziałów *Po drodze*. W tych dodatkowych tekstach porusza takie dotyczące ptaków tematy, jak pochodzenie ich nazw, sprawę całorocznego dokarmiania, urządzania ogrodu, w którym zechcą zamieszkać ptaki, tak zwanych gatunków inwazyjnych, a także rozwija wątki związane między innymi z ochroną przyrody.

Długo nie mogłam się zdecydować, którego ptaka opis zaprezentować. Mogłabym opowiedzieć za Jackiem Karczewskim o żołnach, o których istnieniu często nie wiemy, chociaż ich liczba w Polsce z roku na rok wzrasta. Pewnie wielu ludzi, gdy je zobaczy, myśli, że to papugi, które uciekły z hodowli. Tymczasem te tęczowe ptaki gniazdują w naszym kraju od dawna, a zimą spędzają w Afryce. Autor książki pisze, że najbardziej kolorowego ptaka na kontynencie wymyślił sam Apollo i przytacza mit o Eumelusie z Teb, który w złości zabił swojego syna Botresa. Grecki bóg przemienił konającego w żołą. Ale ta historia zamordowania syna nie pasuje mi do żołn. To jedno z bardziej rodzinnych ptaków, ponieważ u nich przy pisklętach pomagają całe rodziny: wujkowie, ciocie, starsze rodzeństwo. To rzadko zdarza się u innych zwierząt.

Mimo przydomku pszczołojady żołą budzą w nas wiele pozytywnych uczuć, zupełnie inaczej niż „latające szczury” – gołębie miejskie. Ptaki te oskarżamy nie tylko o brudzenie, lecz także o roznoszenie chorób. Tymczasem w eksperymencie polegającym na wstrzyknięciu wirusa ptasiej grypy H5N1 do gardel gołębi nie udało się naukowcom wywołać choroby u żadnego ptaka. Nawet warszawski sanepid, zapytany, ile stwierdzono przypadków chorób rozniesionych przez gołębie przez dwadzieścia ostatnich lat, odpowiedział, że ani jednego.

Na gołębiach opierała się pierwsza na świecie regularna poczta lotnicza powstała w Nowej Zelandii w 1897 roku. Ptaki te odegrały znaczące role w historii, np. w przygotowaniu lądowania w Normandii czy dostarczając ponad linię frontu informacje o zajęciu przez Brytyjczyków włoskiego miasteczka Cavi Vecchia i powstrzymując aliantów przed zbombardowaniem go. W czasie II wojny światowej Brytyjczycy utrzymywali około 250 tysięcy ptaków nadzorowanych przez Ministerstwo Sił Powietrznych. Gołębiom przyznawano medale, poświęcano płyty pamiątkowe i pomniki.

Jeszcze o jednym trzeba wspomnieć przy okazji opisywania książki Karczewskiego, o pięknych, nasyconych kolorami ilustracjach Agnieszki Ciszewskiej, która umie oddać nie tylko efektowne kolory żołą, zimorodka i jemioluszki, lecz także wydawałoby się nieatrakcyjne pióra mazurka, kruka czy skowronka. Skowronki są piękne, ale tylko z bliska. Dwa metry dalej nawet ich nie zobaczymy, tak doskonale kryją je ich płowoszare, kreskowane sukienki. Warto zobaczyć ptaki oczami Jacka Karczewskiego.

Justyna Jakubczyk

Jacek KARCZEWSKI, **Zobacz ptaka. Opowieści po drodze**, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021.



Leszek Szaruga

Germanie kontra Rzym

Z wielką uwagą oglądam teraz serial *Barbarzyńcy*, który oferuje Netflix. Opowiada on o losach wodza germańskiego plemienia Cherusków, Arminiusza, znanego bardziej pod imieniem Hermann (16 p.n.e. – 21), którego trzydziestometrowy pomnik wystawiony w roku 1875 podziwiać można na wzgórzu Teutberg w Lesie Teutoburskim, niedaleko Detmold, gdzie nieodmiennie od dziesięcioleci odwiedzany jest przez liczne grono turystów. W dzieciństwie mąż ów, podobnie jak synowie innych plemion germańskich, uprowadzony został do Rzymu, by stać się gwarantem pokojowego współdziałania jego pobratymców z Imperium. Wychowany i wykształcony przez obcych utożsamiał się raczej z ich kulturą niż z „dzikusami”, z którymi był spokrewniony. Jak na barbarzyńcę, zrobił w Rzymie zawrotną karierę i zyskał elitarny status ekwity, by w końcu objąć – z rozkazu imperatora – stanowisko wodza swego plemienia.

Na ile tak rekonstruowany w niemieckim serialu przebieg wydarzeń zgodny jest z prawdą historyczną, nie sposób przesądzać, dość że powrót w rodzinne strony obudził w nim ambicje polityczne i doprowadził do idei zjednoczenia plemion germańskich i być może nawet planów opanowania Rzymu, który konsekwentnie dążył do podporządkowania sobie obszarów należących do opisywanej pod koniec I wieku naszej ery przez Tacyty Germanii. W roku 9 po Chrystusie dowodzone przez Arminiusza siły germańskie zwały w pułapkę i wycięły w pień trzy rzymskie legiony dowodzone przez Kwinktyliusza Warusa, który, by ocalić swą cześć, popełnił samobójstwo. Zwycięstwo to powstrzymało impet Rzymu, pobudziło ludy germańskie do oporu, co w końcu, decyzją cesarza Tyberiusza (42 p.n.e. – 37), doprowadziło do ustanowienia granicy z Imperium na Renie i Dunaju (Tak przy okazji: warto przeczytać ostatni tom rzymskiej trylogii Jacka Bocheńskiego *Tyberiusz Cezar*, wydanej w roku 2009, dwa tysiące lat po bitwie w Lesie Teutoburskim).

Postać Arminiusza, w szczególności zaś jego zwycięstwo w Lesie Teutoburskim, stała się inspiracją wielu dzieł literatury niemieckiej. W 1520 roku Ulrich von Hutten pisał o tym wydarzeniu i o bojownikach o wyzwolenie Germanów spod władztwa Rzymu: „Spośród nich wywodzi się też bohater najbardziej ze wszystkich niezwykłony i najśmielszy, Arminiusz (...) który nie tylko swój gród, ziemię i ojczyznę, lecz cały naród niemiecki z rąk Rzymu, potęgi natenczas największej i w panowania rozkwicie, wybawił i wolność mu darował”, które to słowa przytacza w swej monografii *Mity Niemców* (wydanie polskie 2013) Herfried Münkler. Wspomnieć też warto o inspirowa-

nym przez to wydarzenie dziełach literackich: dramacie Herdera *Arminiusz*, trylogii dramatycznej Klopstocka *Bitwa Hermanna*, *Hermann i księżęta* oraz *Śmierć Hermanna* czy sztuce Heinricha von Kleista *Bitwa Hermanna*. Ma też ta bitwa dość bogatą ikonografię.

Jedno nie ulega kwestii: od XIX stulecia poczynając, postać Arminiusza i bitwa w Lesie Teutoburskim stanowią jeden z mitów kształtujących niemiecką świadomość historyczną. Co interesujące, kojarzono Arminiusza z Zygfydem z *Pieśni Nibelungów* czy nawet z walczącym przeciw Rzymowi, utożsamianemu z papieżem, Marcinem Lutrem. W szczególności splatały się te wątki w okresie kształtowania w XIX wieku nowożytnego państwa narodowego, jednoczącego za sprawą politycznych inicjatyw Otto von Bismarcka kraje niemieckie w II Rzeszę.

Piszę o tym, gdyż ten bieg wypadków pokazuje, jak skomplikowanym organizmem jest Europa. Nawet pomijając ich krwawy wymiar, rzecz dotyczy możliwości, jakie powstają na wszelkich pograniczach. Nikt z nas na co dzień nie chce pamiętać o tym, że Imperium Romanum to nie tylko historyczny punkt odniesienia cywilizacji zwanej czasem łacińską, ale też potęga, z którą mierzyły się przybyłe do Europy ludy germańskie i słowiańskie, traktowane przez Rzymian jako w gruncie rzeczy jedna, niespecjalnie zróżnicowana masa „barbarzyńców”. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero po lekturze *Barbarzyńskiej Europy* Karola Modzelewskiego, książki, której znaczenia nie sposób przecenić, choć w istocie dopiero otwiera bardzo interesujące i szerokie pole badawcze.

Ale też piszę dlatego, że w obecnej dobie, gdy wielu wierzy w jedność Europy, inni zaś wyrażają obawy o jej spójność, różnice dzielące poszczególne jej społeczności zdają się znów odgrywać istotniejszą rolę niż wcześniej. Interesujący wydaje się zatem sam fakt wykreowania w Niemczech obecnie, w roku 2020, tego serialu. Czym jest to sięgnięcie do przedchrześcijańskiej historii Europy? Czy zwrot ku przeszłości niesie coś więcej niż tylko chęć opowiedzenia zajmującej historii, czy też jest – w zamiśle twórców – nową próbą mocowania lub przeddefinowania niemieckiej tożsamości? Czy, co niewykluczone, jest to sygnał zapowiadający podobne próby i dążenia w innych krajach? Ożywianie i odnawianie mitów nigdy nie było zabawą bezpieczną, może prowadzić – 2000 lat po wydarzeniach je gruntujących – do ich istotnego przewartościowania, ale też może budzić resentymenty.

NARODOWA
REPREZENTACJA
AKADEMICKA



SPORTOWIEC

Z indeksem



Sandra Ostrowska



Justyna Iskrzycka



Helena Wiśniewska



Iga Baumgart-Witan



Paulina Peda



Mateusz Biskup



Politechnika
Wroclawska



prof. Samuel Stranks

badacz optoelektroniki,
członek naukowy Royal Society
University Research Fellow
na Wydziale Inżynierii Chemicznej
i Biotechnologii Uniwersytetu Cambridge

laureatem

Europejskiej Nagrody Naukowej
im. Stanisława Lema w 2022 roku

Dziękujemy wszystkim 26 naukowcom,
którzy przystali aplikacje. Zgłoszone osiągnięcia
Kapituła oceniła bardzo wysoko.

Fundatorzy:

BERGMAN ENGINEERING™
An engineering contracting company

pcc
ROKITA

Santander
Universidades

 **TestArmy**

 **PGE** Górnictwo i Energetyka
Konwencjonalna S.A.

 **Fundacja**